

Roger Zelazny

Rycerz Cieni

Knight of Shadows

Tłumaczył: Piotr W. Cholewa

ROZDZIAŁ 1

Miała na imię Julia i byłem święcie przekonany, że zginęła trzydziestego kwietnia, kiedy to wszystko się zaczęło. Właściwie początkiem było odnalezienie jej krwawych szczątków i zabicie podobnego do psa potwora, który ją zamordował — tak przynajmniej myślałem. Była moją dziewczyną, i chyba to uruchomiło cały ciąg wydarzeń. Dawno temu.

Może mogłem bardziej jej zaufać. Może nie powinienem jej zabierać na spacer w Cieniu — doprowadził do zaprzeczeń, a te odsunęły ją ode mnie. I mrocznymi ścieżkami pchnęły do pracowni Victora Melmana, paskudnego okultysty, którego musiałem później zlikwidować — tego samego Victora Melmana, który był marionetką w rękach Luke'a i Jasry. Ale teraz, może... nie do końca... miałem szansę, żeby wybaczyć sobie to, co w moim przekonaniu uczyniłem. Ponieważ, jak się okazało, jednak nie uczyniłem. Prawie.

Inaczej mówiąc, przekonałem się, że nie byłem za to odpowiedzialny w chwili, gdy to czyniłem. To znaczy: kiedy wbiłem nóż w bok tajemniczego czarodzieja Maski, który od pewnego czasu wyraźnie się do mnie przyczepił, odkryłem, że Maska to w rzeczywistości Julia. Mój przyrodni brat Jurt, który z kolei usiłował mnie zabić dłużej niż ktokolwiek inny, porwał ją i zniknęli. Działo się to zaraz po jego transformacji w rodzaj żywego Atutu.

I kiedy uciekałem z walącej się, płonącej cytadeli Twierdzy Czterech Światów, spadające belki zmusiły mnie do odskoczenia na prawo i uwięziły w pułapce gruzów i ognia. Obok mnie przemknęła ciemna metalowa kula; zdawała się rosnąć w locie. Uderzyła o mur i przebiła go, pozostawiając otwór, przez który mogłem się przecisnąć. Nie zwlekałem z wykorzystaniem tej okazji. Na zewnątrz przeskoczyłem fosę, używając logrusowych ramion, by przewrócić część ogrodzenia i ze dwudziestu żołnierzy. Potem odwróciłem się.

— Mandorze! — zawołałem.

— Tutaj — odpowiedział jego cichy głos zza mojego lewego ramienia.

Zdążyłem zobaczyć, jak chwyta metalową kulę; podskoczyła przed nami i opadła na wyciągniętą dłoń.

Strzepnął popiół z czarnej kamizeli i przeczesał palcami włosy. Potem uśmiechnął się i spojrzał na płonąca Twierdzę.

— Dotrzymałeś obietnicy danej królowej — zauważył. — I nie sądzę, żebyś miał tu jeszcze coś do roboty. Może pójdziemy?

— Jasra została wewnątrz — odpowiedziałem. — Załatwia porachunki z Sharu.

— Myślałem, że nie jest ci już potrzebna.

Pokręciłem głową.

— Nadal wie sporo rzeczy, o których ja nie mam pojęcia. A będę ich potrzebował.

Ognista kolumna wyrosła ponad Twierdzę, zatrzymała się, zawisła, wzniosła się wyżej.

— Nie zdawałem sobie sprawy... — mruknął. — Jej naprawdę zależy na opanowaniu Fontanny. Gdybyśmy teraz ją stamtąd zabrali, Sharu zajmie to miejsce. Czy to ważne?

— Jeśli jej nie wyrwiemy, może ją zabić.

Mandor wzruszył ramionami.

— Mam przeczucie, że to ona wygra. Chciałbyś się założyć?

— Może masz rację. — Obserwowałem, jak po krótkiej pauzie Fontanna wznosi się wyżej. — To wygląda jak wytrysk ropy. Mam nadzieję, że zwycięzca potrafi go zakręcić... jeśli będzie jakiś zwycięzca. Żadne z nich nie przetrwa tam zbyt długo. Cała cytadela się rozpada.

Parsknął śmiechem.

— Nie doceniasz mocy, jakie wykorzystują dla własnej obrony — stwierdził. — Sam wiesz, że za pomocą magii nie tak łatwo jednemu czarodziejowi pokonać drugiego. Niemniej jednak słusznie zwróciłeś uwagę na inercję elementów materialnych. Jeśli pozwolisz...

Kiwnąłem głową.

Szybkim gestem z dołu przerzucił metalową kulkę ponad rowem fosy, w stronę budowli. Uderzyła o ziemię i z każdym odbiciem zdawała się rosnąć, wydając dźwięk podobny do brzęku cymbałów, całkiem nieproporcjonalny do jej pozornej prędkości i rozmiaru. Odgłos nabierał mocy przy kolejnych podskokach. Wreszcie kulka zniknęła w płonącej, wibrującej ruinie, w jaką zmieniła się ta część Twierdzy. Na chwilę straciłem ją z oczu.

Już miałem spytać, co się dzieje, kiedy zobaczyłem cień wielkiej kuli przesuwający się za otworem, przez który wyrwałem się na zewnątrz. Płomienie przygasały — oprócz ognistej wieży zniszczonej Fontanny. Z wnętrza dobiegł głęboki, niski grzmot. Po chwili przemknął jeszcze większy kolisty cień, a przez podeszwy butów zacząłem wyczuwać wibracje gromu.

Ściana runęła. I zaraz potem fragment następnej. Całkiem wyraźnie widziałem teraz wnętrze cytadeli. Poprzez kurz i dym raz jeszcze przesunął się obraz gigantycznej kuli. Stłumiła ogień. Logrusowy wzrok nadal pozwalał mi dostrzegać linie sił płynące między Jasrą i Sharu.

Mandor wyciągnął rękę. Po chwili niewielka metalowa kulka podskakując przytoczyła się do nas. Złapał ją.

— Wracajmy — powiedział. — Szkoda by było stracić zakończenie.

Przeszliśmy przez jeden z licznych otworów w ogrodzeniu. Fosę wypełniła dostateczna ilość gruzu, by bezpiecznie przejść na drugą stronę. Użyłem zakłęcia bariery, żeby formujących sztyk żołnierzy nie wpuszczają na nasz teren i trzymać od nas z daleka.

Wkraczając przez wyrwę w ścianie spostrzegłem, że Jasra wznosi ramiona, odwrócona plecami do wieży ognia. Strużki potu spływające po masce sady malowały jej twarz w deseń zębry. Wyczuwałem pulsację energii przepływającej przez jej ciało. Jakieś trzy metry wyżej, z siną twarzą i głową skręconą w bok, jakby ktoś złamał mu kark, unosił się w powietrzu Sharu. Komuś niewykształconemu mogłoby się zdawać, że lewituje magicznie. Jednak logrusowy wzrok ukazał mi, że starzec wisi na linii mocy: ofiara czegoś, co można by chyba nazwać magicznym linczem.

— Brawo — rzekł Mandor, wolno i niegłośno klaskając w dłonie. — Widzisz, Merlinie? Wygrałbym ten zakład.

— Zawsze szybciej ode mnie potrafiłeś dostrzec talent — przyznałem.

— ...I przysięgnij mi służbę — usłyszałem głos Jasry.

Sharu poruszył wargami.

— I przysięgam ci służbę — wycharczał.

Wolno opuściła rękę, a linia mocy, na której zwisał Sharu, zaczęła się wydłużać. Kiedy opadał ku spękanej posadzce cytadeli, Jasra wykonała szybki ruch lewą dłonią... Widziałem kiedyś podobny u dyrygenta, kiedy dawał znak sekcji dętej. Z Fontanny strzeliła struga ognia, sięgnęła starca, oblała go i spłynęła na ziemię. Efektowne, chociaż nie całkiem rozumiałem, po co...

Sharu opadał powoli, jakby ktoś w niebie zarzucał przynętę na krokodyle. Gdy jego stopy zbliżyły się do ziemi, zauważyłem, że wstrzymuję oddech, w odruchu współczucia oczekując zmniejszenia ucisku szyi. To jednak nie nastąpiło. Stopy czarodzieja zagłębiły się w posadzkę. Opadał dalej, jakby był zaklętym hologramem. Zagłębił się do kostek, potem do kolan i dalej. Nie byłem pewien, czy jeszcze oddycha. Z warg Jasry spływała cicha litania rozkazów, ogniste płaty co pewien czas odrywały się od Fontanny i opadały na starca. Zanurzył się już do pasa, potem do ramion i jeszcze trochę. Kiedy widoczna była tylko głowa z otwartymi ale zaszklonymi oczami, Jasra wykonała kolejny gest i zatrzymała go.

— Od teraz jesteś strażnikiem Fontanny — oznajmiła. — Tylko mnie posłusznym. Czy uznajesz moją wolę?

Zsiniałe wargi drgnęły.

— Tak — szepnęła.

— Idź teraz i zgaś ogień — rozkazała. — Zaczynaj pełnić swoje obowiązki.

Zdawało mi się, że głowa kiwnęła, a równocześnie znowu zaczęła się zapadać. Po chwili widziałem już tylko wełnisty kosmyk włosów, a sekundę później ziemia pochłonęła i to. Linia mocy zniknęła.

Odechrząknąłem. Słyszając to Jasra opuściła ramiona i obejrzała się z lekkim uśmiechem.

— Jest żywy czy martwy? — spytałem. I dodałem: — Akademicka ciekawość.

— Nie jestem całkiem pewna — odparła. — Ale chyba po trochu jedno i drugie. Jak my wszyscy.

— Strażnik Fontanny — mruknąłem. — Interesujące stanowisko.

— Lepsze niż wieszak — zauważyła.

— Chyba tak.

— Sądzisz, jak przypuszczam, że skoro pomogłeś mi odzyskać tu władzę, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

Wzruszyłem ramionami.

— Szczerze mówiąc, mam inne problemy.

— Chciałaś zakończyć wojnę — rzekła. — A ja chciałam zdobyć Twierdzę. Nadal nie żywię ciepłych uczuć wobec Amberu, ale skłonna jestem przyznać, że wyrównaliśmy rachunki.

— To mi wystarczy — zapewniłem ją. — W dodatku może nas łączyć poczucie lojalności wobec pewnej osoby.

Przez chwilę obserwowała mnie spod zmrużonych powiek, wreszcie uśmiechnęła się.

— Nie martw się o Luke'a — powiedziała.

— Muszę. Ten sukinsyn Dalt...

Nadal się uśmiechała.

— Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? — spytałem.

— O wielu rzeczach — odparła.

— Może mi powiesz?

— Wiedza jest artykułem handlowym — przypomniała.

Grunt zadrżał lekko i zakołysała się ognista wieża.

— Proponuję ci pomoc dla twojego syna, a ty chcesz mi sprzedać informację, jak się do tego zabrać? — Nie mogłem uwierzyć.

Wybuchnęła śmiechem.

— Gdybym sądziła, że Rinaldo potrzebuje pomocy — oświadczyła — w tej chwili byłabym u jego boku. Chyba łatwiej ci mnie nienawidzić, wierząc, że brak mi nawet macierzyńskich cnót.

— Chwileczkę! Mówiłaś, że rachunki są wyrównane — przypomniałem.

— To nie wyklucza wzajemnej nienawiści.

— Spokojnie! Nic nie mam przeciw tobie, nie licząc tego, że przez kolejne lata próbowałaś mnie zabić. Tak się składa, że jesteś matką kogoś, kogo lubię i szanuję. Jeśli ma kłopoty, chciałbym mu pomóc, i wolałbym się z tobą pogodzić.

Mandor chrząknął. Płomienie opadły o trzy metry, zakołysały się i opadły jeszcze niżej.

— Mam pewne umiejętności kulinarne — oznajmił. — Gdyby niedawny wysiłek pobudził apetyty...

Jasra uśmiechnęła się niemal kokieteryjnie i mógłbym przysiąc, że zatrzepotała rzęsami. Mandor robi wrażenie z tą swoją grzywą białych włosów, ale nie wiem, czy można go nazwać

przystojnym. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego jest tak atrakcyjny dla kobiet. Sprawdziłem nawet, czy nie wykorzystuje odpowiednich zaklęć, ale nic takiego nie znalazłem. W grę musiał wchodzić zupełnie inny rodzaj magii.

— Znakomity pomysł — uznała Jasra. — Ja zadbam o oprawę, a ty zajmiesz się resztą.

Mandor skłonił się. Płomienie opadły aż do ziemi i przygasły. Jasra krzyknęła do Sharu, Niewidzialnego Strażnika, że takie mają pozostać. Potem odwróciła się i wskazała nam drogę do schodów prowadzących w dół.

— Podziemne przejście — wyjaśniła. — Ku bardziej cywilizowanym brzegom.

— Przyszło mi do głowy — wtrąciłem — że każdy, kogo spotkamy, będzie pewnie lojalny wobec Julii.

Jasra roześmiała się.

— Tak jak byli lojalni wobec mnie, a jeszcze wcześniej wobec Sharu — odparła. — To profesjonaliści. Należą do tego miejsca. Płaci się im, żeby bronili zwycięzców, a nie mścili pokonanych. Po kolacji wystąpię z proklamacją. Potem, póki nie przybędzie kolejny uzurpator, będę się cieszyć ich szczerą i jednomyślną lojalnością. Uważajcie na trzeci stopień. Kamień się obluźował.

Wskazała nam drogę przez fałszywą ścianę i dalej, ciemnym tunelem, prowadzącym — jak mi się zdawało — w kierunku północno-zachodnim, ku tym regionom Twierdzy, które zbadałem przy mojej poprzedniej wizycie. Było to w dniu, kiedy wyrwałem Jasrę z niewoli Maski-Julii i zabrałem do Amberu, żeby przez pewien czas w naszej twierdzy służyła za wieszak. W korytarzu panowała całkowita ciemność, ale wyczarowała ruchliwy punkt, jaskrawy błędny ognik, który płynął przed nami w wilgotnym mroku. Powietrze było tu stęchłe, ściany pokryte pajęczynami, podłoga z ubitej ziemi — oprócz wąskiej ścieżki bruku pośrodku. Od czasu do czasu po obu stronach trafiały się cuchnące kałuże, a obok nas — po ziemi i w powietrzu — przemykały ciemne, małe stworzenia.

Właściwie nie potrzebowałem światła. Jak pewnie żadne z nas. Podtrzymałem Znak Logrusu, dający zdolność magicznej percepcji; roztaczał srebrzystą, bezkierunkową poświatę. Nie zrezygnowałem z niego, ponieważ ostrzegłby mnie także przed efektami czarów, na przykład zaklęciami-pułapkami albo, skoro już o tym mowa, jakąś niewielką zdradą ze strony Jasry. Jednym z efektów takiego spojrzenia było, że zauważyłem też Znak Logrusu zawieszony przed Mandorem, który — o ile wiem — również nie należał do osób szczególnie ufnych. Coś mglistego, trochę podobnego do Wzorca, zajmowało pozycję *vis-à-vis* Jasry, domykając kręgu czujności. A światełko tańczyło przed nami.

Wynurzyliśmy się za stosem beczek w czymś, co wyglądało na bardzo dobrze zaopatrzoną piwnicę. Mandor przystanął po kilku krokach i ze stojaka po lewej stronie ostrożnie zdjął zakurzoną butelkę. Skrajem płaszcza wytarł etykietę.

— O rany! — zawołał.

— Co to jest? — chciała wiedzieć Jasra.

— Jeśli nie skwaśniało, z jego pomocą urządzę ucztę, jakiej długo nie zapomnicie. — Naprawdę? W takim razie weź kilka, dla pewności — poradziła. — Pochodzą z czasów sprzed mojego przybycia... może nawet sprzed Sharu.

— Trzymaj, Merlinie. — Podał mi dwie butelki. — Tylko ostrożnie.

Zbadał cały stojak i wybrał jeszcze dwie, które sam poniósł.

— Teraz rozumiem, dlaczego to miejsce jest tak często oblegane — zwrócił się do Jasry. — Gdybym wiedział o tej piwniczce, sam pewnie miałbym ochotę spróbować.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła go za ramię.

— Są prostsze sposoby zaspokojenia twoich pragnień — rzekła z uśmiechem.

— Będę o tym pamiętał — zapewnił.

— Mam taką nadzieję.
Odchrząknąłem.

Zmarszczyła lekko brwi i odwróciła się. Ruszyliśmy za nią przez niskie drzwi i w górę po skrzypiących drewnianych schodach. Trafiliśmy do dużej spiżarni, a stamtąd do ogromnej, opuszczonej kuchni.

— Nigdy nie ma służby, kiedy jest potrzebna — zauważyła, rozglądając się dookoła.

— Ja jej nie potrzebuję — oświadczył Mandor. — Poszukaj jakiegoś miłego miejsca do posiłku, a z resztą sobie poradzę.

— Doskonale. Tędy.

Wyprowadziła nas z kuchni. Minęliśmy szereg komnat, wreszcie wspięliśmy się na schody.

— Pola lodowe? — zapytała. — Strumienie lawy? Góry? Czy wzburzone morze?

— Jeśli chodzi ci o dobór krajobrazu, wołę góry — wyznał Mandor.

Zerknął na mnie. Kiwnąłem głową.

Wskazała nam długą, wąską komnatę, gdzie rozchyliliśmy okiennice, by podziwiać plamisty łańcuch zaokrąglonych szczytów. Pokój był chłodny i trochę zakurzony, a na pobliskiej ścianie wisiały półki. Leżały tam książki, przybory do pisania, kryształy, szkła powiększające, małe słoiczki z farbą, kilka prostych instrumentów magicznych, mikroskop i teleskop. Pośrodku stał prosty stół i ławy.

— Jak długo zajmą ci przygotowania? — spytała Jasra.

— Minutę, może dwie — odparł Mandor.

— W takim razie chciałabym najpierw doprowadzić się do porządku. Może wy również?

— Niezły pomysł — przyznałem.

— Istotnie — zgodził się Mandor.

Wskazała nam drogę do komnat, przeznaczonych zapewne dla gości, niezbyt daleko. Tam nas zostawiła z mydłem, ręcznikami i wodą. Umówiliśmy się na spotkanie w wąskiej komnacie za pół godziny.

— Myślisz, że planuje jakiś podstęp? — zapytałem, ściągając koszulę.

— Nie — odparł Mandor. — Pochlebiam sobie przekonaniem, że nie chciałaby stracić kolacji. Ani, jak przypuszczam, szansy pokazania się nam w najlepszym stanie, skoro do tej pory oglądaliśmy ją w niezbyt dobrym. A możliwość plotek, wyznań... — Potrząsnął głową. — Być może już nigdy nie będziesz mógł jej zaufać. Ale to przyjęcie to czas pokoju... jeśli potrafię osądzać ludzi.

— Wierzę ci na słowo — mruknąłem. Ochlapałem się wodą i namydliłem.

Mandor uśmiechnął się krzywo i wyczarował korkociąg. Otworzył butelki — „żeby wino odetchnęło”. Potem zajął się sobą. Wierzyłem jego sądom, ale zatrzymałem Znak Logrusu na wypadek, gdybym musiał stoczyć pojedynek z demonem albo uskoczyć przed spadającym głazem.

* * *

Żaden demon na mnie nie napadł; nie spadł ani kawałek muru. Wkroczyłem za Mandorem do jadalni i patrzyłem, jak kilkoma słowami i gestami przemienia ją nie do poznania. W miejsce stołu i ław pojawił się okrągły stolik z trzema wygodnymi z wyglądu krzesłami — ustawionymi tak, by każdy z siedzących mógł podziwiać góry. Jasra jeszcze nie przybyła, a ja trzymałem dwie butelki wina, o którego „oddech” tak troszczył się Mandor. Zanim zdążyłem je postawić, stworzył wyszywany obrus i serwetki, delikatną porcelanę, która wyglądała jak malowana przez Miro, i pięknie rzeźbione srebra. Przez chwilę studiował nakrycia, zrezygnował ze sztućców i przywołał nowe, z innym wzorem. Nucił pod nosem, krążąc po pokoju i ze wszystkich stron studiując

przybrany stół. Kiedy chciałem ustawić butelki, wyczarował pośrodku kryształowy wazon z pływającymi w wodzie kwiatami. Odstąpił na krok. Zmaterializowały się kryształowe puchary. Zacząłem lekko warczeć. Wtedy jakby mnie zauważył — po raz pierwszy od dłuższego czasu.

— Och, postaw je. Postaw je tutaj, Merlinie — zawołał. Po lewej stronie zjawiała się hebanowa taca.

— Sprawdźmy lepiej, co z winem — zaproponował. — Zanim wróci dama.

Nalał do kielichów rubinowego płynu.

Skosztowaliśmy. Pokiwał głową. Było lepsze niż Bayle'a. O wiele lepsze.

— Nic mu nie dolega — stwierdził.

Okrążył stół i wyjrzał przez okno. Poszedłem za nim. Gdzieś w tych górach, jak przypuszczałem, mieszkał Dave w swojej jaskini.

— Trochę mnie gryzie sumienie — wyznałem. — Że zrobiłem sobie urlop. Tylu spraw powinienem dopilnować...

— Może nawet więcej, niż sądzisz — zgodził się. — Spójrz na to nie jak na urlop, ale jak na wzmacnianie zaplecza. W dodatku możesz się od tej damy czegoś dowiedzieć.

— To prawda. Ale zastanawiam się czego.

Zakręcił winem w kielichu, wypił odrobinę i wzruszył ramionami.

— Ona dużo wie. Może coś jej się wymknie. A może stanie się wylewna i gadatliwa. Nie martw się na zapas.

Łyknałem wina. Mógłbym być niemiły i powiedzieć, że ręce zaczęły mnie świerzbieć. Ale tak naprawdę to pole Logrusu mnie ostrzegło, że korytarzem nadchodzi Jasra. Nie mówiłem o tym Mandorowi, bo byłem pewien, że sam to wyczuł. Po prostu zwróciłem się do drzwi, a on zrobił to samo.

Miała na sobie nisko wyciętą białą suknię, spiętą na jednym — lewym — ramieniu diamentową broszą. Na głowę włożyła diadem, też z diamentów; pośród jej ognistych włosów zdawały się promieniować w paśmie niemal podczerwieni. Uśmiechała się i pachniała ładnie. Wyprostowałem się odruchowo i zerknąłem na paznokcie, żeby się upewnić, czy są czyste.

Uklon Mandora był bardziej dworny od mojego, jak zwykle. Uznałem, że należy powiedzieć coś uprzejmego. Zatem...

— Wyglądasz bardzo... elegancko — zauważyłem. Zaakcentowałem to zdanie wymownym spojrzeniem.

— Nieczęsto jadam w towarzystwie dwóch księżąt — odparła.

— Jestem diukiem Marchii Zachodnich — wyjaśniłem. — Nie księciem.

— Mówiłam o rodzie Sawalla.

— Widzę, że odrobiłaś pracę domową — wtrącił Mandor. — Niedawno.

— Nie chciałabym naruszyć protokołu...

— Po tej stronie rzeczywistości rzadko używam mojego tytułu z Dworców — wyjaśniłem.

— Szkoda — stwierdziła. — Moim zdaniem jest bardziej niż trochę... elegancki. Jesteś chyba mniej więcej trzydziesty w sukcesji tronu?

Roześmiałem się.

— Nawet tak daleka pozycja jest przesadzona.

— Nie, Merle. Ona ma rację — poprawił mnie Mandor. — Z dokładnością do kilku osób, jak zawsze.

— Jak to możliwe? — zdziwiłem się. — Kiedy sprawdzałem...

Nalał kielich wina i wręczył go Jasrze. Przyjęła z uśmiechem.

— Nie sprawdzałeś ostatnio — powiedział. — Zdarzyły się kolejne zgony.

— Poważnie? Tak dużo?

— Za Chaos. — Jasra wzniosła kielich. — Niech długo maci.

— Za Chaos — powtórzył Mandor.

— Chaos. — Przyłączyłem się, stuknęliśmy się kielichami i wypiliśmy.

Nagle poczułem najrozmaitsze smakowite zapachy. Obejrzałem się — na stoliku czekały już półmiski. Jasra spojrzała w tej samej chwili, a Mandor wystąpił do przodu i gestem odsunął wszystkie trzy krzesła.

— Siadajcie — zaprosił nas. — Pozwólcie, że was obsłużę.

Tak zrobiliśmy.

To było więcej niż jedzenie. Minęło kilka minut i nie padło ani jedno słowo prócz pochwał dla zupy. Nie chciałem jako pierwszy próbować konwersacyjnego gambitu, choć przyszło mi do głowy, że tamci pewnie myślą to samo.

Wreszcie Jasra odchrząknęła. Obaj unieśliśmy głowy. Ze zdziwieniem zauważyłem, że nagle stała się lekko zdenerwowana.

— I jak tam sprawy w Chaosie? — zapytała.

— W tej chwili dość chaotyczne — odpowiedział Mandor. — I to nie jest żart. — Zamyślił się na moment, po czym westchnął i dodał: — Polityka.

Wolno pokiwała głową, jakby zastanawiała się, czy nie spytać o szczegóły, które wolał pominąć. W końcu zrezygnowała. Spojrzała na mnie.

— Niestety, podczas pobytu w Amberze niewiele miałam okazji do zwiedzania — zaczęła. — Jednak sądząc z tego, co mi mówiłeś, tam również życie jest nieco chaotyczne.

Przytaknąłem.

— Dobrze, że Dalt się wyniósł, jeśli to miałaś na myśli. Ale on nie stanowił prawdziwego zagrożenia... najwyżej niewygodę. A skoro już o nim mówimy...

— To nie mówmy — przerwała mi ze słodkim uśmiechem. — W istocie chodziło mi o coś innego.

Uśmiechnąłem się również.

— Zapomniałem. Nie należysz do jego fanów.

— Nie w tym rzecz — odparła. — Ten człowiek bywa przydatny. To zwykła... — westchnęła. — ...polityka.

Mandor roześmiał się, a ja razem z nim. Szkoda, że nie pomyślałem, by użyć tego określenia, mówiąc o Amberze. Teraz już za późno.

— Jakiś czas temu kupiłem obraz — zacząłem. — Namalowała go pewna dama imieniem Polly Jackson. Przedstawia czerwonego chevroleta z 57 roku. Lubię go. Teraz wisi w magazynie w San Francisco. Rinaldowi też się podobał.

Skinęła głową, zapatrzona w okno.

— Wy dwaj ciągle zaglądaliście do tej czy innej galerii — stwierdziła. — Tak, zaciągnął mnie do niektórych. Zawsze uważałam, że ma dobry smak. Nie talent, ale gust.

— Co masz na myśli mówiąc, że brak mu talentu?

— Bardzo dobrze szkicuje, ale jego obrazy nie są szczególnie interesujące.

Poruszyłem ten temat dla pewnej szczególnej przyczyny, a to nie była ona. Zafascynował mnie jednak wizerunek Luke'a, jakiego dotąd nie znałem. Postanowiłem zbadać sprawę.

— Obrazy? Nie wiedziałem, że malował.

— Próbował kilka razy, ale nikomu ich nie pokazywał. Nie były dostatecznie dobre.

— A skąd ty o nich wiesz?

— Od czasu do czasu sprawdzam jego mieszkanie.

— Pod jego nieobecność?

— Przywilej matki.

Drgnąłem. Pomyślałem o płonącej kobiecie w Króliczej Norze. Wołałem jednak nie mówić o swoich uczuciach i nie przerywać jej zwierzeń, skoro już zdołałem ją do nich nakłonić. Postanowiłem wrócić do początkowego wątku.

— Czy to w związku z tym nawiązał kontakt z Victorem Melmanem? — zapytałem.

Przez chwilę przyglądała mi się spod zmrużonych powiek, wreszcie skinęła głową i dokończyła zupę.

— Tak — rzekła w końcu, odkładając łyżkę. — Wziął u niego kilka lekcji. Spodobały mu się pewne obrazy Melmana. Dlatego go odszukał. Może też jakieś kupił... nie wiem. Ale raz wspomniał o własnych pracach i Victor chciał je obejrzeć. Powiedział Rinaldowi, że mu się podobają i że mógłby nauczyć go kilku pomocnych sztuczek.

Uniosła kielich, powąchała trunek, łyknęła odrobinę i zapatrzyła się na góry.

Już miałem ją ponaglić w nadziei, że powie coś więcej, kiedy roześmiała się. Przeczekałem.

— Prawdziwy dureń — stwierdziła. — Ale utalentowany. Trzeba mu to przyznać.

— Hm... O co ci chodzi? — zdziwiłem się.

— Po jakimś czasie zaczął mówić o rozwoju osobistej siły. Używał przy tym wszystkich tych niedopowiedzeń i napomknien, tak lubianych przez ludzi nie w pełni oświeconych. Chciał dać Rinaldowi do zrozumienia, że jest okultystą i to nie byle jakim. Potem zaczął sugerować, że chętnie przekazałby swoje umiejętności właściwej osobie.

Znowu wybuchnęła śmiechem. Ja też zachichotałem na myśl o tej cyrkowej focie, która w taki sposób zwraca się do prawdziwego fachowca.

— Zdał sobie sprawę, naturalnie, że Rinaldo jest bogaty — ciągnęła dalej. — Victor, jak zwykle zresztą, był wtedy bez grosza. Rinaldo jednak nie okazał zainteresowania i wkrótce zrezygnował z lekcji malarstwa. Kiedy później mi o tym opowiedział, zrozumiałam, że ten człowiek może się stać idealnym narzędziem. Byłam pewna, że zrobi wszystko, by posmakować prawdziwej mocy.

Przytaknąłem.

— Wtedy ty i Rinaldo zaczęliście tę zabawę w nawiedzanie? Na zmianę przyćmiwaliście mu umysł i uczyliście kilku prawdziwych czarów?

— Dostatecznie prawdziwych. Co prawda, zwykle sama musiałam pilnować szkolenia. Rinaldo zawsze miał mało czasu, bo uczył się do egzaminów. Uzyskiwał trochę lepszą średnią od ciebie, prawda?

— Na ogół dostawał bardzo dobre oceny — przyznałem. — Mówisz, że uczyłaś Melmana korzystać z mocy i zmieniałaś w posłuszne narzędzie. Nie mogę zapomnieć, w jakim celu to robiłaś. Przygotowywałaś go, żeby mnie zamordował i to w wyjątkowo barwny sposób.

Uśmiechnęła się.

— Rzeczywiście — potwierdziła. — Chociaż nie całkiem tak, jak sądzisz. Wiedział o tobie, został wyszkolony, by odegrać pewną rolę w twojej ofercie. Ale tego dnia, kiedy zginął, działał na własną rękę. Ostrzeżliśmy go przed takimi samowolnymi akcjami i zapłacił wysoką cenę. Chciał osiąść wszelkie moce, jakie by z tego płynęły. Nie chciał się dzielić. Mówiłam przecież: dureń.

Jeśli chciałem, żeby mówiła dalej, powinienem okazać nonszalancję. Uznałem, że jedzenie będzie najlepszym przejawem takiej pozy. Kiedy jednak spojrzałem na stół, odkryłem, że znikł mój talerz z zupą. Wziąłem rogalika, przełamałem i chciałem posmarować masłem, kiedy zobaczyłem, że ręka mi się trzęsie. Po chwili uświadomiłem sobie dlaczego: miałem ochotę ją udusić.

Nabrałem tchu, wypuściłem, łyknąłem wina. Przedemną zjawily się przystawki; ledwie wyczuwalne zapachy czosnku i najrozmaitszych kuszących ziół kazały mi zachować spokój. Skinieniem podziękowałem Mandorowi. Jasra zrobiła to samo.

— Muszę przyznać, że nie rozumiem — oznajmiłem kilka kęsów później. — Powiedziałaś, że Melman miał tylko odegrać pewną rolę w moim rytualnym zabójstwie. Nic więcej?

Jadła jeszcze przez jakieś pół minuty, po czym znalazła kolejny uśmiech.

— To była zbyt piękna okazja, żeby jej nie wykorzystać — wyjaśniła. — Kiedy zerwałeś z Julią, ona zainteresowała się okultyzmem. Zrozumiałam, że muszę doprowadzić ją do Victora. Powinien ją szkolić, nauczyć kilku prostych trików, wykorzystać to, że jest nieszczęśliwa po rozstaniu z tobą. I ten żal zmienić w pełnowymiarową nienawiść, tak potężną, że kiedy nadejdzie czas ofiary, Julia z radością poderżnie ci gardło.

Zakrztusiłem się czymś, co skądinąd smakowało wspaniale.

Oszroniony kielich wody wyrósł przy mojej prawej dłoni. Chwyciłem go i splukałem gardło. Potem wypilem jeszcze trochę.

— Przynajmniej ta reakcja jest coś warta — zauważyła Jasra. — Musisz przyznać, że ktoś, kogo kochałeś, w roli kata dodaje smaku całej zemście.

Kątem oka dostrzegłem, jak Mandor kiwa głową. Ja również musiałem się z nią zgodzić.

— Przyznaję, że to dobrze przemyślany plan — stwierdziłem. — Czy Rinaldo brał w tym udział?

— Nie. Za bardzo zdążyliście się zaprzyjaźnić. Bałam się, że cię uprzedzi. Zastanawiałem się nad tym przez minutę czy dwie.

— Dlaczego się nie udało? — zapytałem w końcu.

— Z powodu czegoś, czego nie mogłam przewidzieć. Julia naprawdę miała talent. Kilka lekcji Victora, i była lepsza od niego we wszystkim... z wyjątkiem malarstwa. Do diabła! Może ona też maluje. Nie wiem. Zagrałam pewną kartą, a ona sama weszła do gry.

Zadrzałem. Pomyślałem o rozmowie w Arbor House z *ty'igą* przebywającą w ciele Vinty Bayle. „Czy Julia rozwinęła w sobie te zdolności, których poszukiwała?”, spytała wtedy. Powiedziałem, że nie wiem. Że nigdy nie dostrzegłem żadnych znaków. A wkrótce potem przypomniałem sobie nasze spotkanie na parkingu przed supermarketem i tego psa, któremu kazała siadać i który może już nigdy więcej się nie ruszył. Pamiętałem o tym, ale...

— Nie zauważyłaś żadnych przejawów jej talentu? — zainteresowała się Jasra.

— Tego bym nie powiedział — odparłem. Zaczynałem pojmywać, dlaczego wszystko tak się ułożyło. — Nie, tego bym nie powiedział...

...Jak wtedy, gdy w Baskin—Robbins zamieniła smakami wafel i lody. Albo ta burza, kiedy została sucha, chociaż nie miała parasolki...

Jasra zdziwiona zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem — oświadczyła. — Gdybyś wiedział, sam mógłbyś ją wyszkolić. Kochała cię. Tworzylibyście znakomity zespół.

Skreśliłem się wewnątrz. Miała rację. Podejrzywałem to, prawdopodobnie nawet wiedziałem, ale tłumiliłem te myśli. Możliwe, że spacerem po cieniach i energią mojego ciała sam rozbudziłem jej zdolności...

— Trudno wytłumaczyć — powiedziałem. — To bardzo osobiste.

— Aha. Sprawy serca są albo zupełnie proste, albo całkiem dla mnie niepojęte. Nie ma etapu pośredniego.

— Zgódźmy się na proste. Zrywaliśmy ze sobą, kiedy dostrzegłem oznaki. Nie chciałem przywoływać mocy u mojej byłej dziewczyny, która pewnego dnia chciałaby może wypróbować ją na mnie.

— Zrozumiałe — przyznała Jasra. — Oczywiście. I wyjątkowo ironiczne.

— Istotnie — wtrącił Mandor. Ruchem dłoni sprowadził na stół kolejne dymiące półmiski. — Zanim dacie się porwać opowieści o intrygach i tajemnych zakamarkach psyche, spróbujcie piersi bażanta w Mouton Rotschild, z odrobiną dzikiego ryżu i kilkoma szparagami do smaku.

Zrozumiałem, że ukazałem jej inną warstwę rzeczywistości i tym zachęciłem do studiów. I odepchnąłem od siebie, ponieważ nie ufałem jej dostatecznie, by wyznać prawdę o sobie. Przypuszczam, że wiele to mówi o mojej zdolności do miłości i do zaufania. Ale to było normalne. Chodziło o coś innego. Coś więcej...

— Przepyszne — oznajmiła Jasra.

— Dziękuję.

Wstał, okrążył stół i napełnił jej kielich — ręcznie, zamiast użyć tej sztuczki z lewitacją. Zauważyłem, że palcami lewej dłoni lekko musnął jej nagie ramię. Potem, jakby sobie o mnie przypomniał, chlusnął też do mojego kielicha i wrócił na miejsce.

— Rzeczywiście świetne — przyznałem, kontynuując szybką introspekcję w mrocznym zwierciadle, które nagle się oczyściło.

Wyczuwałem coś, podejrzewałem od samego początku. Teraz miałem pewność. Nasza wędrówka w Cieniu była tylko najbardziej widowiskowym w serii drobnych, improwizowanych testów, przeprowadzanych w nadziei, że ją zaskoczę... Że zdemaskuję jako... kogo? Tak, jako potencjalną czarodziejkę. I co?

Odłożyłem sztućce i potarłem powieki. Niewiele brakowało, chociaż ukrywałem to przed sobą przez bardzo długi czas...

— Coś się stało, Merlinie? — usłyszałem głos Jasry.

— Nie. Po prostu uświadomiłem sobie, że jestem trochę zmęczony. Wszystko w porządku.

Czarodziejka. Nie potencjalna czarodziejka. Teraz zrozumiałem: gdzieś we mnie tkwił lęk, że to ona stoi za tymi trzydziestymi kwietniami, za zamachami na moje życie... Tłumiłem ten lęk i nadal mi na niej zależało. Dlaczego? Bo wiedziałem i mnie to nie obchodziło? Bo była moją Nimue? Bo kochałem mojego potencjalnego zabójcę i sam przed sobą ukrywałem dowody? Bo nie tylko pokochałem nierozsądnie, ale też miałem gigantyczny instynkt samobójczy, który łąził za mną szczerząc zęby... a teraz w każdej chwili mogę z nim podjąć współpracę aż do końca?

— Nic mi nie będzie — powiedziałem. — To drobiazg.

Czy to znaczy, że jestem — jak to mówią — swoim najgorszym wrogiem? Miałem nadzieję, że nie. Nie miałem czasu na psychoanalizę, zwłaszcza że w tej chwili moje życie zależało także od wielu czynników zewnętrznych.

— Pensa za twoje myśli — zaproponowała słodkim głosem Jasra.

ROZDZIAŁ 2

— Są bezcenne — wyjaśniłem. — Jak twoje żarty. Muszę ci pogratulować. Nie tylko nie miałem wtedy o tym pojęcia, ale też nie domyśliłem się, kiedy mogłem już połączyć ze sobą kilka faktów. To chciałaś usłyszeć?

— Tak — przyznała.

— Cieszę się, że w pewnym momencie los przestał ci sprzyjać — dodałem.

Westchnęła, skinęła głową i wypła nieco wina.

— Rzeczywiście — zgodziła się. — Po takiej prostej sprawie nie spodziewałam się żadnych komplikacji. Wciąż trudno mi uwierzyć, że świat potrafi być taki ironiczny.

— Jeśli oczekujesz ode mnie podziwu, musisz zdradzić nieco więcej szczegółów — zaproponowałem.

— Wiem. Właściwie nie chciałabym zamieniać tego zdziwienia na twojej twarzy na szczery zachwyt z mojej przegranej. Z drugiej strony, jest może jeszcze coś, co mogłoby cię zmartwić.

— Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa — odparłem. — Skłonny byłbym się założyć, że pewne zdarzenia z tamtych dni wciąż mogłyby cię zdziwić.

— Na przykład?

— Na przykład: dlaczego nie udał się żaden z tych zamachów na mnie trzydziestego kwietnia?

— Przypuszczam, że to Rinaldo mi przeszkadzał. Ostrzegał cię.

— Błąd.

— Co w takim razie?

— *Ty'iga*. Została zmuszona, by mnie chronić. Może pamiętasz ją z tamtych czasów. Zajmowała ciało Gail Lampron.

— Gail? Dziewczyna Rinalda? Mój syn spotykał się z demonem?

— Daj spokój tym przesądom. Na pierwszym roku trafił gorzej.

Zastanowiła się, po czym wolno skinęła głową.

— Masz rację — przyznała. — Zapomniałam o Carol. I wciąż nic nie wiesz... poza tym, co ten stwór wyjawiał ci w Amberze... dlaczego to robił?

— Wciąż nie wiem.

— To stawia cały ten okres w dziwnym świetle — mruknęła. — Zwłaszcza że nasze drogi znowu się skrzyżowały. Ciekawe...

— Co?

— Czy była tam, żeby cię osłaniać, czy żeby mi przeszkadzać? Twój ochroniarz czy moje przekleństwo?

— Trudno powiedzieć, skoro obie teorie prowadzą do tych samych wyników.

— Ale ona wyraźnie krążyła wokół ciebie jeszcze całkiem niedawno. A to przemawia za pierwszym wyjaśnieniem.

— Chyba że wie o czymś, o czym nie mamy pojęcia.

— Na przykład?

— Na przykład o możliwości odnowienia konfliktu między nami.

Uśmiechnęła się.

— Powinieneś zdawać na prawo — stwierdziła. — Jesteś tak przewrotny, jak twoi krewni w Amberze. Jednak muszę szczerze wyznać, że nie planuję niczego, co sugerowałoby taką interpretację.

Wzruszyłem ramionami.

— Tak tylko pomyślałem. Ale opowiadaj, co dalej z Julią.

Zjadła parę kęsów. Dotrzymałam jej towarzystwa i nagle odkryłem, że nie mogę przerwać jedzenia. Zerknąłem na Mandora, ale był nieprzenikniony. Nigdy się nie przyzna, że magicznie poprawił smak albo rzucił czar na biesiadników, by wymietli swoje talerze. W każdym razie skończyliśmy danie, nim Jasra znów się odezwała. A w tych okolicznościach raczej nie mogłem się na to skarżyć.

— Po waszym zerwaniu Julia studiowała u wielu nauczycieli — zaczęła. — Kiedy już ułożyłam swój plan, łatwo było sprawić, by zrobili albo powiedzieli coś, co ją rozczaruje lub zniechęci, a w rezultacie skłoni do szukania kogoś innego. Po pewnym czasie trafiła do Victora, którym już sterowaliśmy. Nakazałam mu osłodzić jej naukę, pominąć wiele zwykłych działań wstępnych i przejść do wykładów o inicjacji, jaką dla niej wybrałam...

— To znaczy? — przerwałem. — Jest cała masa inicjacji, z różnymi szczegółowymi celami. Z uśmiechem skinęła głową. Posmarowała bułkę masłem.

— Przeprowadziłam ją przez pewną odmianę własnej: Drogę Pękniętego Wzorca.

— Brzmi to jak coś niebezpiecznego i pochodzącego z amberowskiego krańca Cienia.

— Nie mylisz się w kwestii geografii — zgodziła się. — Ale to wcale nie jest niebezpieczne... Jeśli tylko wiesz, jak się do tego zabrać.

— Jak rozumiem, te światy, które mieszczą w sobie cień Wzorca, mogą zawierać tylko wersje niedoskonałe. A to zawsze przedstawia ryzyko.

— Tylko wtedy, kiedy ktoś nie wie, co robić.

— I skłoniłaś Julię, żeby przeszła ten... Pęknięty Wzorzec?

— O tym, co nazywasz przejściem Wzorca, wiem tylko tyle, ile powiedzieli mi mój nieżyjący mąż i Rinaldo. Jak rozumiałam, należy podążać wzdłuż linii od określonego zewnętrznego punktu początkowego do wewnętrznego końcowego, gdzie zyskuje się moc.

— Tak — potwierdziłem.

— W Drodze Pękniętego Wzorca — wyjaśniła — wkraczasz przez skazę i zmierzasz do centrum.

— Jak możesz podążać wzdłuż linii, jeśli są przerywane albo nieprecyzyjne? Prawdziwy Wzorzec zniszczy cię, jeśli zejdziesz ze ścieżki.

— Nie podążasz wzdłuż linii. Idziesz po szczelinach.

— A kiedy docierasz do celu? — spytałem.

— Wtedy nosisz w sobie obraz Pękniętego Wzorca.

— I jak możesz nim czarować?

— Poprzez niedoskonałość. Przywołujesz obraz, a on jest jak studnia ciemności, z której czerpiesz moc.

— A w jaki sposób podróżujesz przez cienie?

— Tak jak wy... o ile wiem — odparła. — Ale zawsze pozostaje z tobą pęknięcie.

— Pęknięcie? Nie rozumiem.

— Skaza Wzorca. Podąża za tobą przez Cień. Zawsze jest przy tobie, czasem jako rysa cienka jak włos, czasem jako otchłań. Przemieszcza się; może zjawić się nagle, gdziekolwiek... zakłócenie rzeczywistości. To zagrożenie dla tych z Pękniętej Drogi. Wpadnięcie tam to ostateczna śmierć.

— W takim razie musi też istnieć we wszystkich twoich zakłóciach, jak pułapka.

— Każde zajęcie wiąże się z ryzykiem — oświadczyła. — Unikanie go jest elementem sztuki.

— I przez taką inicjację przeprowadziłaś Julię?

— Tak.

— I Victora?

— Tak. — Rozumiem, co mówisz — stwierdziłem. — Ale musisz wiedzieć, że pęknięte Wzorce czerpią swą moc z prawdziwego.

— Oczywiście. I co z tego? Wizerunek jest prawie tak dobry jak oryginał. Pod warunkiem, że zachowujesz ostrożność.

— Tak z ciekawości: ile jest takich użytecznych wizerunków?

— Użytecznych?

— Z cienia na cień muszą się degenerować. W którym miejscu wyznaczasz granicę i mówisz „Poza tym pękniętym obrazem nie będę ryzykować skręcenia karku?”

— Rozumiem, o co ci chodzi. Pracować można mniej więcej z pierwszą dziewiątką. Nigdy nie posunęłam się dalej. Pierwsze trzy są najlepsze. Z kręgiem następnych trzech można sobie dać radę. Następne trzy są o wiele bardziej ryzykowne.

— Przy każdym większa przepaść?

— Właśnie.

— Dlaczego udzielasz mi tych wszystkich, niewątpliwie poufnych informacji?

— Przeszedłeś inicjację na wyższym poziomie, więc to bez znaczenia. Poza tym, w żaden sposób nie możesz niczego zmienić. I wreszcie, musisz to wiedzieć, by zrozumieć dalszą część tej historii.

— Jasne.

Mandor puknął w stół i przed nami pojawiły się niewielkie kryształowe pucharki cytrynowego sorbetu. Zrozumieliśmy aluzję i przed podjęciem dalszej rozmowy splukaliśmy nim podniebienia. Za oknem cienie chmur sunęły po górskich zboczach. Delikatna melodia wpływała do pokoju z jakiegoś miejsca w głębi korytarza. Brzęki i stuki, podobne do dalekich odgłosów pracy kilofów i łopat, dobiegały z zewnątrz... prawdopodobnie z cytadeli.

— A więc zainicjowałaś Julię — odpowiedziałem.

— Tak.

— I co potem?

— Nauczyła się przywoływać wizerunek Pękniętego Wzorca i wykorzystywać go dla magicznego wzroku i dla wieszania zaklęć. Nauczyła się przez szczeliny czerpać pierwotną moc. Nauczyła się odnajdywać drogę w Cieniu...

— Uważając na otchłań — dokończyłem.

— Właśnie. I była wyraźnie uzdolniona. Szczerze mówiąc, miała talent do wszystkiego.

— Dziwię się, że śmiertelnik potrafi przekroczyć nawet pęknięty obraz Wzorca i przeżyć.

— Tylko nielicznym się to udaje — wyjaśniła Jasra. — Inni następują na linię albo w tajemniczy sposób umierają na uszkodzonym obszarze. Przechodzi jakieś dziesięć procent. To dobrze. Dzięki temu wyczyn staje się nieco bardziej elitarny. Z nich tylko kilku potrafi opanować właściwe kunszty magiczne i osiągnąć pozytywne wyniki jako adept.

— I twierdzisz, że kiedy już dowiedziała się, o co chodzi, Julia była lepsza niż Victor?

— Tak. Nie doceniałam jej zdolności, póki nie było za późno.

Czułem na sobie jej spojrzenie... jakby czekała na reakcję. Wyprostowałem się i uniosłem brew.

— Tak — mówiła dalej, wyraźnie usatysfakcjonowana. — Nie wiedziałeś, że to Julię atakujesz koło Fontanny, prawda?

— Nie — przyznałem. — Maska zastanawiał mnie od samego początku. W żaden sposób nie mogłem sobie wytłumaczyć, o co mu chodzi. Kwiaty były wyjątkowo niezwykłym posunięciem... I do końca nie rozumiałem, czy to ty czy Maska staliście za tą sztuczką z błękitnymi kamieniami.

Parsknęła śmiechem.

— Błękitne kamienie i grotę, z której pochodzą, to coś w rodzaju rodzinnego sekretu. Materiał to jakby magiczny izolator, a dwa kawałki... poprzednio będące blisko... utrzymują połączenie. Trzymając jeden z nich, osoba wrażliwa może odszukać drugi...

— Przez Cień?

— Tak.

— Nawet jeśli poszukiwacz nie ma poza tym żadnych szczególnych uzdolnień w tym zakresie?

— Nawet wtedy — potwierdziła. — To podobne do śledzenia wędrującej w Cieniu podczas przeskoku. Każdy to potrafi, jeśli tylko jest dostatecznie szybki, dostatecznie czuły. Kamienie poszerzają te możliwości. Pozwalają śledzić trop wędrującej, zamiast niej samej.

— Wędrującej? Chcesz powiedzieć, że ktoś wykorzystał to przeciw tobie?

— Zgadza się.

Zauważyłem, że się rumieni.

— Julia? — domyśliłem się.

— Zaczynasz rozumieć.

— Nie... No, może trochę. Była bardziej uzdolniona, niż się spodziewałaś. To już mówiłaś. Odniosłem wrażenie, że oszukała cię jakoś. Ale nie wiem jak i w czym.

— Sprowadziłam ją tutaj — wyjaśniła Jasra. — Przybyłam po narzędzia, które chciałam zabrać do pierwszego kręgu cieni w pobliżu Amberu. Obejrzała wtedy moją pracownię w Twierdzy. Może też byłam wtedy nazbyt gadatliwa. Ale skąd miałam wiedzieć, że notuje wszystko w pamięci i że pewnie układa plany? Wydawała się zbyt przestraszona, by o czymś takim pomyśleć. Muszę przyznać, że jest całkiem niezłą aktorką.

— Czytałem dziennik Victora — wtrąciłem. — Jak zrozumiałem, przez cały czas byłaś zamaskowana albo w kapturze, i używałaś jakiegoś zaklęcia zniekształcającego głos?

— Tak. Ale zamiast przestraszyć Julię i skłonić ją do posłuszeństwa, wzbudziłam chyba jej ciekawość magii. Wydaje mi się, że ukradła jeden z moich tragolitów... tych niebieskich kamieni. Reszta to już historia.

— Nie dla mnie.

Przede mną zmaterializowała się parująca salaterka z nieznanymi, ale wspaniale pachnącymi jarzynami.

— Zastanów się.

— Zabrałaś ją do Pękniętego Wzorca, gdzie przeszła inicjację... — zacząłem.

— Tak.

— Przy pierwszej sposobności wykorzystała... tragolit, żeby wrócić do Twierdzy i poznać twoje sekrety.

Jasra lekko klasnęła w dłonie, spróbowała jarzyn i natychmiast zaczęła jeść. Mandor uśmiechnął się.

— Nie mam pojęcia co dalej — wyznałem.

— Bądź grzecznym chłopcem i zjedz sałatkę — doradziła.

Posłuchałem.

— W tej niezwyklej historii swoje wnioski opieram wyłącznie na znajomości ludzkiej natury — wtrącił nagle Mandor. — Moim zdaniem, zapragnęła wypróbować pazury, nie tylko skrzydła. Sądzę, że wróciła i wyzwała swego dawnego mistrza... tego Victora Melmana. Stoczyła z nim magiczny pojedynek.

Słyszałem, że Jasra nabiera tchu.

— Czy to naprawdę tylko domysł? — spytała niepewnie.

— Naprawdę — zapewnił. Zakreślił wino w kielichu. — Zgaduję też, że kiedyś i ty postąpiłaś podobnie ze swoim nauczycielem.

— Jaki diabeł ci o tym doniósł?

— To tylko przypuszczenie, że Sharu Garrul był twoim mistrzem... i może czymś więcej. Ale wyjaśnia zarówno zdobycie Twierdzy, jak i zaskoczenie jej dawnego pana. Może nawet przed porażką zdążył rzucić kłótnię, by i ciebie kiedyś spotkał podobny los. Jeśli nie, to i tak w naszym zawodzie podobne czyny często zataczają krąg i uderzają w zdrajcę.

Zachichotała.

— Zatem był to diabeł zwany Rozsądkiem — mruknęła z nutką podziwu. — Przywołujesz go intuicyjnie, a to wielka sztuka.

— Dobrze wiedzieć, że ciągle zjawia się na wezwanie. Domyślam się, że Julia była zaskoczona, gdy Victor zdołał się jej oprzeć.

— Istotnie. Nie przewidziała, że staramy się osłaniać uczniów jedną czy dwoma barierami ochronnymi.

— Ale jej bariera też okazała się wystarczająca... co najmniej.

— Fakt. Chociaż było to równoważne klęsce. Wiedziała bowiem, że dotrze do mnie wiadomość o jej buncie i wkrótce zjawię się, by ją ukarać.

— Doprawdy? — wtrąciłem.

— Tak — potwierdziła. — Dlatego zaaranżowała swoją śmierć. Muszę przyznać, że oszukała mnie. Przez długi czas wierzyłam, że zginęła.

Przypomniałem sobie tamten dzień, kiedy odwiedziłem mieszkanie Julii, znalazłem jej ciało, a potem zaatakowała mnie bestia. Zwłoki miały twarz częściowo zmasakrowaną i zalaną krwią. Były jednak odpowiedniego wzrostu, a ogólne podobieństwo mogło zmylić. W dodatku znalazłem je w odpowiednim miejscu. Potem stałem się obiektem uwagi przyczajonego, psopodobnego stwora, a to utrudniło szczegółową identyfikację. A kiedy, przy akompaniamencie coraz głośniejszych syren, walka o moje życie dobiegła końca, bardziej niż dalsze śledztwo interesowała mnie ucieczka. Później, ilekroć wracałem pamięcią do tej sceny, widziałem we wspomnieniach martwe ciało Julii.

— Niesamowite — stwierdziłem. — Ale w takim razie, czyje zwłoki znalazłem?

— Nie mam pojęcia — odparła. — Mógł to być jeden z jej cieni albo jakaś przypadkowa kobieta z ulicy. Albo ciało wykradzione z kostnicy. Skąd mogę wiedzieć?

— Miała jeden z twoich niebieskich kamieni.

— Tak. A drugi do pary był na obroży tej bestii, którą zabiłeś. Julia otworzyła przejście, żeby zwierzę mogło się przedostać.

— Po co? I jak wyjaśnić tego Mieszkańca Progu?

— Klasyczny manewr dla odwrócenia uwagi. Victor uważał, że to ja ją zabiłam, a ja uznałam, że on. Założył, że otworzyłam drogę z Twierdzy i posłałam za nią tę gończą bestię. A ja wierzyłam, że on tego dokonał. Byłam zła, że ukrywa przede mną tak szybkie postępy. Takie sprawy zwykle źle wróżą.

Przytaknąłem.

— Hodujesz te stwory gdzieś w pobliżu?

— Tak — przyznała. — I wystawiam je w paru przyległych cieniach. Mam kilku medalistów.

— Wolę pitbullterier — oświadczyłem. — Są miłsze i lepiej ułożone. Do rzeczy. Zostawiła ciało i ukryte przejście tutaj, a ty uznałaś, że to Victor przygotowuje atak na twoje *sanctum sanctorum*.

— Mniej więcej.

— A on pomyślał, że stała się dla ciebie niebezpieczna... choćby z powodu tego korytarza... i postanowiłaś ją zlikwidować?

— Nie jestem pewna, czy w ogóle znalazł korytarz. Sam się przekonałeś, że był dobrze ukryty. W każdym razie, żadne z nas nie wiedziało, co naprawdę zrobiła.

— A co?

— Podrzuciła mi kawałek tragolitu. Później, po inicjacji, wykorzystała drugi i podążyła za mną przez Ciebie aż do Begmy.

— Begmy? Co tam robiłaś, u licha?

— Nic ważnego — zapewniła szybko. — Wspominam o tym tylko po to, żeby pokazać, jak była sprytna. Wtedy nie próbowała się do mnie zbliżyć. Szczerze mówiąc, wiem o wszystkim, bo później sama mi powiedziała. Potem śledziła mnie od granic Złotego Kręgu z powrotem do Twierdzy. Resztę już znasz.

— Nie jestem przekonany.

— Znała to miejsce. Kiedy mnie zaskoczyła, byłam zaskoczona naprawdę. W taki sposób zostałam wieszakiem.

— A ona przejęła rządy, dla celów reprezentacyjnych wkładając hokejową maskę. Mieszkała tu jakiś czas, nabierała mocy, zwiększała umiejętności, wieszala na tobie parasolki...

Jasra warknęła cicho, a ja przypomniałem sobie, że jeszcze gorsze byłoby jej ukąszenie. Szybko zmieniłem temat.

— Nadal nie rozumiem, czemu mnie szpiegowała i od czasu do czasu obrzucała kwiatami.

— Mężczyźni są beznadziejni. — Jasra wychyliła kielich. — Odgadłeś wszystko oprócz jej motywów.

— Szukała mocy — zdziwiłem się. — Co tu jest jeszcze do zgadywania? Pamiętam nawet, że kiedyś stoczyliśmy długą dyskusję na temat mocy i władzy.

Usłyszałem parsknięcie Mandora. Kiedy na niego spojrzałem, kręcąc głową odwrócił wzrok.

— Najwyraźniej ciągle jej na tobie zależało — wyjaśniła Jasra. — Prawdopodobnie nawet bardzo. Bawiła się z tobą. Chciała wzbudzić ciekawość. Chciała, żebyś zaczął jej szukać. Chciała wypróbować swoją moc przeciw twojej, pokazać ci, że była godna tego wszystkiego, czego jej odmówiłeś, odmawiając zaufania.

— Więc o tym wiesz także.

— Był czas, kiedy rozmawiała ze mną szczerze.

— Czyli zależało jej na mnie tak bardzo, aż wysłała morderców z tragolitami, żeby wysłedzili mnie w Amberze i spróbowali zabić. Prawie im się udało.

Jasra odwróciła wzrok i zakaszła. Mandor wstał natychmiast, okrążył stół i stanął między nami, napełniając jej kielich. I kiedy całkiem ją przede mną zasłonił, usłyszałem jej cichy głos.

— Niezupełnie tak. To ja wysłałam tych ludzi. Rinalda nie było przy tobie i nie mógł cię ostrzec, o co go podejrzewałam. Uznałam, że trafia się jeszcze jedna szansa.

— Aha — mruknąłem. — Dużo jeszcze takich wysłanników włóczy się po okolicy?

— Ci byli ostatni.

— Miło to słyszeć.

— Nie usprawiedliwiam się. Informuję tylko, żebyśmy wyjaśnili sobie pewne nieporozumienia. Czy te sprawy też zechcesz uznać za załatwione? Muszę to wiedzieć.

— Powiedziałem już, że rachunki zostały wyrównane. Nie cofam tego. Ale skąd wziął się w tym wszystkim Jurt? Nie mogę pojąć, jak tych dwoje się spotkało i kim są dla siebie nawzajem.

Mandor wrócił na miejsce, przedtem mnie również dolewając kropelkę wina. Jasra spojrzała mi w oczy.

— Nie wiem — rzekła. — Kiedy walczyłyśmy, nie miała żadnych sprzymierzeńców. To musiało nastąpić, kiedy byłam sztywna.

— Domyślasz się może, gdzie mogli uciec z Jurtem?

— Nie.

Zerknąłem na Mandora. Pokręcił głową.

— Ja też nie — stwierdził. — Chociaż... ciekawa myśl przyszła mi do głowy.

— Tak?

— Pomijając fakt, że Jurt pokonał Logrus i uzyskał moc, muszę zauważyć, że... jeśli nie liczyć jego blizn i ubytków... jest bardzo do ciebie podobny.

— Jurt? Do mnie? Chyba żartujesz. Spojrzał na Jasrę.

— Ma rację — przyznała. — Widać, że jesteście spokrewnieni. Odłożyłem widelec i pokręciłem głową.

— Absurd — orzekłem, bardziej w odruchu samoobrony niż z rzeczywistego przekonania. — Nigdy nic nie zauważyłem. Mandor ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

— Masz ochotę na wykład o psychologii zaprzeczania faktom? — spytała Jasra.

— Nie. Mam ochotę na chwilę spokoju, żeby się z tym oswoić.

— I tak pora na kolejne danie — oznajmił Mandor. Wykonał szeroki gest i pojawiło się.

— Nie będziesz miał przykrości ze strony krewnych za to, że mnie uwolniłeś? — zainteresowała się po chwili Jasra.

— Zanim zauważą, że zniknęłaś, przygotuję jakąś dobrą legendę — uspokoiłem ją.

— Inaczej mówiąc, będziesz miał — stwierdziła.

— Może trochę.

— Zobaczę, w czym mogę pomóc.

— O co ci chodzi?

— Nie lubię długów wobec nikogo — wyjaśniła. — A w tej sprawie ty zrobiłeś dla mnie więcej niż ja dla ciebie. Jeśli znajdę jakiś sposób, aby odwrócić od ciebie ich gniew, to go użyję.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Zostawmy to na razie. Czasami lepiej zbyt dużo nie wiedzieć.

— Nie podoba mi się twój ton.

— To doskonały powód do zmiany tematu — oświadczyła. — Jak groźnym przeciwnikiem stał się Jurt?

— Dla mnie? — spytałem. — Czy boisz się, że wróci tu po drugą porcję?

— Jedno i drugie, skoro tak to ujmujesz.

— Uważam, że zabiłby mnie, gdyby tylko zdołał. — Obejrzałem się na Mandora. Pokiwał głową.

— Obawiam się, że to prawda — mruknął.

— Czy tu powróci po więcej tego, co już otrzymał... — mówiłem dalej. — Sama najlepiej potrafisz to osądzić. Jak bardzo się zbliżył do opanowania pełnej mocy, którą można uzyskać drogą rytuału w Fontannie?

— Trudno precyzyjnie określić. Wypróbowywał ją w dość nietypowych warunkach. Może jakieś pięćdziesiąt procent. Zgaduję tylko. Czy to mu wystarczy?

— Może. Jak niebezpieczny się stanie?

— Bardzo. Kiedy już uzyska pełną moc. Z drugiej strony, musi zdawać sobie sprawę, że to miejsce będzie pilnie strzeżone, trudne do zdobycia nawet dla kogoś takiego jak on... gdyby postanowił wrócić. Podejrzewam, że będzie się trzymał z daleka. Sam Sharu, w jego obecnej sytuacji, stanowi bardzo trudną przeszkodę.

Jadłem dalej.

— Julia poradzi mu pewnie, żeby zrezygnował — kontynuowała Jasra. — Zna przecież to miejsce.

Skinąłem głową, godząc się z jej opinią. Spotkamy się, kiedy przyjdzie pora. W tej chwili niewiele mogę zrobić, by tego uniknąć.

— Czy teraz ja mogę zadać pytanie? — rzuciła.

— Nie krępuj się.

— *Ty'iga*...

— Tak?

— Nawet w ciele córki diuka Orkuza, nie mogła przecież tak po prostu wejść do pałacu i zjawić się w twoim apartamencie.

— Raczej nie — zgodziłem się. — Przybyła z oficjalną delegacją.

— Wolno spytać, kiedy przyjechali?

— Dzisiaj, koło południa. Obawiam się jednak, że nie mogę ci zdradzić szczegółów...

Machnęła upierścienioną dłonią.

— Nie interesują mnie tajemnice państwowe — oświadczyła. — Chociaż wiem, że Nayda zwykle towarzyszy ojcu jako sekretarz.

— Zatem?

— Czy jej siostra przybyła także, czy została w domu?

— To znaczy Coral? — upewniłem się.

— Tak.

— Przyjechała.

— Dziękuję — rzuciła Jasra i zajęła się jedzeniem.

Do licha! O co tu chodzi? Czyżby wiedziała o Coral coś, czego ja nie wiem? Coś, co może mieć związek z jej obecną, nieokreśloną sytuacją? Jeśli tak, ile będzie mnie kosztować zdobycie tej informacji?

— Dlaczego pytasz? — zacząłem.

— Zwykła ciekawość — zapewniła. — Znałam tę rodzinę w... szczęśliwszych czasach. Sentymalna Jasra? Nigdy. Więc co?

— Przypuśćmy, że ta rodzina ma jeden czy dwa problemy... — zastanowiłem się głośno.

— Pomijając fakt, że *ty'iga* zawładnęła Naydą?

— Tak.

— Przykro byłoby mi to słyszeć — odparła. — Jakie problemy?

— Drobną sprawą zaginięcia. Dotyczy Coral.

Brzęknęło, kiedy upuściła widelec na talerz.

— O czym ty mówisz? — spytała zdumiona.

— O przemieszczeniu.

— Coral? Jak? Gdzie?

— To zależy od tego, ile naprawdę o niej wiesz — odparłem.

— Lubię tę dziewczynę. Nie drażnij się ze mną. Co się stało?

Bardziej niż trochę zastanawiające. Ale nie takiej odpowiedzi szukałem.

— Dobrze znałaś jej matkę?

— Kintę? Poznałam ją na jakimś spotkaniu dyplomatów. Piękna kobieta.

— A co wiesz o ojcu?

— No cóż, należy do królewskiego rodu, ale z gałęzi nie mającej praw do tronu. Zanim został premierem, Orkuz był ambasadorem Begmy w Kashfie. Mieszkał z rodziną, więc naturalnie często się z nimi spotykałam...

Podniosła głowę, gdy uświadomiła sobie, że się jej przyglądam... poprzez Znak Logrusu, ponad Pękniętym Wzorcem, spotkały się nasze spojrzenia.

— Aha. Pytałeś o jej ojca... — Uśmiechnęła się. Urwała na chwilę, a ja kiwnąłem głową. — Czyli ta plotka zawierała ziarno prawdy... — mruknęła wreszcie.

— Naprawdę nie wiedziałaś?

— Tyle jest plotek na świecie... a większości nie da się sprawdzić. Skąd mam wiedzieć, które są prawdziwe? I czemu ma mnie to interesować?

— Masz rację, naturalnie — zgodziłem się. — Mimo to... — Kolejny numer na boku tego staruszka. — Westchnęła. — Czy ktoś pilnuje rachunku? To cud, że miał jeszcze czas na sprawy państwowe.

— Jakoś sobie radził.

— Szczerze zatem. Nawet pomijając plotki, jakie do mnie docierały, istnieje pewne rodzinne podobieństwo. Chociaż trudno mi o tym sądzić, jako że nie znam osobiście większości rodziny. Mówisz, że to prawda?

— Tak.

— Ze względu na podobieństwo, czy jest może coś więcej?

— Coś więcej.

Uśmiechnęła się słodko i podniosła widelec.

— Zawsze lubiłam zakończenia bajek, gdzie ktoś zyskiwał pozycję w świecie.

— Ja również — zgodziłem się i wróciłem do jedzenia.

Mandor chrząknął.

— To chyba niezbyt uczciwe, opowiadać tylko część historii — zauważył.

— Masz rację — przyznałem. Jasra spojrzała na mnie.

— No dobrze. — Westchnęła. — Zapytam. Skąd masz pew... Och! Naturalnie. Wzorzec.

Przytaknąłem.

— No, no. Mała Coral panią Wzorca. To nastąpiło niedawno?

— Istotnie.

— Przypuszczam, że świętuje teraz gdzieś w Cieniu.

— Chciałbym to wiedzieć.

— Nie rozumiem.

— Przeniosła się, ale nie wiem dokąd. I to Wzorzec tego dokonał.

— W jaki sposób?

— Dobrze pytanie. Nie mam pojęcia.

Mandor odkaszlnął.

— Merlinie... — zaczął. — Są może pewne sprawy... — Zatoczył krąg lewą dłonią — ...które po namyśle wolałbyś...

— Nie — odparłem. — Normalnie zachowałbym dyskrecję. Może nawet wobec ciebie, mojego brata, jako Lorda Chaosu. A z pewnością w przypadku jej wysokości. — Skłoniłem się Jasrze. — Co prawda, znasz Coral i może nawet żywisz dla niej cieplejsze uczucia. — Uznałem, że nie należy przesadzać. — A przynajmniej nie żywisz niechęci.

— Powiedziałam, że lubię tę dziewczynę — oznajmiła Jasra, pochylając się lekko.

— To dobrze. Czuję się bowiem przynajmniej w części odpowiedzialny za to, co zaszło. Nawet jeśli zostałem oszukany. Dlatego mam obowiązek spróbować to naprawić. Tyle że nie wiem, w jaki sposób.

— Co się stało? — zapytała.

— Oprowadzałem ją, kiedy wyraziła chęć obejrzenia Wzorca. Ustąpiłem. Po drodze wypytywała mnie o wszystko. Uznałem to za niewinną rozmowę i zaspokajałem jej ciekawość. Nie słyszałem plotek o jej pochodzeniu; inaczej zacząłbym coś podejrzewać. Tymczasem, kiedy już dotarliśmy na miejsce, Coral stanęła na Wzorcu i rozpoczęła przejście.

Jasra odetchnęła głęboko.

— Zniszczyłby każdego obcej krwi — stwierdziła. — Zgadza się?

Skinałem głową.

— A nawet kogoś z nas — dodałem. — Gdyby popełnił jakikolwiek błąd.

— A gdyby jej matka zadawała się z piechurem albo kucharzem? — Jasra zachichotała.

— Coral jest rozsądną córką — zauważyłem. — W każdym razie, kiedy ktoś wstąpi na Wzorzec, nie może już zawrócić. Musiałem po drodze udzielać jej instrukcji. Albo okazać się złym gospodarzem i zaszkodzić stosunkom Amberu i Begmy.

— A przy okazji zerwać delikatne negocjacje? — domyśliła się na wpół poważnie.

Miałem wrażenie, że chętnie powitałaby dygresję na temat celów wizyty begmańskiej delegacji. Nie chwyciłem przynęty.

— Można to tak określić — zgodziłem się. — W rezultacie zakończyła przejście, a potem Wzorzec gdzieś ją zabrał.

— Mój nieżyjący mąż twierdził, że stojąc w centrum można nakazać Wzorcowi, by przeniósł człowieka wszędzie, gdzie tylko ten zapragnie.

— To prawda — przyznałem. — Ale właśnie jej polecenie było dość niezwykłej natury. Rozkazała Wzorcowi, by przeniósł ją tam, gdzie zechce.

— Obawiam się, że nie całkiem rozumiem.

— Ja też nie, ale zrobiła to, i Wzorzec także.

— Chcesz powiedzieć, że rozkazała: „Poślij mnie tam, gdzie masz ochotę mnie posłać” i natychmiast przeniosła się w nieznanym kierunku?

— Właśnie tak.

— To sugerowałoby rodzaj inteligencji Wzorca.

— Chyba że zareagował na jej podświadome pragnienie, by odwiedzić jakąś szczególną okolicę.

— Fakt. Istnieje taka możliwość. Ale czy nie masz sposobu, żeby ją odszukać?

— Zrobiłem jej Atut. I dotarłem do niej, kiedy go użyłem. Odniosłem wrażenie, że jest uwięziona w jakimś ciemnym miejscu. Potem straciliśmy kontakt. To wszystko.

— Jak dawno to się stało?

— W moim subiektywnym odczuciu to kwestia kilku godzin — wyjaśniłem. — Czy tutaj czas jest zbliżony do czasu Amberu?

— Mniej więcej. Dlaczego nie próbowałeś po raz drugi?

— Byłem trochę zajęty. Poza tym, szukałem jakiegoś innego rozwiązania.

Rozległ się brzęk i stukanie. Poczułem kawę.

— Jeśli chcesz wiedzieć, czy ci pomogę, odpowiedź brzmi: tak — rzekła Jasra. — Chociaż nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. A gdybyś znowu spróbował sięgnąć do niej przez Atut, przy moim wsparciu... może nam się uda.

— Zgoda. — Odstawiłem filiżankę i wyjąłem karty. — Warto sprawdzić.

— Ja też pomogę — wtrącił Mandor. Powstał i stanął po mojej prawej ręce.

Jasra podeszła i zajęła pozycję z lewej. Trzymałem Atut, żebyśmy wszyscy wyraźnie widzieli portret.

— Zaczynamy — rzuciłem i sięgnąłem umysłem przez kartę.

ROZDZIAŁ 3

Plamka światła, którą z początku wziąłem za zbłąkanego słonecznego zajaczkę, przepłynęła z podłogi na miejsce tuż obok mojej filizanki. Miała kolisty kształt. Postanowiłem o niej nie wspominać, ponieważ żadne z pozostałej dwójki nie zwróciło na nią uwagi.

Szukałem Coral, ale nie znalazłem niczego. Poczułem, że Mandor i Jasra także sięgają, i spróbowałem ponownie, łącząc się z nimi. Mocniej.

Coś?

Coś... Pamiętam, zastanawiałem się niedawno, co czuje Vialle, kiedy używa Atutów. To coś innego od wizualnych sugestii, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Może właśnie takiego.

Coś.

Wyczułem obecność Coral. Spoglądałem na jej portret, ale nie nabierała życia. Sama karta wyraźnie się oziębiła, jednak nie był to ten lodowaty chłód, jaki występuje przy nawiązaniu kontaktu. Spróbowałem mocniej. Wyczułem, że Mandor i Jasra także zwiększają wysiłek.

Wizerunek Coral na karcie przybladł, ale nic go nie zastąpiło. Spoglądając w pustkę, wyczuwałem jednak jej obecność. Wrażenie było zbliżone do tego, jakie się przeżywa, próbując nawiązać łączność z kimś pograżonym we śnie.

— Trudno powiedzieć, czy to po prostu miejsce szczególnie trudne dla kontaktu — zaczął Mandor. — Czy raczej...

— Moim zdaniem ona jest pod wpływem zaklęcia — orzekła Jasra.

— To by częściowo tłumaczyło zjawisko — zgodził się Mandor.

— Ale tylko częściowo — zabrzmiał z bliska cichy, znajomy głos. — Trzymają ją potężne siły, tato. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

— Ghostwheel ma rację — zgodził się Mandor. — Zaczynam to odczuwać.

— Tak — mruknęła Jasra. — Jest tam coś...

I nagle pękła zasłona. Zobaczyłem skuloną postać Coral, najwyraźniej nieprzytomną, leżącą na czarnej płaszczyźnie w głębokiej ciemności, rozjaśnianej tylko wykreślonym wokół niej kręgiem płomieni. Choćby chciała, nie mogłaby mnie tam przenieść, a w dodatku...

— Ghost, potrafisz mnie do niej przerzucić? — zapytałem.

Wizja Coral rozplynęła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Poczułem zimny podmuch. Dopiero po kilku sekundach zdałem sobie sprawę, że wieje z lodowatej teraz karty.

— Nie przypuszczam, nie chciałbym, a możliwe, że nie będzie takiej potrzeby — odpowiedział Ghost. — Moc, która ją więzi, jest już świadoma waszego zainteresowania i obecnie sięga w tym kierunku. Czy możesz jakoś wyłączyć Atut?

Przesunąłem nad nim dłoń, co zwykle wystarczało. Nic z tego. Zimny podmuch nabierał siły. Powtórzyłem gest, wydając w myślach polecenie. Zacząłem odczuwać, że cokolwiek to jest, ogniskuje się na mnie.

I wtedy na Atut padł Znak Logrusu. Coś wyrwało mi kartę, a mnie odrzuciło w tył. Uderzyłem ramieniem o drzwi. Mandor odskoczył na prawo i złapał stół, by utrzymać równowagę. Zanim karta upadła, logrusowym wzrokiem widziałem strzelające z niej, szalejące linie światła.

— Czy to załatwiło sprawę? — zawołałem.

— Przerwało połączenie — stwierdził Ghost.

— Dzięki, Mandorze.

— Ale ta moc, która sięgała do ciebie poprzez Atut, teraz już wie, gdzie jesteś.

— Na jakiej podstawie wyciągasz takie wnioski? — zdziwiłem się.

— To tylko domysł, oparty na fakcie, że nadal cię szuka. Dociera tu okrężną drogą, przez przestrzeń. Może minąć nawet piętnaście sekund, zanim cię osiągnie.

— Czy to znaczy, że zależy jej tylko na Merlinie? — zainteresowała się Jasra. — Czy nadciąga po nas wszystkich?

— Odpowiedź niepewna. Merlin jest ogniskiem. Nie mam pojęcia, co zrobi z wami.

Podczas tej wymiany zdań, pochyliłem się i podniosłem Atut Coral.

— Potrafisz nas osłonić? — spytała Jasra.

— Rozpocząłem już transfer Merlina w pewne odległe miejsce. Czy was również przerzucić?

Schowałem Atut i podniosłem głowę. Komnata była teraz nie całkiem rzeczywista... półprzezroczysta, jakby wszystko zrobione było z kolorowego szkła.

— Proszę... — odezwała się cicho witrażowa figura Jasry.

— Tak — dodało zanikające echo głosu mojego brata. Przepląnąłem przez ognistą obręcz w ciemność. Potknąłem się, oparłem o kamienną ścianę, wymacałem drogę wzdłuż niej. Ćwierć obrotu, przede mną jaśniejszy obszar nakrapiany punktami światła...

— Ghost — rzuciłem.

Żadnej odpowiedzi.

— Nie podobają mi się takie rozmowy urwane w pół zdania — oznajmiłem.

Ruszyłem dalej, aż dotarłem do czegoś, co w oczywisty sposób było wyjściem z jaskini. Przede mną wisiało czyste, nocne niebo, a kiedy wyszedłem na zewnątrz, poczułem chłodny wiatr. Drżąc, cofnąłem się o kilka kroków.

Nie miałem pojęcia, gdzie się znalazłem. To zresztą bez znaczenia, jeśli tylko zyskałem chwilę spokoju. Sięgnąłem przez Znak Logrusu i znalazłem gruby koc. Opatuliłem się i usiadłem na ziemi. Sięgnąłem znowu. Bez trudu wyszukałem wiązkę chrustu i z największą łatwością rozpałiłem ogień. Miałem ochotę na drugą filiżankę kawy. Zastanowiłem się...

Dlaczego nie? Sięgnąłem jeszcze raz, a jasny krążek wytoczył się i znieruchomiał przede mną.

— Tato! Przestań, proszę! — usłyszałem pełen wyrzutu głos. — Sporo kłopotu kosztowało mnie znalezienie ci kryjówki w tym zapomnianym skrawku Cienia. Zbyt wiele przywołań, a znowu zwrócisz na siebie uwagę.

— Daj spokój — mruknąłem. — Chciałem tylko filiżankę kawy.

— Przyniosę ci. Ale przez jakiś czas lepiej nie używaj własnej mocy.

— A dlaczego twoje działania nie ściągają na nas uwagi?

— Korzystam z trasy okrężnej. Masz.

Parujący kubek z ciemnej gliny stanął na ziemi obok mojej prawej dłoni.

— Dzięki. — Podniosłem go i powąchałem napój. — Co zrobiłeś z Jasrą i Mandorem?

— Każde w was posłałem w innym kierunku, pośród hordy fałszywych wizerunków śmigających tam i z powrotem. Teraz musisz tylko przycichnąć na jakiś czas. Niech jej uwaga się rozproszy.

— Czyja uwaga? Jaka uwaga?

— Tej mocy, która uwięziła Coral. Nie chcemy, żeby nas tu znalazła.

— Dlaczego nie? O ile pamiętam, zastanawiałeś się niedawno, czy nie jesteś bogiem. Czego możesz się obawiać?

— Prawdziwego boga. Ta moc jest silniejsza ode mnie. Chociaż z drugiej strony, ja chyba jestem szybszy.

— To już coś.

— Wyśpij się dobrze. Rankiem dam ci znać, czy ciągle na ciebie poluje.

— Może sam się przekonam.

— Unikaj manifestacji mocy, chyba że będzie to kwestia życia lub śmierci.

— Nie o to mi chodziło. Przypuśćmy, że mnie znajdzie.

— Rób to, co uznasz za stosowne.

— Dlaczego mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz?

— Przypuszczam, tato, że jesteś z natury podejrzliwy. To chyba cecha rodzinna. Teraz muszę już iść.

— Dokąd? — zdziwiłem się.

— Sprawdzić, co z pozostałymi. Załatwić parę spraw. Dopilnować własnego rozwoju. Skontrolować eksperymenty. Takie rzeczy. Na razie.

— Co z Coral?

Ale zawieszony przede mną krążek światła z jaskrawego stał się przyćmiony i zniknął — bezdyskusyjne zakończenie rozmowy. Ghost coraz bardziej przypominał nas wszystkich: stawał się wykrętny i nieszczerzy.

Łyknąłem kawy. Nie tak dobra jak Mandora, ale do wytrzymania. Ciekawe, gdzie trafili Mandor i Jasra. Uznałem, że lepiej nie próbować z nimi kontaktu. Pomyślałem też, że dobrze będzie ufortyfikować własną pozycję dla obrony przed magicznym atakiem.

Ponownie przywołałem Znak Logrusu, który wysliznął się, kiedy Ghost mnie przerzucił. Z jego pomocą ustawiłem bariery przy wejściu do jaskini i wewnątrz, dookoła siebie. Potem uwolniłem go i wypilem trochę kawy. Zdałem sobie sprawę, że to nie uratuje mnie przed zaśnięciem. Opadało psychiczne napięcie i nagle zaciążyły mi trudy całego dnia. Jeszcze dwa łyki, i ledwie mogłem utrzymać kubek. Następny, i zauważyłem, że z każdym mrugnięciem powieki zamykają się o wiele łatwiej, a otwierają trudniej.

Odstawiłem kubek, szczelniej owinąłem się w koc i znalazłem stosunkowo wygodną pozycję na skalnym podłożu. Po okresie spędzonym w kryształowej grocie, byłem swego rodzaju ekspertem od takich spraw. Migotanie ognia ustawiało pod powiekami szyki armii cieni. Trzaskanie głowni przypominało brzęk mieczy. Powietrze pachniało smołą.

Odpłynąłem. Sen jest może jedyną dostępną rozkoszą, która niekoniecznie musi trwać krótko. Wypełnił mnie; dryfowałem. Jak długo i jak daleko, nie wiem.

Nie wiem też, co mnie obudziło. Tyle tylko, że byłem gdzie indziej, a potem nagle wróciłem. Moja pozycja uległa niewielkiej zmianie, zmarzły mi palce u nóg, i czułem, że nie jestem już sam. Nie otwierałem oczu i nie zmieniałem rytmu oddechu. Możliwe, że to Ghost postanowił sprawdzić, co ze mną. A może coś testowało moje bariery ochronne.

Minimalnie uchyliłem powieki i przez zasłone rżęs spojrzałem w górę i na zewnątrz. Przed wejściem do groty stała niska, niekształtna postać. Dogasające ognisko słabo oświetlało dziwnie znajomą twarz. Było w tych rysach trochę mnie, a trochę mojego ojca.

— Merlinie — rzucił cicho przybysz. — Obudź się. Musisz dotrzeć do wielu miejsc i wielu dokonać czynów.

Szeroko otworzyłem oczy. Pasował do pewnego opisu... Frakir zacisnęła się, więc pogładziłem ją i uspokoiłem.

— Dworkin...? — zapytałem.

Zachichotał.

— Poznałeś mnie — stwierdził.

Przechadzał się z jednej strony otworu na drugi. Od czasu do czasu przystawał i wyciągał rękę w moją stronę. Za każdym razem wahał się i cofał ją.

— O co chodzi? — spytałem. — W czym rzecz? Co tu robisz?

— Przybyłem, by znowu wysłać cię w podróż, którą przerwałeś.

— Co to za podróż?

— Poszukujesz zaginionej damy, która wczoraj przeszła Wzorzec.

— Coral? Wiesz, gdzie ona jest?

Uniósł rękę, cofnął ją, zgrzytnął zębami.

— Coral? Tak ma na imię? Wpuść mnie. Musimy o tym porozmawiać.

— Wydaje mi się, że doskonale rozmawiamy tak, jak jesteśmy.

— Nie masz żadnego szacunku dla przodka?

— Mam. Ale mam też zmiennokształtnego brata, który w swojej norze chętnie powiesiłby na ścianie moją głowę. A jest do tego zdolny, jeśli tylko dam mu szansę. — Usiadłem i przetarłem oczy. Zmysły kończyły robotę wracania do normy. — Więc gdzie jest Coral?

— Chodź. Wskażę ci drogę — rzekł, sięgając przed siebie. Tym razem jego dłoń przecięła moją barierę i natychmiast otoczyły ją płomienie. Jakby tego nie zauważył. Jego oczy były niczym dwie ciemne gwiazdy; poderwały mnie na nogi, ściągały ku sobie. Dłoń zaczęła się topić, ciało pociekło i kapało jak wosk. Pod nim nie było kości, ale jakaś dziwna geometryczna siatka... jakby na trójwymiarowej kartce ktoś szybko naszkicował dłoń, a potem okleił ją jakimś podobnym do ciała materiałem. — Chwyć mnie za rękę.

Wbrew swej woli zacząłem podnosić dłoń, sięgać do tych palczastych krzywych, tych wirów kostek. Zachichotał znowu. Czulem, jak przyciąga mnie moc. Pomyślałem, co się stanie, jeśli tę dziwną dłoń chwycę w pewien szczególny sposób.

Przywołałem więc Znak Logrusu i posłałem przodem, żeby zamiast mnie podał rękę.

Nie była to chyba najrozsądniejsza decyzja. Jaskrawy błysk oslepił mnie na moment, a kiedy odzyskałem wzrok, Dworkin zniknął. Szybko przekonałem się, że moje osłony nadal działają. Krótkim, prostym zakłębieniem roznieciłem ogień, zauważyłem, że zostało jeszcze pół kubka kawy i podgrzałem letnią ciecz okrojoną wersją tego samego czaru. Owinąłem się kocem, usiadłem i wypłem trochę. Mimo wysiłków, w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, co przed chwilą zaszło.

Nie znałem nikogo, kto przez ostatnie lata widział tego półobłąkanego demiurga... Chociaż, według opowieści ojca, umysł Dworkina powinien zostać w większej części uleczony, kiedy Oberon naprawił Wzorzec. Jeśli to rzeczywiście Jurt w ten sposób próbował się do mnie przedostać, to wybrał dość dziwną postać. Po namyśle nie byłem nawet pewien, czy Jurt w ogóle wiedział, jak wygląda Dworkin. Zastanowiłem się, czy rozsądnie będzie przywołać Ghostwheela, by zasięgnąć w tej sprawie nieludzkiej opinii. Zanim jednak cokolwiek postanowiłem, gwiazdy na zewnątrz przesłonił kolejny przybysz, o wiele większy niż Dworkin... można wręcz powiedzieć, że zbudowany jak heros.

Jeden krok wprowadził go w zasięg blasku ognia.

Wylałem kawę, kiedy spojrzałem na tę twarz. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale jego portrety wisiały w wielu miejscach pałacu w Amberze.

— Słyszałem, że Oberon zginął, kiedy przerysowywał Wzorzec — powiedziałem.

— Byłeś przy tym obecny? — zapytał.

— Nie — przyznałem. — Ale przybywając tuż za postacią Dworkina, dość niesamowitą, musisz mi wybaczyć podejrzliwość co do twojej *bona fides*.

— Och, to było fałszerstwo. Ja jestem prawdziwy.

— Co w takim razie widziałem?

— Astralną formę pewnego błazna... czarodzieja imieniem Jolos, z czwartego kręgu Cienia.

— Och... — odparłem. — A skąd mam wiedzieć, że ty nie jesteś projekcją kogoś o imieniu J alas, z piątego?

— Mogę ci wyrecytować pełną genealogię królewskiego rodu Amberu.

— To potrafi każdy dobry skryba.

— Dorzucę tych z nieprawego łoża.

— A właściwie, ilu ich było?

— Wiem o czterdziestu siedmiu.

— O rany! Jak dałeś radę?

— Różne strumienie czasu — wyjaśnił z uśmiechem.

— Skoro przeżyłeś rekonstrukcję Wzorca, dlaczego nie wróciłeś do Amberu i do władzy? — zainteresowałem się. — Dlaczego pozwoliłeś na koronację Randoma i wszystkie dalsze komplikacje?

Roześmiał się.

— Wcale nie przeżyłem — stwierdził. — Proces rekonstrukcji zniszczył mnie. Jestem duchem. Powróciłem, by znaleźć człowieka, który będzie reprezentował Amber w walce z rosnącą potęgą Logrusu.

— Przyznajmy, *arguendo*, że jesteś tym, za kogo się podajesz — rzekłem. — Ale trafiłeś pod zły adres. Przeszedłem inicjację Logrusu i jestem synem Chaosu.

— Przeszedłeś również inicjację Wzorca i jesteś synem Amberu — oznajmiła wspaniała postać.

— Fakt — przyznałem. — Tym bardziej nie powinienem się opowiadać po żadnej ze stron.

— Czasem nadchodzi chwila, kiedy mężczyzna musi dokonać wyboru. I ta chwila właśnie nadeszła. Po czyjej staniesz stronie?

— Gdybym nawet uwierzył, że jesteś duchem Oberona, nie mam ochoty na takie deklaracje. Legenda w Dworcach głosi, że sam Dworkin przeszedł inicjację Logrusu. Jeśli to prawda, biorę tylko przykład z szacownego przodka.

— Ale on wyrzekł się Chaosu, kiedy stworzył Amber.

Wzruszyłem ramionami.

— Dobrze się składa, że ja niczego takiego nie stworzyłem. Jeśli chcesz konkretnej decyzji, powiedz i przedstaw argumenty, dlaczego powinienem się na to zgodzić. Może zechcę współpracować.

Wyciągnął rękę.

— Chodź ze mną, a ja wprowadzę twoje stopy na nowy Wzorec, który musisz pokonać w grze, jaka się toczy pomiędzy Mocami.

— Nadal cię nie rozumiem, ale jestem pewien, że prawdziwego Oberona nie powstrzymałyby te proste zasłony. Podejdź i weź mnie za rękę, a wtedy chętnie pójdę za tobą i spojrzę na to, co zechcesz mi pokazać.

Wyprostował się na jeszcze większą wysokość.

— Chcesz mnie wypróbować? — zapytał.

— Tak.

— Jako człowiek nie miałbym z tym problemów — stwierdził. — Ale uformowany z tych spirytualnych śmieci... nie wiem. Wolałbym nie ryzykować.

— W takim razie muszę udzielić podobnej odpowiedzi na twoją propozycję.

— Wnuku — rzekł lodowatym tonem. — Nawet po śmierci, żadnemu z moich potomków nie wolno tak się do mnie zwracać. Idę teraz po ciebie w nie całkiem przyjaznym nastroju. Idę po ciebie i w tę podróż wyślę cię wśród ognia.

Cofnąłem się o krok.

— Nie chciałem cię urazić... — zacząłem.

Osloniłem oczy, kiedy dotarł do bariery. Znowu nastąpił efekt żarówki. Spod przymkniętych powiek obserwowałem powtórkę ognistej kąpieli Dworkina. Oberon stał się w pewnych miejscach przejrzysty, w innych się roztopiał. Wewnątrz niego, przez niego — kiedy zniknęło zewnętrzne podobieństwo do człowieka — dostrzegałem wiry i linie, kanały i przewody: czarne, abstrakcyjne geometryczne twory wypełniające ogólny kształt potężnej i szlachetnej postaci. Jednak, w przeciwieństwie do Dworkina, wizerunek nie zbladł. Przebił moje osłony, a chociaż zwolnił, wciąż

kroczył ku mnie z wyciągniętą ręką. Nie wiem, czym był naprawdę, ale nigdy chyba nie widziałem nic bardziej przerażającego. Cofałem się ciągle, unosząc ręce. Raz jeszcze wezwałem Logrus.

Znak pojawił się między nami. Abstrakcyjna forma Oberona wyciągała schematyczne, widmowe ręce, aż napotkała wijące się gałęzie Chaosu.

Nie próbowałem sięgać w obraz Logrusu, by wykorzystać go dla obrony przez zjawą. Nawet na tę odległość czułem niezwykle lęk. To, co zrobiłem, to raczej pchnięcie Znakiem królewskiego widma. Potem wyminąłem je i skoczyłem do wyjścia, na zewnątrz. Potoczyłem się, rozpaczliwie szukając jakiegoś zaczepienia, zjechałem po zboczu i uderzyłem o głaz. Objąłem go mocno, a grota eksplodowała z hukiem i błyskiem trafionego pociskiem składu amunicji.

Przez jakieś pół minuty leżałem drżący, zaciskając mocno powieki. Czułem, że lada sekunda coś mnie pochwyli... chyba że... może... skulę się całkiem nieruchomo i postaram wyglądać jak kawałek skały...

Panowała absolutna cisza. Kiedy otworzyłem oczy, błyski zgasły, a wejście do jaskini nie zmieniło kształtu. Wstałem powoli i jeszcze wolniej ruszyłem z powrotem. Znak Logrusu zniknął, a z powodów dla mnie samego niezrozumiałych, nie chciałem go przywoływać. Zajrzałem do grotty. Nie było żadnych śladów, że cokolwiek się wydarzyło. Tylko moje osłony były zniszczone.

Wszedłem do środka. Koc wciąż leżał tam, gdzie go rzuciłem. Dotknąłem skały. Wybuch musiał nastąpić na innym poziomie rzeczywistości. Małe ognisko nadal migotało niepewnie, a mój rozbity na kamieniach kubek był jedyną rzeczą, jaką w jego blasku dostrzegłem, a której nie widziałem poprzednio.

Nie cofałem ręki. Stałem oparty o ścianę, aż po chwili poczułem nieopanowane skurcze przepony. Wybuchnąłem śmiechem. Nie jestem pewien, dlaczego. Po prostu śmiech wyparł alternatywę bicia się pięściami w pierś i wycia.

Myślałem, że znam wszystkich uczestników tej złożonej rozgrywki. Luke i Jasra przeszli chyba teraz na moją stronę, wraz z moim bratem Mandorem, który zawsze się o mnie troszczył. Mój szalony brat Jurt pragnął mojej śmierci, a teraz sprzymierzył się z moją byłą kochanką, Julią, która też nie była do mnie zbyt przychylnie nastawiona. Istniała jeszcze *ty'iga* — nadopiekuńczy demon, który opanował ciało Naydy, siostry Coral, i którego pozostawiłem w Amberze, uśpionego zaklęciem. Dalt, najemnik... jeśli się zastanowić, jest także moim wujem... odjechał z Lukiem w nieznanym kierunku i celu, uprzednio spuściwszy mu łanie na oczach dwóch armii w Ardenie. Miał paskudne zamiary co do Amberu, ale brakowało mu militarnej siły, by przedsięwziąć coś więcej niż rzadkie partyzanckie ataki. Działał też Ghostwheel, mój cybernetyczny krupier Atutów i drugorzędny półbóg, który zdawał się ewoluować od umysłowości nierozważnej i maniackalnej ku racjonalnej i paranooidalnej... i nie byłem pewien, dokąd podaży dalej. Jednak okazywał przynajmniej odrobinę synowskiego szacunku zmieszanego z chwilowym tchórzostwem.

I to już mniej więcej wszyscy.

Ale te ostatnie zjawy dowodziły chyba, że do gry włączyło się jeszcze coś, co chciało mnie pociągnąć w całkiem innym kierunku. Ghost twierdził, że jest silne. Nie domyślałem się nawet, co właściwie reprezentuje. Nie miałem ochoty temu ufać. Stąd nasze nie najlepsze stosunki.

— Hej, mały! — dobiegł ze zbocza znajomy głos. — Trudno cię znaleźć. Często zmieniasz miejsce pobytu.

Odwróciłem się szybko, podbiegłem do wyjścia, spojrzałem w dół.

Samotna postać wspinała się po zboczu. Wysoki mężczyzna. Coś błysnęło w okolicy jego szyi. Było za ciemno, żeby rozpoznać rysy twarzy.

Cofnąłem się o kilka kroków i rozpocząłem zaklęcie, które miało odbudować moje zniszczone bariery.

— Nie uciekaj! — krzyknął. — Muszę z tobą pomówić!

Oslona zaskoczyła na miejsce. Dobyłem miecza. Trzymałem go opuszczając klingę, z prawej; kiedy się odwróciłem, z otworu wejścia był całkiem niewidoczny. Rozkazałem Frakir, żeby zawisała niewidzialna na lewym przegubie. Druga zjawa była silniejsza od pierwszej i przebiła strefę obronną. Jeśli trzecia okaże się silniejsza od drugiej, będę potrzebował każdej broni, jaka mi się trafi.

— Słucham? — zawołałem. — Kim jesteś i czego chcesz?

— Do diabła! — odpowiedziało widmo. — Nie jestem nikim szczególnym. Tylko twoim staruszkiem. Potrzebuję pomocy i wolę zachować tę sprawę w rodzinie.

Dotarł do kregu światła z ogniska i musiałem przyznać, że jest doskonałą imitacją księcia Corwina z Amberu, mojego ojca. Kompletny, z czarnym płaszczem, butami i spodniami, szarą koszulą, srebrnymi guzikami i kłamrą... miał nawet srebrną różę. I uśmiechał się tak samo kpiąco, jak czasem prawdziwy Corwin, gdy dawno temu opowiadał mi swoją historię. Na ten widok coś ścisnęło mnie w żołądku. Chciałem poznać go lepiej, ale zniknął i nie umiałem go odszukać. A teraz ten stwór... czymkolwiek był... udawał takiego człowieka... Byłem bardziej niż trochę zirytowany ewidentną próbą gry na moich uczuciach.

— Pierwszy był fałszywy Dworkin — oznajmiłem. — Potem Oberon. Coraz niżej schodzisz po drzewie genealogicznym.

Zmrużył oczy i zdziwiony pochylił lekko głowę — kolejny realistyczny manieryzm.

— Nie wiem, o czym mówisz, Merlinie — odparł. — Ja...

Wkroczył na chroniony obszar i drgnął, jakby dotknął przewodu pod napięciem.

— Niech to szlag! — burknął. — Nikomu nie ufasz, co?

— Rodzinna tradycja — wyjaśniłem. — Wzmocniona niedawnymi doświadczeniami.

Byłem jednak trochę zdziwiony, że ten kontakt nie zaowocował kolejnymi efektami pirotechnicznymi. Zastanawiałem się również, czemu jeszcze nie zmienia się w szkielec.

Zaklął znowu, ściągnął płaszcz, owinał nim lewe ramię; prawa ręka sięgnęła do dokładnej kopii pochwy mojego ojca. Srebrzyste ostrze wysunęło się ze świstem i uniosło w górę, po czym opadło w sam ośrodek bariery. Iskry strzeliły w półmetrowym rozbryzgu, a klinga zasyczała, jakby rozgrzana do czerwoności trafiła w wodę. Rozbłysnął wzór na ostrzu, znowu trysnęły iskry — tym razem na wysokość człowieka — i w tym momencie wyczułem, że bariera pada.

Widmo wkroczyło. Odwróciłem się i wysunąłem miecz. Ale tamten, który wyglądał jak Grayswandir, opadł i wzniósł się znowu, ściągnął moją broń na prawo i przesunął się w stronę piersi. Wykonałem prostą zasłonę kwartą, ale tamten prześliznął się pod nią i nadal groził mi od zewnątrz. Odparowałem sekstą, ale jego już tam nie było. Ten atak był tylko zwodem. Upiór ruszył nisko. Odwróciłem się, odbiłem, a on przesunął całe ciało na prawo, opuścił klingę, zmienił uchwyt, lewą ręką przesunął mi przed twarzą.

Za późno spostrzegłem, że podnosi prawą, sięgając mi lewą za głowę. Rękojeść Grayswandira zmierzała wprost ku mojej szczęce.

— Naprawdę jesteś... — zacząłem, a wtedy dotarła do celu.

Ostatnie, co zapamiętałem, to srebrna róża.

* * *

Oto życie: zaufaj komuś, a zostaniesz zdradzony. Nie zaufaj, a sam siebie zdradzisz. Jak większość moralnych paradoksów, i ten stawia człowieka w pozycji nie do obrony. A było już za późno na moje zwykłe rozwiązanie: nie mogłem zrezygnować z gry.

Ocknąłem się w ciemności. Ocknąłem się ostrożny i czujny. Jak zwykle, gdy jestem ostrożny i czujny, leżałem w absolutnym bezruchu, pozwalając płucom zachować naturalny rytm oddechu. I nasłuchiwałem.

Żadnego dźwięku.

Uchyliłem powieki.

Niepokojące wzory. Zamknąłem znowu.

Ciałem starałem się wyczuwać wibracje skalnej powierzchni, na której leżałem.

Żadnych wibracji.

Otworzyłem oczy i powstrzymałem odruch, by je zamknąć. Uniosłem się na łokciach, podciągnąłem pod siebie kolana, wyprostowałem grzbiet i odwróciłem głowę. Fascynujące. Nie pamiętałem takiej dezorientacji od czasu, kiedy piłem w barze z Lukiem i Kotem z Cheshire.

Wokół nie dostrzegłem ani śladu koloru. Wszystko było czarne, białe albo w odcieniach szarości. Jakbym znalazł się na negatywie fotografii. To, co uznałem za słońce, wisiało jak czarna dziura o kilka średnic nad horyzontem, po prawej stronie. Niebo było bardzo ciemnoszare i płynęły po nim hebanowe chmury. Moja skóra miała barwę atramentu. Za to skały pode mną i dookoła, niemal przejrzyste, lśniły kostną bielą. Wstałem powoli, rozejrzałem się. Tak. Grunt był rozjarzony, niebo ciemne, a ja stałem się cieniem między nimi. To uczucie wcale mi się nie podobało.

Powietrze było suche i chłodne. Stałem u podnóża łańcucha gór–albinosów, tak jaskrawych, że nasuwało się porównanie z Antarktydą. Ciągnęły się po lewej stronie, coraz dalsze. Po prawej, gdzie tkwiło coś, co wzięłem za poranne słońce, góry, niskie i łagodne, opadały ku czarnej równinie. Pustynia? Musiałem unieść dłoń i osłonić oczy przed... przed czym? Antyblaskiem?

— Szlag! — spróbowałem powiedzieć i natychmiast zauważyłem dwie rzeczy.

Przede wszystkim słowo pozostało bezgłośnie. Po drugie, szczeka bolała mnie w miejscu, gdzie trafił cios ojca. Czy może jest go kopii.

Raz jeszcze rozejrzałem się w milczeniu. Wyjąłem karty. Koniec zastrzeżeń co do wezwań. Wyszukałem Atut Ghostwheela i skoncentrowałem uwagę.

Nic. Karta była całkiem martwa. Ale w końcu to Ghost kazał mi siedzieć cicho. Może po prostu odmawiał odpowiedzi na wezwanie. Przerzuciłem resztę talii. Zatrzymałem się przy Florze. Zwykle nie odmawiała mi pomocy w trudnych chwilach. Studiowałem jej śliczną buzię, stałem wezwaniu...

Nie drgnął nawet jeden z jej złotych loków. Nawet o jeden stopień nie spadła temperatura Atutu. Karta pozostał kartą. Spróbowałem mocniej, wymruczałem nawet zaklęcie wspomagające. Nikogo nie było w domu.

Zatem Mandor. Kilka minut poświęciłem jego karcie, z takim samym wynikiem. Sprawdziłem Randoma. Jak wyżej. Benedykta i Juliana. Nic i nic... Potem jeszcze Fionę, Luke'a i Billa Rotha. Trzy kolejne porażki. Wyjąłem nawet kilka Atutów Zguby, ale nie zdołałem osiągnąć Sfinksa ani budowli z kości na szczycie zielonej szklanej góry.

Złożyłem je, włożyłem do futerału i schowałem. Pierwszy raz od pobytu w kryształowej grocie miałem do czynienia z takim zjawiskiem. Z drugiej strony, na wiele sposobów można zablokować Atuty, a jeśli o mnie chodzi, w tej chwili był to problem czysto akademicki. Bardziej zależało mi na zmianie otoczenia w bardziej przyjazne. Studia nad działaniem kart mogę odłożyć na później.

Ruszyłem przed siebie. Moje kroki były całkiem bezgłośnie. Gdy kopnąłem kamyk, nie słyszałem, jak odbija się od skały.

Biel po lewej stronie, czerń po prawej. Góry albo pustynia. Pomaszerowałem w lewo. Nic się nie poruszało oprócz czarnych, bardzo czarnych chmur. Po drugiej stronie każdego głazu niemal oślepiający obszar zwiększonej jasności: zwariowane cienie w zwariowanej krainie.

Skręt... jeszcze raz w lewo. Trzy kroki, potem ominąć głaz. W górę. Przekroczyć grzbiet. Zejść w dół. Skręt w prawo. Wkrótce czerwone pasemko między skalami po lewej...

Nic. Może następnym razem...

Lekkie ukłucie w nosie. Żadnej czerwieni. Dalej.

Szczelina po prawej, za następnym zakrętem...

Rozmasowałem skronie; zaczęły boleć, kiedy nie pojawiła się żadna szczelina. Oddychałem z wysiłkiem i czułem krople potu na czole.

Szarozielone desenie i suche kwiatki, jasnoniebieskie, nisko pod tamtym rumowiskiem...

Lekki ból karku. Żadnych kwiatków. Żadnej szarości. Żadnej zieleni.

W takim razie niech chmury się rozstąpią i ciemność słońca zaleje ziemię...

Nic.

...I plusk płynącej wody z małego potoku, w następnym żlebie.

Musiałem się zatrzymać. Głowa pulsowała bólem, ręce mi drżały. Dotknąłem skalnej ściany po prawe stronie i wydała mi się dostatecznie materialna. Bujna rzeczywistość. Dlaczego tak mi się opiera?

I jak się tutaj dostałem?

I gdzie jest tutaj?

Uspokoilem się. Wyrównałem oddech, zebrałem siły. Ból głowy przycichł, odpłynął, zniknął.

Ruszyłem dalej.

Pieśni ptaków i łagodny wietrzyk... Kwiat w wąskiej szczelinie.

Nic. I pierwsze ukłucie powracającego oporu.

Pod wpływem jakiego czaru się znalazłem, że utraciłem zdolność chodzenia w Cieniu? Nigdy nie przypuszczałem, że można ją komuś odebrać.

— To nie jest zabawne — spróbowałem powiedzieć. — Kimkolwiek, czymkolwiek jesteś, jak to zrobiłeś? Czego chcesz? Gdzie się chowasz?

I znowu nie usłyszałem niczego, a zwłaszcza odpowiedzi.

— Nie wiem, jak tego dokonałeś. Ani dlaczego — myślałem, poruszając ustami. — Nie czuję, żeby działał na mnie czar. Ale musiałem się tu znaleźć z jakiegoś powodu. Bierz się do dzieła. Powiedz, czego ode mnie chcesz.

Nada.

Szedłem dalej, bez przekonania próbując dokonać przeskoku w Cieniu. Równocześnie zastanawiałem się nad sytuacją. Miałem uczucie, że w całej tej sprawie nie dostrzegam czegoś oczywistego.

...I mały czerwony kwiatek pod skałą, za najbliższym zakrętem.

Minąłem ten zakręt i rósł tam mały czerwony kwiatek, który podświadomie stworzyłem. Podbiegłem, by go dotknąć, przekonać się, że wszechświat jest miejscem życzliwym i merlinolubnym.

Potknąłem się i upadłem, wznosząc chmurę pyłu. Podparłem się, wstałem, rozejrzałem się. Szukałem chyba z dziesięć, może piętnaście minut, ale nie mogłem znaleźć kwiatka. Wreszcie zakląłem i odwróciłem się. Nikt nie lubi, kiedy wszechświat robi sobie z niego żarty.

Pod wpływem nagłego natchnienia przeszukałem kieszenie. Może mam jeszcze przy sobie choćby odprysk niebieskiego kamienia... Ta niezwykła zdolność rezonansu mogłaby jakoś poprowadzić mnie przez Cień do ich źródła. Ale nie. Nie pozostała nawet drobinka niebieskiego pyłu. Wszystko spoczęło w grobowcu mojego ojca. No tak... To pewnie byłoby zbyt proste wyjście.

Co przeoczyłem?

Fałszywy Dworkin, fałszywy Oberon i człowiek, który twierdził, że jest moim ojcem — wszyscy chcieli doprowadzić mnie do jakiegoś niezwykłego miejsca. Miałem wziąć udział w rodzaju dwóch Mocy, jak to sugerowało widmo Oberona. Widmo Corwina najwyraźniej odniosło sukces, pomyślałem, rozcierając szczękę. Tylko co to za starcie? I jakich Mocy?

Ten niby-Oberon wspomniał coś o wyborze między i Chaosem i Amberem. Ale w tej samej rozmowie skłamał w kilku innych kwestiach. Do diabła z oboma! Nie prosiłem, żeby mnie wciągały do swoich sporów. Mam dość własnych problemów. Nie chciało mi się nawet poznać reguł tego, co się rozgrywa.

Kopnąłem biały kamyk i śledziłem go wzrokiem. To wszystko nie sprawiało wrażenia dzieła Jurta czy Julii. To albo jakiś nowy czynnik, albo stary, który dokonał znaczącej przemiany. Kiedy po raz pierwszy znalazł się na scenie? Domyślałem się, że miał coś wspólnego z tą siłą, która mnie szukała, kiedy spróbowałem dotrzeć do Coral. Mogłem chyba założyć, że mnie znalazła i to właśnie jest rezultatem. Ale co to może być? Po pierwsze, trzeba się dowiedzieć, gdzie leży Coral w tym swoim ognistym kręgu. Coś stamtąd doprowadziło mnie do obecnego położenia. Gdzie zatem? Poprosiła Wzorzec, by posłał ją tam, gdzie powinna się znaleźć... W tej chwili nie mogłem go raczej zapytać, gdzie mianowicie. I nie mogłem po przejściu nakazać, żeby posłał mnie za nią.

Nadeszła więc chwila, by poddać partię i wypróbować inne metody rozwiązywania problemu. W Atutach trzasnął jakiś obwód, a zdolność wędrówki przez Cień została tajemniczo zablokowana. Postanowiłem, że czas już zmienić rozkład sił o rząd wielkości na moją korzyść. Przywołałem Znak Logrusu i będę zmieniał cienie, każdy swój krok wspomagając potęgą Chaosu.

Frakir wcięła mi się w nadgarstek. Poszukałem nadciągających zagrożeń, ale niczego nie zauważyłem. Jeszcze przez parę minut rozglądałem się czujnie po okolicy. Jednak nic się nie stało, a Frakir znieruchomiła.

To już nie pierwszy raz jej system alarmowy reagował niewłaściwie — czy to z powodu jakiegoś zabłąkanego powiewu astralnego, czy też mojej własnej przypadkowej myśli. Jednak w takim miejscu nie wolno ryzykować.

Najwyższy stos głazów w pobliżu sięgał piętnastu, może dwudziestu metrów i wyrastał na zboczu o jakieś sto kroków w górę, po lewej stronie. Dotarłem tam i rozpocząłem wspinaczkę.

W końcu stanąłem na kredowym szczycie. Stąd mogłem obserwować okolicę na sporą odległość i we wszystkich kierunkach. Żadnego żywego stworzenia nie dostrzegłem w tym niezwykłym uniwersum jin-jang.

Uznałem, że to fałszywy alarm, i zszedłem na dół. Raz jeszcze sięgnąłem myślą, przywołując Logrus, a Frakir prawie odcięła mi rękę. Do diabła! Zignorowałem ją i posłałem wezwanie.

Znak Logrusu wyrósł i pomknął ku mnie. Zatańczył jak motyl i uderzył jak ciężarówka. Świat filmowego negatywu odpłynął, zmieniając się z czarno-białego w czarny.

ROZDZIAŁ 4

Dochodziłem do siebie.

Głowa mnie bolała i męczyło uczucie, że w ustach mam pełno piasku. Leżałem twarzą w dół. Pamięć przebiła się jakoś przez korki na trasie i wróciła do domu; otworzyłem oczy. Dookoła wszystko ciągle było czarne, białe i szare. Wypłułem piasek, przetarłem oczy, zamrugałem. Znak Logrusu nie było i nie potrafiłem wytłumaczyć tego, co ostatnio zaszło między nami.

Usiadłem i objąłem rękami kolana. Utknąłem tutaj, skoro zostały zablokowane wszelkie nadprzyrodzone metody podróży i porozumiewania. Nie miałem lepszego pomysłu niż wstać, wybrać dowolny kierunek i ruszyć.

Zadrzałem. Gdzie mnie to doprowadzi? Przez dalszy ciąg tego samego monotonnego pejzażu?

Rozległ się cichy dźwięk — jakby ktoś delikatnie odchrząknął.

W jednej chwili byłem na nogach i po drodze w górę rozglądałem się na wszystkie strony.

Kto tam?, zapytałem w myślach, rezygnując z artykulacji głosowej.

Miałem wrażenie, że znowu to słyszę. Całkiem blisko.

Wreszcie...

Mam dla ciebie wiadomość, coś zdawało się mówić w mojej głowie.

Co? Gdzie jesteś? Wiadomość? próbowałem pytać.

Przepraszam, dobiegł stłumiony głos. Nie mam doświadczenia. Odpowiadając po kolei, jestem tam, gdzie zawsze byłem: na twoim przegubie. A kiedy Logrus przeleciał tędy, wzmocnił mnie dodatkowo, żebym mogła przekazać wiadomość.

Frakir?

Tak. Pierwsze udoskonalenie, tego dnia, kiedy przeniosłeś mnie przez Logrus, dawało wrażliwość na niebezpieczeństwo, zdolność ruchu, odruchy walki i ograniczoną świadomość. Tym razem Logrus dołożył bezpośrednią myślową komunikację i poszerzył moją jaźń tak, bym mogła przekazywać wiadomości.

Dlaczego?

Spieszył się. Mógł zostać w tym miejscu tylko mgnienie, i tylko w ten sposób mógł dać ci znać, co się dzieje.

Nie wiedziałem, że Logrus jest świadomy.

Nastąpiło coś jakby parsknięcie.

Trudno sklasyfikować inteligencję tego rzędu. Przypuszczam, że na ogół nie ma wiele do powiedzenia, nadeszła odpowiedź Frakir. Swoją energię wykorzystuje w innych obszarach.

W takim razie, czemu zjawił się tutaj i tak mi przyłożył?

Nieumyślnie. To efekt uboczny mojego udoskonalenia, kiedy zrozumiał, że jestem jedynym środkiem przekazania ci czegoś więcej niż kilku słów czy obrazów.

Dlaczego miał tak mało czasu? zdziwiłem się.

Taka jest natura tej krainy, leżącej pomiędzy cieniami, niemal niedostępnej zarówno dla Logrusu, jak i Wzorca.

Coś w rodzaju strefy zdemilitaryzowanej?

Nie, to nie chodzi o zawieszenie broni. Po prostu jakakolwiek manifestacja tutaj jest niezwykle trudna... dla nich obu. Dlatego właśnie praktycznie nic się tutaj nie zmienia.

Nie mogą tutaj sięgnąć?

Mniej więcej o to właśnie chodzi.

Jak to się stało, że nigdy o tym nie słyszałem?

Prawdopodobnie dlatego, że nie jest łatwo tu trafić.

A więc jaka to wiadomość?

W głównych zarysach: żebyś — póki tu jesteś — nie próbował więcej wzywać Logrusu. Ten region jest ośrodkiem silnie zakłócającym. Trudno przewidzieć, w jakiej formie nastąpi manifestacja przesyłanej energii. Może stanowić dla ciebie zagrożenie.

Rozmasowałem pulsujące bólem skronie. Przynajmniej coś odwróciło moją uwagę od bolącej szczęki.

No dobrze, zgodziłem się. Wiesz może, co powinienem robić?

Tak. To jest próba. Nie wiem, czego.

Czy mam wybór?

O co ci chodzi?

Czy mogę odmówić udziału?

Przypuszczam, że tak. Ale wtedy nie wiem, jak się stąd wydostaniesz.

Czyli — jeśli przystąpię do gry — na końcu zostanę uwolniony z tego miejsca?

Jeśli nadal będziesz żył, tak. A sądzę, że nawet jeśli nie.

Czyli właściwie nie mam wyboru.

Otrzymasz możliwość wyboru.

Kiedy?

Gdzieś po drodze. Nie wiem gdzie.

Dlaczego zwyczajnie nie powtórzysz mi wszystkich instrukcji?

Nie mogę. Nie wiem, co tu mam. To wypływa tylko w reakcji na pytanie albo sytuację.

Czy nie utrudnia to wykonywania twojej głównej funkcji, to znaczy duszenia?

Nie powinno.

To przynajmniej coś. Dobrze. Czy wiesz, co powinienem teraz robić?

Tak. Powinieneś wspiąć się na najwyższy szczyt po lewej stronie.

Który...? A tak, to chyba tamten, uznałem, spoglądając na wyłamany kiel z białego kamienia.

Ruszyłem w tamtą stronę po coraz bardziej stromym zboczu. Czarne słońce wznosiło się wciąż wyżej w szarość. Niesamowita cisza trwała.

Hm... Czy wiesz może, co znajdziemy, kiedy już dotrzemy do celu? spróbowałem zwrócić się do Frakir.

Jestem pewna, że posiadam tę informację, nadeszła odpowiedź. Ale nie sądzę, by była osiągalna, póki nie znajdziemy się we właściwym miejscu.

Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Ja też.

Droga była wciąż bardziej stroma. Nie mogłem precyzyjnie określić czasu, ale zdawało mi się, że minęła co najmniej godzina, nim opuściłem podnóże gór i zacząłem się wspinać na biały szczyt. Nie widziałem żadnych śladów stóp ani innych oznak życia, jednak kilkakrotnie trafiałem na drugie odcinki naturalnych z pozoru ścieżek, prowadzących w górę po tej wyblakłej skale. Straciłem jeszcze kilka godzin, nim ją pokonałem; słońce dotarło do zenitu i zaczęło opadać poza wierzchołek, ku zachodowi. Irytujące, że nie mogłem głośno zakląć.

Skąd mam pewność, że jesteśmy po właściwej stronie góry? Albo zmierzamy we właściwym kierunku? zapytałem.

Kierujesz się w odpowiednią stronę, zapewniła Frakir.

Ale nie wiesz, jak to jeszcze daleko?

Nie. Ale rozpoznam nasz cel, kiedy go zobaczę.

Już niedługo słońce schowa się za wierzchołek. Czy zobaczysz wtedy cokolwiek, żeby to rozpoznać?

Wydaje mi się, że niebo tu się rozjaśnia, kiedy zachodzi słońce. Przestrzeń negatywna jest dość zabawna pod tym względem. W każdym razie zawsze coś jest ciemne, a coś jasne. Potrafię rozpoznać.

Masz pojęcie, co tu właściwie robimy?

To chyba jedna z tych bezsensownych misji.

Ścigamy wizję? Czy szukamy czegoś praktycznego?

Jak rozumiem, wszystkie takie misje dotyczą obu tych rzeczy jednocześnie... Ale mam wrażenie, że nasza koncentruje się raczej na drugim. Z drugiego przegubu jednak, cokolwiek napotkasz pomiędzy cieniami, zawiera prawdopodobnie elementy alegoryczne, symboliczne... cały ten chłam, jaki ludzie wrzucają do nieświadomej części swojej jaźni.

Inaczej mówiąc, ty też nie wiesz.

Nie na pewno. Ale przecież zgadywaniem zarabiam na życie.

Sięgnąłem jak najwyżej, złapałem krawędź i podciągnąłem się na półkę. Szedłem nią kawałek, potem znowu wspiąłem się wyżej.

Słońce skryło się, ale nie utrudniało to widzenia. Ciemność i światło zamieniły się miejscami.

Wdrapałem się na pięć– czy sześciometrowe wypiętrzenie i wreszcie mogłem spojrzeć na zasłonięty wcześniej obszar. W górskim zboczu dostrzegłem otwór. Raczej nie nazwałbym go jaskinią, gdyż sprawiał wrażenie wydrążonego sztucznie. Wyglądał jakby wyrzeźbiono go w formie łukowego portalu, i był dość duży, by przepuścić człowieka na koniu.

I co powiesz?, rzuciła Frakir, poruszając się lekko na nadgarstku. To jest to.

Co? zapytałem.

Pierwszy przystanek, wyjaśniła. Masz się tu zatrzymać i coś załatwić. Dopiero potem ruszysz dalej.

To znaczy co?

Najlepiej wejdź tam i sam zobacz.

Wciągnąłem się na krawędź, wstałem i ruszyłem przed siebie. Szeroki portal zalany był światłem nie padającym z żadnego konkretnego źródła. Zawahałem się w progu i ostrożnie zajrzałem do środka.

Wyglądało to jak typowa kaplica. Był niewielki ołtarz, na nim para świec w migotliwych aureolach czerni. Wykute w ścianach kamienne ławy. Naliczyłem pięć wyjść, nie licząc tego, w którym stałem: trzy w ścianie naprzeciw, jedno po prawej i jedno po lewej. Pośrodku komory leżały dwa stosy pancerzy i uzbrojenia. Nie dostrzegłem żadnych symboli świadczących o reprezentowanej tu religii.

Wszedłem.

Co mam zrobić?, zapytałem.

Masz zostać na straży, przez całą noc pilnując swojej zbroi.

Nie żartuj, mruknąłem, przyglądając się blachom. Po co?

Nie otrzymałam takiej informacji.

Podniosłem zdobiony, biały napierśnik. Wyglądałbym w nim jak Sir Galahad. Był chyba dokładnie mojego rozmiaru. Pokręciłem głową i odłożyłem go. Przeszedłem do sąsiedniego stosu i zbadałem bardzo dziwną rękawicę. Rzuciłem ją natychmiast i przeszukałem pozostałe części. Takie same. Też jakby dla mnie robione. Ale...

O co chodzi, Merlinie?

Ta biała zbroja, wyjaśniłem, idealnie pasowałaby na mnie w tej chwili. Ta druga to pewnie typ używany w Dworcach. Wygląda, jakby pasowała na mnie po przekształceniu w postać Chaosu. Każdy z tych zestawów byłby odpowiedni, zależnie od okoliczności. Ale mogę używać tylko jednego naraz. Którego mam pilnować?

Sądzę, że to jest właśnie klucz całej tej sprawy. Powinieneś chyba wybrać.

Oczywiście! Pstryknąłem palcami. Nie usłyszałem niczego. Ależ jestem tępy, skoro powrót do duszenia musi mi wszystko tłumaczyć.

Opadłem na kolana i zgarnąłem obie zbroje w jedną nieforemną stertę.

Jeśli muszę, oznajmiłem, będę strzegł obu. Nie chcę stawać po żadnej stronie.

Mam przeczucie, że komuś się to nie spodoba, uprzedziła Frakir.

Powiedz mi, o co chodzi z tą strażą? zainteresowałem się. Co właściwie mam robić?

Powinieneś siedzieć tu całą noc i strzec zbroi.

Przed czym?

Chyba przed tym, co mogłoby je sobie przywłaszczyć. Mocami Porządku...

...albo Chaosu.

Tak, rozumiem. Zgarnąłeś je razem. Cokolwiek może się tu zjawić, żeby porwać kawalek.

Usiadłem na ławie przy ścianie w głębi kaplicy, pomiędzy dwoma otworami korytarzy. Przyjemnie było odpocząć po długiej wspinaczce. Wciąż nękały mnie pytania bez odpowiedzi..

Wreszcie, po długim czasie...

A co ja będę z tego miał?, zapytałem.

Nie rozumiem.

Powiedzmy, że przesiedzę tu całą noc, wpatrzony w tę kupę złomu. Może nawet coś się tu zjawi i spróbuje ją zgarnąć. Przypuścimy, że pokonam to coś. Nadchodzi rano, zbroje leżą, ja siedzę. Co wtedy? Co na tym zyskam?

Wtedy zakładasz swoją zbroję, chwytasz za broń i ruszasz do następnego etapu.

Stłumiłem ziewnięcie.

Wiesz co? Chyba nie mam ochoty na te pancerze, stwierdziłem. Nie lubię zbroi, a własny miecz zupełnie mi wystarczy.

Położyłem dłoń na rękojeści. Była trochę dziwna w dotyku, ale w końcu ja też dziwnie się czułem.

A może zostawimy ten stos i od razu przejdziemy dalej? Jaki jest ten następny etap?

Nie jestem pewna. Logrus przekazał mi informacje w taki sposób, że we właściwej chwili jakby wyphywają na powierzchnię. Nie wiedziałam nawet o tej grocie, póki nie zobaczyłam wejścia.

Przeciągnąłem się i skrzyżowałem ręce na piersi. Oparłem plecy o ścianę. Wysunąłem nogi, zakładając jedną na drugą.

Czyli utkwiliśmy tutaj do czasu, aż coś się zdarzy albo znowu doznasz natchnienia?

Zgadza się.

Obudź mnie, kiedy już będzie po wszystkim, poprosiłem i zamknąłem oczy.

W tej samej chwili nastąpił silny, niemal bolesny ucisk nadgarstka.

Chwileczkę! Nie wolno ci tego robić!, oświadczyła Frakir. Cała rzecz w tym, że siedzisz przez całą noc i pilnujesz.

To bardzo głupi pomysł, odparłem. Odmawiam przystąpienia do takiej bezsensownej zabawy. Jeśli ktoś chce zabrać ten złom, dostanie go za dobrą cenę.

Proszę bardzo. Śpij, jeśli chcesz. A jeżeli coś się zjawi i uzna, że na początek lepiej usunąć cię ze sceny?

Po pierwsze nie wierzę w czyjeś zainteresowanie tym stosem średniowiecznego śmiecia, nie mówiąc już o chęci jego posiadania. A po ostatnie, to twoje zadanie ostrzegać mnie przed zagrożeniem.

Aye, aye, kapitanie. Ale to niezwykle miejsce. A jeśli przytępiło moją wrażliwość?

Teraz mówisz z sensem, przyznałem. Sądzę, że w takim wypadku będziesz musiała improwizować.

Zapadłem w drzemkę. Śniło mi się, że stoję w magicznym kręgu, a różne rzeczy usiłują się do mnie przedostać.

Kiedy jednak dotykały bariery, ulegały przemianie w postaci z patyczków, szybko znikające kartonowe figurki. Za wyjątkiem Corwina z Amberu, który uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

— Prędzej czy później będziesz musiał wyjść na zewnątrz — stwierdził.

— W takim razie lepiej później — odparłem.

— A wszystkie problemy będą na ciebie czekały dokładnie tam, gdzie je zostawiłeś.

Kiwnąłem głową.

— Za to ja będę wypoczęty — stwierdziłem.

— Czyli to równa zamiana. Powodzenia.

— Dzięki.

Sen rozpadł się w losowe obrazy. Pamiętam chyba, że trochę później stałem na zewnątrz kręgu i próbowałem wymyślić jakiś sposób, żeby wrócić do środka...

Nie jestem pewien, co mnie obudziło. Z pewnością nie żaden hałas. Jednak nagle byłem całkiem przytomny. Poderwałem się, a pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, był karzeł z plamistą cerą, z dłońmi przy szyi, skrzyżowany i leżący nieruchomo obok stosu pancerzy.

— Co się dzieje? — próbowałem zapytać.

Nie było odpowiedzi.

Podszedłem i przykleknąłem obok tego malucha z szerokimi barami. Palcami szukałem tętnicy szyjnej; nie znalazłem. Wtedy właśnie wyczułem mrowienie nadgarstka i Frakir — na przemian widoczna i niewidzialna — wróciła i dotknęła mojej ręki.

Ty go zlikwidowałaś?, spytałem.

Wyczułem delikatną pulsację.

Samobójcy nie duszą się sami, odpowiedziała.

Dlaczego mnie nie obudziłaś?

Potrzebowałaś odpoczynku, a to nie była trudna sprawa. Jednak nasza empatia jest zbyt silna. Przepraszam, że cię zbudziłam.

Przeciągnąłem się.

Jak długo spałem?

Moim zdaniem kilka godzin.

Trochę mi przykro z jego powodu, wyznałem. To żelastwo nie jest warte czyjegoś życia.

Teraz już jest, zauważyła Frakir.

Fakt. Kiedy ktoś oddał życie za te zbroje, wiesz już, co mamy robić dalej?

Sprawy nieco się rozjaśniły, ale nie dość, żeby podjąć działanie. Musimy tu zostać do rana. Wtedy uzyskam pewność.

Czy twoje informacje mówią coś o żywności i napojach w najbliższej okolicy?

Tak. Za ołtarzem powinien stać dzban wody. Także bochenek chleba. Ale to na rano. Przez całą noc powinieneś pościć.

Tylko jeśli potraktuję to wszystko poważnie, odparłem, zawracając w stronę ołtarza.

Zrobiłem dwa kroki, kiedy świat zaczął się rozpadać. Posadzka kaplicy zadygotała i usłyszałem pierwsze dźwięki od chwili przybycia — głęboki huk i zgrzyt, dobiegający z głębin ziemi. Horda oslepiających intensywnością barw błysnęła w powietrzu w tym pozbawionym kolorów świecie. Potem barwy zniknęły, a komora podzieliła się. W pobliżu łukowego otworu wejścia biel stała się tak jaskrawa, że musiałem dłońmi osłonić oczy. Naprzeciw zapadła absolutna ciemność, kryjąca trzy wyjścia.

Co... to jest?, spytałem.

Coś strasznego, odpowiedziała Frakir. *Przekracza moje zdolności rozpoznania.*

Chwyciłem rękojeść miecza u pasa i przejrzałem zaklęcia, jakie miałem jeszcze zawieszzone. Nim zdążyłem dokonać czegoś więcej, kaplicę wypełniła czyjaś straszliwa obecność. Wydawała się tak potężna, że poczułem, iż dobywanie miecza czy recytowanie zaklęcia będzie działaniem wyjątkowo niepolitycznym.

Zwykle przywołałbym Znak Logrusu, ale to wyjście też zostało przede mną zamknięte. Spróbowałem odchrząknąć, jednak nie dobiegł żaden dźwięk. Potem dostrzegłem ruch w samym sercu światła, zlewanie...

Postać Jednorożca nabrała kształtu wśród bieli, niczym płonący luną Tygrys Blake'a. Jego obraz sprawiał taki ból, że musiałem odwrócić wzrok.

Przeniosłem spojrzenie w bezdenną, lodowatą czern, ale i tam oczy nie zaznały odpoczynku. Coś poruszyło się w ciemności i dobiegł kolejny dźwięk — szelest, jakby metalu sunącego po kamieniu. A potem głośny syk. Raz jeszcze zadrżała ziemia. Wygięte linie popłynęły do przodu. Zanim jeszcze blask Jednorożca wytrawił swe piętno w nieprzeniknionym mroku, zrozumiałem, że widzę tam głowę ogromnego węża, który wpełzł częściowo do kaplicy. Wbiłem spojrzenie w punkt między nimi, jedynie kątem oka obserwując obie bestie. To lepiej, niż patrzeć wprost na którąś z nich. Czułem, że mi się przyglądają — Jednorożec Porządku i Wąż Chaosu. Nie było to przyjemne uczucie. Cofałem się, aż poczułem za plecami ołtarz.

Wsunęły się nieco dalej. Jednorożec opuścił głowę, kierując swój róg prosto na mnie. Język Węża wyskakiwał z paszczy w moją stronę.

— Ehm... Jeśli któreś z was chciałoby te zbroje... — zaryzykowałem. — Nie będę się sprzeciwiał...

Wąż zasyczał, a Jednorożec uniósł kopyto i pozwolił mu opaść. Posadzka pękła, a wąska szczelina pomknęła ku mnie niby zygzak czarnej błyskawicy. Zatrzymała się u moich stóp.

— Z drugiej strony — dodałem — absolutnie nie zamierzałem urazić Waszych Eminencji swoją ofertą...

Niewłaściwa wypowiedź... znowu, wtrąciła słabo Frakir.

To powiedz, co jest właściwe, poprosiłem, próbując myślowego sotto voce.

Ja nie... Och!

Jednorożec stanął dęba; Wąż podniósł łeb. Opadłem na kolana i odwróciłem głowę — ich spojrzenia wzbudzały fizyczny ból. Drżałem cały i zaczęły mi drętwieć wszystkie mięśnie.

Sugeruje się, wyrecytowała Frakir, żebyś prowadził tę grę zgodnie z ustalonymi regułami.

Nie wiem, jaki metal przeniknął mój kręgosłup. Ale podniosłem głowę i spojrzałem najpierw na Węża, potem na Jednorożca. Oczy łzawiły mi i piekły, jakbym patrzył prosto w słońce, ale jakoś wykonałem ten gest.

— Możecie mnie zmusić do gry — oświadczyłem. — Ale nie możecie zmusić do dokonania wyboru. Sam kieruję swoją wolą. Będę przez całą noc strzegł tych zbroi, jak mi nakazano. Rankiem odejdę stąd bez pancerza... ponieważ zdecydowałem go nie nosić.

Bez niego możesz zginąć, zakomunikowała Frakir, jakby tłumaczyła.

Wzruszyłem ramionami.

— Jeśli mam wybierać, to postanawiam nie przedkładać żadnego z was przed drugiego.

Owiał mnie wiatr gorący i zimny zarazem, niczym westchnienie kosmosu.

Dokonasz wyboru, przekazała Frakir. Czy będziesz tego świadom czy nie. Każdy wybiera. Ciebie prosi się tylko, abys swój wybór sformalizował.

— Co czyni mnie takim wyjątkowym? Znowu ten wiatr.

Twoje jest podwójne dziedzictwo, połączone z wielką mocą.

— Nigdy nie pragnąłem, by jeden z was został moim wrogiem — stwierdziłem.

To nie wystarczy.

— W takim razie zniszczcie mnie teraz.

Gra już się toczy.

— Zatem bierzmy się do roboty.

Nie jesteśmy zadowoleni z twojej postawy.

— I nawzajem — odparłem.

Grom zahuczał tak, że straciłem przytomność. Czułem, że mogę sobie pozwolić na całkowitą szczerłość, ponieważ miałem silne wrażenie, że nie tak łatwo znaleźć uczestnika tej gry.

* * *

Obudziłem się rozciągnięty na stosie nagolenników, półpancerzy, rękawic, hełmów i innych zabawnych przedmiotów podobnego charakteru. Wszystkie posiadały ostre kanty albo występy, z których większość wbijała się we mnie. Uświadamiałem to sobie stopniowo, ponieważ zdrewniałem w wielu istotnych miejscach.

Cześć, Merlinie.

Frakir, ucieszyłem się. Długo byłem wyłączony?

Nie wiem. Sama dopiero doszłam do siebie.

Nie wiedziałem, że można znokautować kawałek sznura.

Ja też nie. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło.

W takim razie inaczej sformułuję pytanie: domyślasz się, jak długo byliśmy wyłączeni?

Mam wrażenie, że dosyć długo. Daj mi spojrzeć na wyjście, to może potrafię odpowiedzieć dokładniej.

Podniosłem się wolno, nie zdołałem ustać, upadłem. Poczłogałem się do otworu, zauważając po drodze, że w stercie uzbrojenia nie brakuje niczego. Posadzka rzeczywiście pękła. I rzeczywiście martwy karzeł leżał w tylnej części kaplicy.

Spojrzałem na jasne niebo zarzucone czarnymi punktami.

I co?, zapytałem po chwili.

Jeśli oceniam prawidłowo, wkrótce nastanie świt.

Przed świtem zawsze najjaśniej, co?

Coś w tym rodzaju.

Nogi zamrowiły, gdy powracał obieg krwi. Wstałem z wysiłkiem i oparłem się o ścianę.

Jakieś nowe instrukcje?

Jeszcze nic. Mam przeczucie, że nadejdą o wschodzie słońca.

Zatoczyłem się do najbliższej ławy i opadłem.

Jeśli teraz coś nadejdzie, mam do obrony tylko dość dziwaczny zestaw czarów. Spanie na zbroi wywołuje pewne dolegliwości. Jest prawie tak niewygodne, jak spanie w zbroi.

Rzuć mnie na nieprzyjaciela, a przynajmniej zyskam dla ciebie trochę czasu.

Dzięki.

Jak daleko w przeszłość sięgasz pamięcią?

Chyba do czasów, kiedy byłem małym chłopcem. Czemu pytasz?

Ja pamiętam wrażenia od chwili, kiedy pierwszy raz zostałam ożywiona, jeszcze przez Logrus. Ale wszystko, aż do naszego tu przybycia, przypomina sen. Tylko reagowałam na życie.

Wielu ludzi zachowuje się podobnie.

Naprawdę? Przedtem nie mogłam myśleć ani się porozumiewać.

Fakt.

Myślisz, że to potrwa dłużej?

Nie rozumiem.

Może to tylko stan przejściowy? Może uzyskałam świadomość, aby radzić sobie w szczególnych okolicznościach, jakie czekają nas w tym miejscu?

Nie wiem, Frakir, odparłem, masując lewą łydkę. To możliwe. Przyzwyczajasz się do nowych możliwości?

Tak. To chyba nierozsądne. Jak można martwić się o coś, czego nie będzie mi brakowało, kiedy zniknie?

Dobre pytanie, a ja nie znam odpowiedzi. Może i tak zyskałabyś świadomość?

Nie przypuszczam. Ale to możliwe.

Boisz się regresji?

Tak.

Coś ci powiem. Zostawię cię tutaj, kiedy znajdziemy wyjście.

Nie mogę zostać.

Dlaczego nie? Owszem, czasami się przydajesz, ale w końcu sam potrafisz o siebie zadbać. Teraz, kiedy jesteś świadoma, powinnaś mieć własne życie.

Ale jestem dziwolągiem.

Jak my wszyscy. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że rozumiem i zgadzam się.

Zacisnęła się na moment i umilkła.

Chciałbym tak się nie bać picia wody.

** * **

Siedziałem tam prawie godzinę. Analizowałem wszystko, co mi się ostatnio wydarzyło. Szukałem jakichś wzorców, wskazówek.

Chyba słyszę twoje myśli, odezwała się nagle Frakir. I zdaje się, że mam ważną informację.

Tak? Co takiego?

Ten, który cię tu sprowadził...

To coś, co wyglądało jak mój ojciec?

Tak.

Co z nim?

Był inny niż obaj wcześniejsi goście. Był człowiekiem. Oni nie.

Chcesz powiedzieć, że naprawdę mógł być Corwinem?

Nigdy go nie spotkałam, więc nie wiem. Ale nie był takim konstruktem jak tamci.

Wiesz, czym byli?

Nie. Ale dostrzegłam w nich pewną niezwykłą cechę i zupełnie jej nie rozumiem.

Pochyliłem się i rozmasowałem skronie. Kilka razy odetchnąłem głęboko. W gardle mi zaschło i bolały wszystkie mięśnie.

Mów. Czekam.

Nie bardzo potrafisz to wytłumaczyć, stwierdziła Frakir. Ale jeszcze w przedświadomych czasach nierozsądnie nosiłeś mnie na rękę, kiedy przechodziłeś Wzorzec.

Pamiętam. Po twojej reakcji bardzo długo miałem w tym miejscu bliznę.

Nielatwy jest kontakt tworów Chaosu i tworów Porządku. Jakoś przeżyłam. I zarejestrowałam to doświadczenie w pamięci. Otóż postacie Dworkina i Oberona, które odwiedziły cię w tej jaskini...

Tak?

Pod ich pozornym człowieczeństwem pulsowały pola energii zamknięte w geometrycznych strukturach.

Przypomina to rodzaj animacji komputerowej.

Może to coś podobnego. Trudno powiedzieć.

A mój ojciec nie był taki?

Nie. Ale nie do tego zmierzam. Rozpoznałam źródło.

Skupiłem się.

To znaczy?

Te wiry... geometryczne konstrukcje, na których opierały się obie postacie... to reprodukcje fragmentów Wzorca Amberu.

Nie mylisz się?

Nie. Braki w świadomości nadrabiam pamięcią. Obie figury były trójwymiarowymi konstrukcjami elementów Wzorca.

Po co Worzec miałby korzystać z takich wizerunków, żeby mnie podejść?

Jestem tylko skromnym narzędziem mordy. Rozumowanie nie jest na razie moją mocną stroną.

Skoro w sprawę zamieszane są Jednorożec i Wąż, to przypuszczam, że Worzec także.

Wiemy, że Logrus tak.

Miałem też uczucie, że Worzec wykazał swoją świadomość tego dnia, kiedy przeszła go Coral. Przypuśćmy, że tak jest i dodajmy jeszcze zdolność budowania takich konstruktów... Czy chciał, żeby właśnie tu mnie doprowadziły? Czy raczej Corwin przeniósł mnie w inne miejsce? I czego chce ode mnie Worzec? A czego mój ojciec?

Zazdroszczę ci umiejętności wruszania ramionami, odparła Frakir. Zakładam, że są to, jak to określasz, pytania retoryczne.

Raczej tak.

Zaczynają do mnie docierać informacje innego typu. Zakładam więc, że noc dobiega końca.

Poderwałem się.

Czy to znaczy, że mogę już jeść? I pić?

Chyba tak. Ruszyłem jak najszybciej.

Wprawdzie nie znam się na tych sprawach, ale zastanawiam się, czy takiego skakania przez ołtarz nie można uznać za dowód braku szacunku, zauważyła Frakir.

Czarne płomienie zamigotały, kiedy przemknąłem między nimi.

Do diabła! Nie wiem nawet, czyj to ołtarz, odparłem. A zawsze uważałem, że brak szacunku okazuje się komuś konkretnemu.

Grunt zadygotał lekko, gdy chwyciłem dzban i podniosłem go do ust.

Chociaż z drugiej strony, może i masz rację, przyznałem, krztusząc się.

Przeniosłem dzban i bochenek wokół ołtarza, obok sztywniejącego karła, na ławę biegnącą wzdłuż ściany naprzeciw wejścia. Usiadłem i już spokojniej przystąpiłem do posiłku.

Co teraz?, zapytałem. Mówiłaś, że znowu nadchodzą informacje.

Trzymałeś straż, oznajmiła. Teraz spośród pancerzy i broni, których strzeżeś, masz wybrać to, czego potrzebujesz. Następnie ruszyć jednym z trzech korytarzy, których wyjścia znajdują się w tej ścianie.

Którym?

Jeden to wrota Chaosu, drugi to wrota Porządku, natury trzeciego nie znam.

Hm... Jak w takiej sytuacji podjąć rozsądną decyzję?

Sądzę, że wszystkie drogi będą zamknięte... oprócz tej, którą powinieneś wyruszyć.

Czyli właściwie nie mam wyboru, prawda?

Przypuszczam, że wybór drogi zdeterminowany jest wyborem, jakiego dokonasz w działaniu wyposażenia.

Skończyłem chleb, popiłem resztką wody. Wstałem.

Do roboty, rzekłem. Sprawdźmy, jak zareagują, jeśli nic nie wybiorę. Szkoda tego karła.

Wiedział, co robi i na co się naraża.

To więcej, niż mogę powiedzieć o sobie.

Podszedłem do prawego wyjścia, ponieważ ono było najbliżej. Prowadziło do jasnego korytarza, który stawał się jaśniejszy i jeszcze jaśniejszy, aż po kilku krokach przestałem cokolwiek widzieć. Szedłem dalej. I niewiele brakowało, żebym złamał sobie nos. Jakbym trafił w szklaną ścianę. Dobrze. I tak nie mógłbym sobie wyobrazić siebie, odchodzącego w taką jasność.

Z każdą chwilą stajesz się coraz bardziej cyniczny, zauważała Frakir. Pochwyciłam tę myśl.

Dobrze.

Ostrożniej podszedłem do środkowego wyjścia. Było szare i zdawało się również prowadzić do długiego tunelu. Mogłem spojrzeć w głąb może trochę dalej niż w poprzednim, ale nie zauważyłem nic ciekawego poza ścianami, stropem i podłożem. Wyciągnąłem rękę i przekonałem się, że nic nie blokuje mi drogi.

To chyba ten, stwierdziła Frakir.

Możliwe.

Przeszedłem do trzeciego otworu, czarnego jak wnętrze kieszeni boga. I znowu nie natrafiłem na opór, kiedy szukałem ukrytych barier.

Hm... Wydaje się, że jednak mam wybór.

Dziwne. Nie otrzymałam żadnych instrukcji dotyczących takiej sytuacji.

Wróciłem do środkowego tunelu, postąpiłem o krok. Obejrzałem się, słysząc za plecami jakieś dźwięki. Karzeł usiadł. Podparł się pod boki i rechotał ze śmiechu. Chciałem zawrócić, ale teraz coś zablokowało drogę. I nagle cała scena zmniejszyła się, jakbym gwałtownie odlatywał do tyłu.

Sądziłem, że ten maluch jest martwy, zauważyłem. Ja też. Zdradzał wszelkie oznaki śmierci.

Odwróciłem się znowu w stronę, w którą zmierzałem. Nie czułem żadnego przyspieszenia. Może to kaplica się odsuwała, podczas gdy ja stałem nieruchomo.

Zrobiłem krok, potem następny. Żadnego odgłosu. Ruszyłem. Po chwili wyciągnąłem rękę, by dotknąć lewej ściany. Trafiła w pustkę. Spróbowałem z prawą. To samo. Zboczyłem o krok na prawo i sięgnąłem jeszcze raz. Nic. Ale wciąż wydawało mi się, że jestem mniej więcej pośrodku między dwoma mglistymi barierami. Warknąłem w myśli, zignorowałem to i pomaszerowałem dalej.

Co się dzieje, Merlinie?

Wyczuwasz czy nie wyczuwasz ścian po obu stronach?, spytałem.

Nie, stwierdziła Frakir.

Domyślasz się, gdzie właściwie jesteście?

Idziemy pomiędzy cieniami.

A dokąd zmierzamy?

Jeszcze nie wiem. Podążamy jednak Drogą Chaosu.

Co? Skąd to wiesz? Sądziłem, że aby mnie tu wpuścili, muszę z tego stosu wybrać coś chaotycznego.

Tknięty podejrzeniem, przeszukałem wszystkie zakamarki ubrania. Znalazłem sztylet wsunięty do pochwy w prawym bucie. Nawet w tym słabym świetle rozpoznałem typowe dla domu wykonawstwo.

Podpuścili nas, stwierdziłem. Teraz rozumiem, dlaczego ten karzeł się śmiał. Podrzucił mi to, kiedy straciliśmy przytomność.

Ale przecież miałeś wybór. pomiędzy tym korytarzem a tamtym cieniem.

Fakt.

Więc dlaczego wybrałeś ten?

Miał lepsze oświetlenie.

ROZDZIAŁ 5

Pięć czy sześć kroków dalej zniknęło nawet wrażenie ścian. Stropu też, jeśli już o tym mowa. Za sobą nie widziałem ani śladu korytarza czy otworu wejścia. Był tylko rozległy pusty obszar szarości. Na szczęście posadzka — czy też grunt — pozostała pod nogami. Jedyne sposoby, w jakie mogłem odróżnić drogę, którą tu dotarłem, od otaczającego ją mroku, miał związek z widzialnością. Szedłem perłowoszarą ścieżką przez dolinę cienia, chociaż formalnie rzecz biorąc szedłem pewnie między cieniami. Co za uprzejmość! Ktoś albo coś niechętnie rozlał minimum światła, by oznaczyć mój szlak.

Kroczyłem wśród upiornej ciszy. Zastanawiałem się, ile minąłem już cieni. A potem, czy to nie nazbyt liniowy sposób pojmowania tego zjawiska. Prawdopodobnie.

W tej właśnie chwili, zanim zdążyłem przywołać na pomoc matematykę, zauważyłem jakiś ruch po prawej stronie. Przystanąłem. W polu widzenia wyrosła wysoka czarna kolumna, słabo majacząca na samej granicy zasięgu wzroku. Ale nie poruszała się. Uznałem, że to ja się przemieszczam, co wywołuje złudzenie jej ruchu. Gruba, nieruchoma, gładka... przebiegłem wzrokiem w górę, aż straciłem ją z oczu. Trudno powiedzieć, jak wysoko może sięgać.

Odwróciłem się. Przeszedłem kilka kroków. Zauważyłem następną kolumnę — z przodu, po lewej stronie. Rzuciłem tylko okiem i szedłem dalej. Po chwili zjawilo się ich więcej, po obu stronach. Ciemność, w której znikaly, nie zawierała niczego podobnego do gwiazd; firmament mojego świata tworzyła gładka, jednostajna czerń. Po chwili kolumny zaczęły wyrastać w dziwnych grupkach, niektóre bardzo blisko siebie. Ich relatywne wymiary nie wydawały się już jednolite.

Zatrzymałem się, żeby dotknąć jednej z grupy kolumn po lewej. Wydawało się, że są w zasięgu ręki. Nie były. Zrobiłem krok w ich stronę.

Poczułem krótki ucisk na przegubie.

Na twoim miejscu nie robiłabym tego, ostrzegła Frakir.

Dlaczego?, zdziwiłem się.

Łatwo się tu zgubić i narazić na duże kłopoty.

Pewnie masz słuszność.

Zacząłem biec. Cokolwiek się tu działo, miałem tylko jedno życzenie: skończyć z tym jak najprędzej i wrócić do spraw, które uważałem za istotne. Na przykład odnaleźć Coral, uwolnić Luke'a, rozwiązać jakoś problem z Jurtem i Julią, poszukać ojca...

Mijałem kolumny ustawione w nierównych odstępach. Między nimi zaczęły się pojawiać obiekty, które kolumnami nie były. Niektóre niskie, asymetryczne, inne wysokie, zwężone. Niektóre opierały się o sąsiadów, spinały ich albo leżały pokruszone u ich stóp. Z pewną ulgą patrzyłem na zakłócenie monotonnej regularności, wskazujące, że na te formy oddziaływały potężne siły.

Grunt przestał być płaski, choć zachował pewną stylizowaną geometrię jakby stopni czy półek składanych na różnych poziomach. Moja ścieżka wciąż była równa i zalana mglistym blaskiem, gdy biegłem wśród ruin tysiąca Stonehenge.

Przyspieszyłem trochę. Wkrótce mijałem galerie, amfiteatry, lasy sterczących głazów. Kilka razy dostrzegłem jakiś ruch między nimi, ale mógł to być efekt mojego biegu i marnego oświetlenia.

Wyczuwasz w pobliżu coś żywego?, spytałem Frakir.

Nie, nadpłynęła odpowiedź.

Zdawało mi się, że coś widzę.

Może widziałeś. Ale to nie znaczy, że tam było.

Umiesz mówić dopiero pół dnia, a już nauczyłaś się sarkazmu.

Przykro mi to stwierdzać, szefie, ale wszystko, czego się uczę, pochodzi z wibracji twojego umysłu. Nie ma tu nikogo innego, żeby nauczył mnie dobrych manier i tak dalej.

Touché, przyznałem. Może lepiej ja cię uprzedzę, jeśli zdarzą się kłopoty.

Touché, szefie. Lubię te bitewne metafory.

W chwilę później zwolniłem kroku. Coś zamigotało z przodu, trochę na prawo. Pośród zmiennej szarości światła pojawiły się błyski czerwieni i błękitu. Zatrzymałem się. Trwały tylko sekundę, ale to wystarczyło dla wzbudzenia czujności. Przez długą chwilę obserwowałem ich pozorne źródło.

Tak, odezwała się Frakir. Rozsądek nakazuje ostrożność. Ale nie pytaj, czego masz się spodziewać. Odbieram tylko ogólne poczucie zagrożenia.

Może zdołałbym prześliznąć się jakoś bokiem.

Musiałbyś zejść ze szlaku. Ale odradzam, gdyż szlak prowadzi właśnie przez kamienny krąg, z którego emanuje to uczucie.

Nikt nie wspominał, że nie wolno mi zbaczać z drogi. Masz jakieś instrukcje w tej sprawie?

Wiem, że powinieneś iść ścieżką. Ale nic nie wiem o konsekwencjach jej porzucenia.

Hm...

Szlak skręcał w prawo, więc ruszyłem w tamtą stronę. Biegł wprost do kręgu masywnych głazów. Zwolniłem, ale nie zboczyłem z drogi. Przyglądałem się im z uwagą i spostrzegłem, że choć ścieżka ginie między nimi, nie wybiega z drugiej strony.

Masz rację, stwierdziła Frakir. Jak smocze legowisko.

Ale musimy tamtędy przejść.

Tak.

Zatem przejdziemy.

Zwolniłem jeszcze bardziej i podążyłem za lśniąca wstęgą pomiędzy dwa szare głazy.

Wewnątrz kręgu oświetlenie było inne niż na zewnątrz — jaśniejsze. Mimo to, wszystko i tak przypominało studium czerni i bieli, z jakimś magicznym połyskiem. Po raz pierwszy zobaczyłem jakiś ślad życia: pod nogami rosła jakby trawa, srebrzysta i wysadzana kropelkami rosy.

Stanałem, a Frakir zacisnęła się inaczej niż zwykle: nie ostrzegęła, a raczej wyrażała zainteresowanie. Po prawej stronie wznosił się ołtarz — zupełnie niepodobny do tego, przez który skakałem w kaplicy. Ten był surową skalną płytą ułożoną na parze głazów. Żadne świece, ornaty czy inne eklezjastyczne drobiazgi nie dotrzymywały towarzystwa leżącej na nim kobiecie. Miała związane ręce i nogi. Pamiętałem, że sam znalazłem się kiedyś w podobnie kłopotliwej sytuacji, więc moja sympatia była całkowicie po stronie damy — białowłosej, czarnoskórej i jakby znajomej. Niechęcią obdarzyłem dziwaczne indywiduum stojące za ołtarzem, przodem do mnie, ze sztyletem wzniesionym w lewej dłoni. Prawa część jego ciała była absolutnie czarna, lewa oślepiająco biała. Natychmiast skoczyłem do ataku. Moje zakłęcie Koncert na Sztukę Kulinarą i Kuchenkę Mikrofalową w jednej chwili posiekałoby go i ugotowało równocześnie. Tyle że nie mogłem z niego skorzystać, skoro nie potrafiłem wypowiedzieć kluczowych słów.

Miałem wrażenie, że pędząc ku niemu czuję na sobie jego wzrok. Co prawda jedna część twarzy była za ciemna, a druga zbyt jasna, żeby mieć pewność. A potem ręka z nożem opadła szerokim łukiem, a ostrze wbiło się w pierś kobiety tuż pod mostkiem. Kobieta krzyknęła wtedy i trysnęła krew, czerwona wśród tych wszystkich czerni i bieli, a kiedy zbryzgała dłoń mężczyzny zrozumiałem, że gdybym spróbował, mógłbym wypowiedzieć zakłęcie i ocalić ofiarę.

Zaraz potem rozpadł się ołtarz, a szary wir przesłonił widok. Krew krążyła w nim jak pasy na szlabanie, rozplývając się stopniowo, a lej stawał się czerwony, potem różowy, potem przygasł do srebra i wreszcie zniknął. Kiedy dotarłem na miejsce, lśniła tylko trawa... *sans* ołtarza, *sans* kapłana, *sans* ofiary.

Wyhamowałem i patrzyłem.

— Czyżbyśmy śnili? — zapytałem głośno.

Nie jestem pewna, czy potrafię śnić, odparła Frakir.

— W takim razie opowiedz, co widziałaś.

Widziałam, że jakiś facet przebił nożem kobietę przywiązaną do kamiennej powierzchni. Potem wszystko rozpadło się i rozwiało. Facet był czarny i biały, krew czerwona, a kobietą była Deirdre...

— Co? Rany boskie, masz rację! Rzeczywiście wyglądała podobnie... w negatywie. Ale przecież ona nie żyje...

Muszę ci przypomnieć, że zobaczyłam to, co ty zobaczyłeś. Nie znam pierwotnych danych, tylko tę sieczkę, jaką z nich zrobił twój układ nerwowy. Mój system percepcji wykazywał tylko, że nie byli to zwykli ludzie, ale istoty podobne do postaci Dworkina i Oberona, którzy odwiedzili cię w jaskini.

I wtedy przyszła mi do głowy straszliwa myśl. Wizerunki Dworkina i Oberona przypominały trójwymiarowe symulacje komputerowe. A umiejętność skanowania Cienia u Ghostwheela opierała się na cyfrowych odwzorowaniach tych fragmentów Wzorca, które — moim zdaniem — pełniły taką właśnie funkcję. W dodatku Ghost rozważał — niemal z rozmarzeniem, jak mi się teraz wydawało — swoje kwalifikacje do boskości.

Czyżby mój własny twór bawił się ze mną w ten sposób? Czy mógł mnie uwięzić w obłąkanym, dalekim cieniu i zacząć taką skomplikowaną grę? Gdyby zdołał pokonać swojego stwórcę, wobec którego odczuwał pewien podziw, czy nie uznałby tego za osobisty awans? W jego kosmosie byłby to awans na poziom wyższy od mojego. Możliwe. Jeśli zbyt często spotyka się komputerowe symulacje, *cherchez le deux ex machina*.

Zacząłem rozważać, jak silny jest naprawdę Ghost. Choć jego moc była po części odpowiednikiem mocy Wzorca, nie wierzyłem, by zdołał Wzorcowi dorównać... albo Logrusowi. Nie sądzę, by potrafił zamknąć przed nimi ten cień.

Z drugiej strony, tak naprawdę musiałby zablokować tylko mnie. Podejrzewam, że mógłby udawać Logrus podczas naszego krótkiego spotkania, zaraz po moim przybyciu. Ale w takim razie musiałby naprawdę wzmocnić świadomość Frakir, a tego raczej nie potrafił. A co z Jednorożcem i Wężem?

— Frakir — rzuciłem. — Czy jesteś pewna, że to rzeczywiście Logrus cię rozbudził i zaprogramował te wszystkie instrukcje, które mi przekazujesz?

Tak.

— Skąd ta pewność?

Miałam to samo uczucie po naszym pierwszym kontakcie, kiedy pokonywałaś Logrus, a ja zostałam wstępnie pobudzona.

— Rozumiem. Następne pytanie: czy Jednorożec i Wąż, których widzieliśmy w kaplicy, mogli być istotami tego samego typu co Dworkin i Oberon w jaskini?

Nie. Zauważyłabym. Byli zupełnie inni. Straszni, potężni i dokładnie tacy, jacy się wydawali.

— To dobrze. — Odetchnąłem. — Bałem się, że to wszystko jest tylko skomplikowaną grą Ghostwheela.

Dostrzegłam to w twoim umyśle. Co prawda nie rozumiem, w jaki sposób zaprzecza tej tezie realność Jednorożca i Węża. Mogli przecież wkroczyć w konstrukcję Ghostwheela i przekazać ci, żebyś przestał się rzucać, bo chcą zobaczyć koniec tej gry.

— O tym nie pomyślałem.

A może Ghost potrafił odnaleźć i przebić się do miejsca praktycznie nieosiągalnego dla Wzorca i Logrusu.

— Możesz mieć racje. Niestety, stawia nas to z powrotem na początku drogi.

Nie, ponieważ to miejsce nie zostało zbudowane przez Ghosta. Zawsze istniało. Dowiedziałam się tego od Logrusu.

— Ta świadomość daje pewną ulgę, chociaż...

Nie dokończyłem tej myśli, gdyż właśnie wtedy nagle poruszenie zwróciło moją uwagę na przeciwny brzeg kręgu. Zobaczyłem ołtarz, którego wcześniej nie było, przy nim kobiecą postać, a na płycie związanego mężczyznę w plamy światła i cienia. Byli bardzo podobni do pierwszej pary.

— Nie! — krzyknąłem. — Dość już tego!

Ale nóż opadł, kiedy skoczyłem w tamtą stronę. Rytuał powtórzył się, ołtarz runął i wszystko się rozwiało. Kiedy dobiegłem na miejsce, nie znalazłem żadnego znaku, że wydarzyło się tu coś niezwykłego.

— Rozumiesz coś z tego? — zwróciłem się do Frakir.

Te same siły, ale jakby na odwrót.

— Dlaczego? Co się tu dzieje?

To spotkanie dwóch potęg. Wzorzec i Logrus próbują przedrzeć się tutaj, choćby na chwilę. Takie ofiary, jakie przed chwilą oglądałeś, pomagają otworzyć przejście.

— Czemu im tak zależy na manifestacji akurat tutaj?

Teren neutralny. Ich odwieczna równowaga ulega subtelny przemianom. Ty powinieneś w jakiś sposób przechylić szalę w jedną albo drugą stronę. — Nie mam bladego pojęcia, jak się do tego zabrać. Dowiesz się, kiedy nadejdzie czas. Wróciłem na szlak i ruszyłem dalej.

— Czy przechodziłem tędy akurat wtedy, kiedy składali te ofiary? — spytałem. — Czy też złożyli je, ponieważ przechodziłem?

Było przeznaczone, by zdarzyły się w twojej obecności. Ty jesteś ośrodkiem.

— Czy w takim razie powinienem się spodziewać...

Jakaś postać wysunęła się zza głazu po lewej stronie i zaśmiała się cicho. Odruchowo sięgnąłem po miecz, ale tamten ręce miał puste i poruszał się wolno.

— Mówisz do siebie — zauważył. — To zły znak.

Był kombinacją czerni, bieli i szarości. Sądząc po tym, jak ciemność okrywała jego prawą stronę, a światło padało na lewą, mógł być tym pierwszym, który wzniósł nóż ofiarny. Trudno powiedzieć. Ale kimkolwiek był albo czymkolwiek, nie miałem ochoty na bliższą z nim znajomość.

Dlatego wzruszyłem ramionami.

— Jedyne znaki, jaki mnie teraz interesuje, to ten z napisem „wyjście” — oświadczyłem i wyminąłem go. Jego dłoń opadła mi na ramię i odwróciła z łatwością. Znowu ten śmieszek.

— W tym miejscu musisz uważać na swoje życzenia — oznajmił cichym, równym głosem. — Ponieważ czasem się spełniają. A gdyby ten, co je spełnia, złośliwie przeczytał „zejście” zamiast „wyjście”? Wtedy puff! Możesz przestać istnieć. Z dymem w górę. W dół do ziemi. Albo w bok do piekła. I koniec.

— Już tam byłem — odpowiedziałem. — A po drodze jeszcze w paru innych miejscach.

— No no! Coś takiego! Twoje życzenie się spełniło — zauważył. Lewe oko pochwyciło błysk światła i jak błona odbiło go w moją stronę. Za to jakkolwiek bym się ustawiał i z której strony patrzył, nie mogłem zobaczyć prawego oka. — O, tam! — dokończył, wyciągając rękę.

Obejrzałem się we wskazanym kierunku. Na poziomej płycie dolmenu jarzył się znak wyjścia, dokładnie taki, jak nad drzwiami w kinie, gdzie często bywałem jako student.

— Masz rację — przyznałem.

- Przejdiesz tam?
- A ty?
- Nie warto — odparł. — Ja już wiem, co tam znajdę.
- Co?
- Drugą stronę.
- Bardzo dowcipne — zauważyłem.
- Jeśli ktoś zlekceważy spełnione życzenie, może rozgniewać Moce — stwierdził.
- Wiesz to z własnego doświadczenia?

Usłyszałem dziwny, nieprzyjemny odgłos i dopiero po chwili zrozumiałem, że to on zgrzyta zębami. Zostawiłem go i poszedłem do znaku wyjścia — sprawdzić, jak wygląda z bliska.

Były tam dwa stojące pionowo głazy z płaską płytą na szczycie. Tworzyły rodzaj bramy, dostatecznie szerokiej, żeby przejść. Jednak wewnątrz panował mrok...

Przechodzisz, szefie?

— Dlaczego nie? To jedna z niewielu okazji w moim życiu, kiedy czuję się niezastąpiony dla tego, kto prowadzi przedstawienie.

Na twoim miejscu nie byłabym taka zarozumiiała... zaczęła Frakir, ale ja już ruszyłem.

Wystarczyły trzy szybkie kroki i spojrzałem na zewnątrz, poprzez krąg głazów, ponad lśniąca trawą, obok czarno-białego mężczyzny, w stronę kolejnego dolmenu ze znakiem wyjścia... i w stronę mglistej postaci pod nim. Zatrzymałem się, cofnąłem o krok i odwróciłem. Stał tam czarno-biały mężczyzna i obserwował mnie, za nim dolmen, a w nim mroczna postać. Podniosłem rękę nad głowę. Mglista sylwetka uczyniła to samo. Odwróciłem się w kierunku, w którym początkowo zmierzałem. Niewyraźna postać przede mną również trzymała rękę w górze. Przeszedłem na drugą stronę.

— Mały ten światek — stwierdziłem. — Ale nie chciałbym go malować.

Mężczyzna roześmiał się.

— Zostało ci przypomniane, że każde wyjście jest także wejściem — oświadczył.

— Twój widok jeszcze bardziej przypomina mi pewną sztukę Sartre'a — odparłem.

— Nieuprzejme — zauważył. — Ale filozoficznie spójne. Zawsze wiedziałem, że piekło to inni. Tylko że nie zrobiłem niczego, by wzbudzić twoją nieufność. Prawda?

— Byłeś czy nie byłeś tą osobą, którą widziałem, jak niedaleko stąd rytualnie morduje kobietę? — zapytałem.

— Jeśli nawet byłem, czemu cię to interesuje? To przecież nie twoja sprawa.

— Chyba jestem sentymentalny wobec pewnych drobiazgów. Na przykład wartości ludzkiego życia.

— Łatwo się oburzać. Nawet u Alberta Schweitzera szacunek dla istot żywych nie obejmował tasiemca, muchy tse-tse czy komórki rakowej.

— Wiesz, o co mi chodzi. Zamordowałeś tę kobietę całkiem niedawno, czy nie?

— Pokaż mi ołtarz.

— Nie mogę. Zniknął.

— Pokaż mi kobietę.

— Ona również.

— W takim razie nie masz zbyt wielu dowodów.

— To nie jest sąd, do diabła! Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, odpowiedz na moje pytanie. Jeśli nie, nie warto tracić czasu.

— Odpowiedziałem ci.

Wzruszyłem ramionami.

— No dobrze — mruknąłem. — Nie znam cię i wolę, żeby tak zostało. Żegnam.

Odsunąłem się od niego na krok, w kierunku szlaku. Wtedy powiedział: — Deirdre. Miała na imię Deirdre i rzeczywiście ją zabiłem.

Po czym zniknął pod dolmenem, z którego przed chwilą ja się wynurzyłem. Natychmiast spojrziałem na drugą stronę ścieżki, ale nie pojawił się pod znakiem wyjścia. Zrobiłem w tył zwrot i sam wstąpiłem pod dolmen. Natychmiast wyszedłem naprzeciwko, dostrzegając jeszcze własną znikającą postać. Nigdzie po drodze nie zauważyłem obcego.

— Coś o tym myślisz? — spytałem Frakir, skręcając w stronę szlaku.

Może to duch tego miejsca? Paskudny duch paskudnego miejsca?, próbowała odgadnąć. *Nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że był jednym z tych przeklętych konstruktów... a tutaj są silniejsze.*

Dotarłem do szlaku i ruszyłem w dalszą drogę.

— Styl twoich wypowiedzi bardzo się zmienił od chwili rozbudzenia świadomości — zauważyłem.

Twój system nerwowy jest dobrym nauczycielem.

— Dziękuję. Daj mi znać, jeśli ten facet znów się pojawi, a ty wyczujesz go wcześniej, niż ja zobaczę.

Zgoda. Szczerze mówiąc, cała ta okolica sprawia wrażenie konstruktów. Każdy kamień ma w sobie jakiś zygzak Wzorca.

— Kiedy to odkryłaś?

Kiedy pierwszy raz sprawdziłaś wyjście. Zbadałam, czy nic ci stamtąd nie zagraża.

Dotarliśmy do obwodu zewnętrznego kręgu. Klepnąłem głaz. Wydał mi się dostatecznie materialny.

Jest tutaj!, ostrzegła mnie nagle Frakir.

— Hej! — usłyszałem dobiegający z góry głos. Podniosłem głowę. Na szczycie głazu siedział czarno-biały obcy. Palił cienkie cygareto, a w lewym ręku trzymał puchar. — Zaciekawiasz mnie, chłopcze — mówił dalej. — Jak ci na imię?

— Merlin — odparłem. — A tobie?

Zamiast odpowiedzieć, odepchnął się, opadł w zwolnionym tempie i wylądował na obu nogach. Przyglądał mi się, mrużąc lewe oko. Po jego prawym boku jak mroczne wody płynęły cienie. Dmuchał srebrzystym dymem.

— Jesteś żywy — oznajmił. — Nosisz znamię Wzorca i znamię Chaosu. Masz w sobie krew Amberu. Skąd pochodzisz, Merlinie?

Cienie rozwiały się na moment i zauważyłem, że prawe oko zakrywa przepaska.

— Jestem synem Corwina — powiedziałem. — A ty... chyba... jesteś zdrajcą Brandem.

— Rozpoznałeś mnie — oświadczył. — Ale nigdy nie zdradziłem tego, w co wierzyłem.

— Czyli własnych ambicji — dokończyłem za niego. — Twój dom, rodzina i moce Porządku nigdy nie miały dla ciebie znaczenia.

Parsknął.

— Nie będę się spierał z aroganckim szczeniakiem.

— Ja też nie mam ochoty na dyskusje. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale twój syn Rinaldo jest chyba moim najlepszym przyjacielem.

Odwróciłem się i ruszyłem przed siebie. Jego dłoń opadła mi na ramię.

— Czeka! — rzucił. — Co to za bzdury? Rinaldo jest ledwie chłopcem.

— Błąd — stwierdziłem. — Jest mniej więcej w moim wieku.

Cofnął rękę. Obejrzałem się. Odrzucone cygareto dymiło teraz na ścieżce. Przełożył puchar do dłoni okrytej mrokiem. Potarł czoło.

— Tak wiele czasu minęło w głównych strumieniach... — mruknął.

Pod wpływem nagłego impulsu wyjąłem Atuty, odnalazłem portret Luke'a i podniosłem, żeby mógł się przyjrzeć.

— To jest Rinaldo — powiedziałem. Sięgnął po kartę, a ja oddałem ją, sam właściwie nie wiem dlaczego. Przyglądał się bardzo długo.

— Kontakt tą drogą nie jest tu chyba możliwy — zauważyłem.

Spojrzał na mnie, pokręcił głową i oddał Atut.

— Nie, chyba nie — zgodził się. — Co... co z nim?

— Czy wiesz, że zabił Caine'a, żeby cię pomścić?

— Nie, o tym nie wiedziałem. Ale sądzę, że miałem prawo czegoś takiego oczekiwać.

— Nie jesteś w pełni Brandem, prawda?

Odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

— Jestem całkowicie Brandem, ale nie tym Brandem, o którym słyszałeś. Za wszystko co ponadto musisz mi zapłacić.

— Ile kosztuje wiedza o tym, kim jesteś naprawdę? — zainteresowałem się, chowając karty.

Uniósł puchar i trzymał go oburącz przed sobą jak żebraczą miseczkę.

— Odrobinę twojej krwi — rzekł.

— Stałeś się wampirem?

— Nie. Jestem upiorem Wzorca — odparł. — Oddaj mi krew, a wytłumaczę.

— Zgoda. Ale lepiej, żeby to była ciekawa opowieść.

Ukłułem się sztyletem w nadgarstek i wyciągnąłem rękę nad naczyniem.

Płomienie wybuchły jak z rozlanej lampy naftowej. Oczywiście, to nie ogień płynie w moich żyłach. Ale krew istot Chaosu jest w pewnych miejscach wyjątkowo łatwopalna, a to najwyraźniej było jedno z nich.

Ogień trysnął częściowo do pucharu, częściowo ponad nim, zalewając dłoń i przedramię Branda. Krzyknął i jakby zapadł się w siebie. Odstąpiłem, a on zmienił się w wir — podobny do tych, jakie powstawały po dopełnieniu ofiar, chociaż bardziej płomienisty. Lej z rykiem uniósł się w powietrze i po chwili zniknął, a ja pozostałem zdumiony, zapatrzony w górę, i uciskałem zraniony przegub.

Hm... Efektowne wyjście, zauważyła Frakir.

— Rodzinna specjalność — wyjaśniłem. — A skoro mowa o wyjściu...

Wyminąłem głaz i opuściłem kamienny krąg. Natychmiast powrócił mrok, pogłębił się. Przez kontrast, moja ścieżka jakby pojaśniała. Puściłem nadgarstek i przekonałem się, że już nie dymi.

Ruszyłem biegiem, chcąc jak najszybciej opuścić tę okolicę. Kiedy po chwili zerknąłem przez ramię, nie zauważyłem już stojących głazów. Był tylko błydy, nienasycony wir, sięgający coraz wyżej i wyżej, aż zniknął.

Szlak zaczął opadać, tak że biegłem zboczem w dół, lekkim, długim krokiem. Ścieżka leżała przede mną niby jasna wstążka, znikająca daleko w przedzie. Ze zdziwieniem zauważyłem, że całkiem blisko, w dole, przecina inną jasną linię. Ta nienasycona szybko po obu stronach.

— Masz jakieś instrukcje na temat skrzyżowań? — zapytałem.

Jeszcze nie. Przymuszczać nie zbliża się moment decyzji. Nie wiesz, co wpłynie na twój wybór, póki nie dotrzesz na miejsce.

Zdawało mi się, że w dole rozpościera się szeroka zamglona równina, gdzie tu i tam lśni kilka samotnych światełek. Niektóre płonęły równo, inne zapalały się i gasły, ale wszystkie pozostawały w tych samych miejscach. Nie zauważyłem jednak żadnych linii prócz mojej ścieżki i tej, co ją przecinała. Nie słyszałem żadnego dźwięku oprócz własnego oddechu i odgłosu moich kroków. Nie czułem powiewów, dziwnych zapachów, a temperatura była tak łagodna, że w ogóle nie zwracała uwagi. Po obu stronach znowu pojawiły się jakieś kształty, ale nie miałem ochoty ich

badać. Chciałem zakończyć to, co mnie tu trzymało, wynieść się stąd jak najszybciej i zająć własnymi sprawami.

Mgliste obłoki światła zaczęły pojawiać się w nieregularnych odstępach, po obu stronach szlaku — falujące, nieokreślone, plamiste, rozbłyskujące i gasnące na przemian. Przypominały zwiewne firanki zawieszane obok ścieżki. Nie przyglądałem się im uważnie, póki wciąż wyraźniejsze cienie nie przesłaniały coraz większego obszaru. Wyglądało to, jakby zachodził proces dostrojenia; coraz ostrzejsze kontury wyznaczały znajome obiekty: krzesła, stoliki, zaparkowane samochody, wystawy sklepów. Po chwili w obrazach pojawiły się wyblakłe barwy.

Przystanąłem przed jednym z nich i przyjrzałem się uważnie. Był to czerwony chevrolet z 1957 roku, przysypany lekko śniegiem, zaparkowany na znajomo wyglądającym podjeździe. Podeszedłem bliżej, wyciągając rękę.

Lewa dłoń i ramię zniknęły z chmurze przyćmionego blasku. Spróbowałem dotknąć lewej „płetwy”; napłynęło delikatne wrażenie kontaktu i lekkiego chłodu. Przesunąłem dłoń na prawo, zrzucając trochę śniegu. Kiedy cofnąłem rękę, była pokryta śniegiem. I natychmiast cały obraz rozpląnął się w czerni.

— Specjalnie użyłem lewej ręki — oznajmiłem. — Z tobą na nadgarstku. Co to było?

Dziękuję uprzejmie. Wyglądało jak czerwony samochód trochę przysypany śniegiem.

— To konstrukt czegoś znalezionego w mojej pamięci. Powiększony do rzeczywistej skali obraz Polly Jackson.

W takim razie, Merle, sprawy wyglądają coraz gorzej. Nie odgadłam, że to konstrukt.

— Wnioski?

Ktokolwiek za tym stoi, jest coraz lepszy. Albo silniejszy. Albo jedno i drugie.

— Niech to szlag... — mruknąłem, odwróciłem się i pobiegłem dalej.

Może ten ktoś chce udowodnić, że teraz potrafi już całkiem cię zmylić.

— W takim razie udało mu się — przyznałem. — Hej! Ktosiu! — krzyknąłem. — Słyszysz mnie? Wygrałeś! Zmyliłeś mnie całkowicie. Czy teraz już mogę wracać do domu? Ale jeśli chodziło ci o coś innego, to przegrałeś! Zupełnie nie zrozumiałem, co by to mogło być!

Jaskrawy błysk przewrócił mnie na ścieżkę i oślepił na długie chwile. Czekałem, pełen napięcia i drżący, ale grzmot nie nastąpił. Kiedy odzyskałem wzrok i minęły skurcze mięśni, spojrzałem na stojącą o kilka kroków przede mną gigantyczną postać: Oberona.

Ale to był posąg, kopia stojącego na końcu Głównej Alei w Amberze. A może nawet oryginał — przy dokładniejszej obserwacji zauważyłem coś jakby ptasie odchody na ramieniu wielkiego władcy.

— Prawdziwy czy konstrukt? — zapytałem głośno.

Moim zdaniem prawdziwy, stwierdziła Frakir.

Wstałem powoli.

— Rozumiem, że jest to odpowiedź — powiedziałem. — Nie rozumiem tylko, co oznacza. Dotknąłem posągu i poczułem pod palcami raczej płótno niż brąz. W tym momencie perspektywa uległa zmianie i dotykałem już trochę uwznioślonego portretu Ojca Swej Krainy. Potem jego kontury zaczęły falować, zbladły i zobaczyłem, że to fragment jednego z tych mijanych po drodze mglistych obrazów. W chwilę później porwał się na strzępy i zniknął.

— Poddaję się — westchnąłem, przechodząc przez miejsce, jakie zajmował kilka sekund temu. — Odpowiedzi budzą większy zamęt niż sytuacje, które doprowadziły do stawiania pytań.

Ponieważ wędrujemy pomiędzy cieniami, czy nie można uznać tego za przypomnienie, że wszelkie rzeczy są gdzieś prawdziwe?

— Przypuszczam. Ale o tym wiedziałem wcześniej.

I że wszelkie rzeczy są prawdziwe na różne sposoby, w różnym czasie i w różnych miejscach?

— Zgoda. To może być wiadomość. Wątpię jednak, by ktoś zadawał sobie tyle trudu dla demonstracji filozoficznych tez, które dla ciebie mogą stanowić nowość, ale gdzie indziej są dość powszechnie znane. Musi być jakiś szczególny powód, którego ciągle nie pojmuję. Do tej chwili wszystkie mijane sceny były martwą naturą. Teraz jednak pojawiło się kilka z ludźmi; na niektórych widziałem inne stworzenia. I rozgrywała się tam jakaś akcja — sceny były brutalne, miłosne, czasem przedstawiały zwykłe domowe zajęcia.

Owszem, dostrzegam pewien postęp. Może to do czegoś doprowadzi.

— Kiedy wyskoczą i mnie zaatakują, będę wiedział, że dotarłem do celu.

Kto wie? Jak rozumiem, krytyka sztuki jest dość złożonym obszarem wiedzy.

Jednak filmowe sekwencje rozwiały się wkrótce i raz jeszcze biegłem samotnie jasnym szlakiem poprzez ciemność. W dół, w dół po łagodnym zboczach, w stronę skrzyżowania. Gdzie się podział Kot z Cheshire, kiedy najbardziej potrzebowałem logiki króliczej nory?

W jednej chwili patrzyłem na skrzyżowanie ścieżek i biegłem ku niemu. O mgnienie oka później nadal patrzyłem na skrzyżowanie ścieżek, ale scena uległa pewnej zmianie. Przy prawym rogu stała teraz latarnia. A pod nią niewyraźna sylwetka z papierosem.

— Frakir, jak oni to zrobili?

Bardzo szybko, odpowiedziała.

— Czujesz coś?

Uwaga skoncentrowana na tobie. Na razie żadnych złych zamiarów.

Zwolniłem, podchodząc bliżej. Ścieżka stała się brukowaną ulicą, z obu stron krawężniki, za nimi chodnik. Zszedłem z jezdni na prawą stronę. Obłok mgły otulił mnie i zawisł pomiędzy mną a światłem. Zwolniłem jeszcze bardziej. Po chwili dostrzegłem, że bruk jest wilgotny. Odgłos kroków odbijał się echem od ścian budynków, ale mgła była już zbyt gęsta, by widzieć, czy budynki pojawiły się naprawdę. Miałem uczucie, że są tam — te ciemniejsze obszary w mroku. Zimny wiatr dmuchnął mi w kark, a krople wilgoci opadały na twarz. Stałem. Podniosłem kołnierz płaszcza. Gdzieś spoza zasięgu wzroku, z wysoka, dobiegło ciche brzęczenie samolotu. Ruszyłem dalej, kiedy przeleciał. Trochę metaliczny, stłumiony dźwięk fortepianu, może z drugiej strony ulicy, przyniósł na wpół znajomą melodię. Otuliłem się płaszczem. Mgła wirowała i gęstniała.

Jeszcze trzy kroki i przejaśniło się trochę, a ona stała przede mną oparta o latarnię. O głowę niższa ode mnie, miała na sobie prochowiec i czarny beret na kruczonych włosach. Rzuciła papierosa na ziemię i wolno rozgniotła go czubkiem buta na wysokim obcasie, z czarnej skóry. Mogłem wtedy obejrzeć kawałek jej nogi; miała doskonały kształt.

Wyjęła z kieszeni płaszcza płaską, srebrną papierośnicę z wypukłym konturem róży na wieczku, otworzyła, wyjęła papierosa, wsunęła go w usta. Zamknęła i schowała papierośnicę. Potem, nie patrząc na mnie, rzuciła:

— Masz ogień?

Nie miałem zapalek, ale nie mogłem pozwolić, by powstrzymał mnie taki drobiazg.

— Oczywiście.

Powoli wyciągnąłem rękę ku jej delikatnej twarzy. Odwracałem lekko dłoń, by nie zauważyła, że jest pusta. Szepnąłem kluczowe słowo, które sprawiło, że iskra przeskoczyła z czubka mojego palca na koniec jej papierosa, a ona podniosła rękę i chwyciła moją, jakby chciała ją unieruchomić. Podniosła głowę, kiedy się zaciągała, i jej oczy — wielkie, koloru głębokiego błękitu, z długimi rzęsami — spojrzały na mnie. Nagle jęknęła; papieros upadł na chodnik.

— Mon Dieu! — szepnęła. Zarzuciła mi ręce na szyję, przytuliła się i zaczęła szlochać. — Corwinie! Znalazłeś mnie! To trwało całą wieczność.

Trzymałem ją mocno. Nie chciałem nic mówić, nie chciałem niszczyć jej szczęścia czymś tak bzdurnym jak prawda. Do diabła z prawdą. Gładziłem jej włosy.

Po długiej chwili odsunęła się i spojrzała na mnie. Jeszcze chwila, a zrozumie, że dostrzega tylko podobieństwo i że widzi to, co chciała zobaczyć. Zatem...

— Co taka dziewczyna jak ty robi w takim miejscu? — spytałem.

Zaśmiała się cicho.

— Znalazłeś drogę? — powiedziała i nagle zmrużyła oczy. — Ty nie...

Pokręciłem głową.

— Nie miałem serca — wyjaśniłem.

— Kim jesteś? — spytała, odstępując na pół kroku.

— Na imię mi Merlin i wypełniam obłąkaną misję, której celu nie rozumiem.

— Amber — stwierdziła cicho. Wciąż trzymała mnie za ramiona.

Kiwnąłem głową.

— Nie znam cię — oświadczyła wtedy. — Czuję, że powinnam, ale... nie...

Przysunęła się znowu i oparła mi głowę na piersi. Zacząłem coś mówić, coś tłumaczyć, ale położyła mi palec na wargach.

— Jeszcze nie, nie teraz, może nigdy — powiedziała. — Nie mów mi. Proszę cię, nie mów nic więcej. Ale sam powinieneś wiedzieć, czy jesteś upiorem Wzorca.

— A co to jest upiór Wzorca?

— To sztuczna istota, twór Wzorca. On zapamiętuje wszystkich, którzy przechodzą. Kiedy zechce, może nas przywołać... takich, jacy byliśmy w dniu przejścia. Wykorzystuje nas, jak tylko zapagnie; wysyła gdzie ma ochotę. Powierza nam zadania... nakłada czar, jeśli wolisz. Jeśli nas zniszczysz, on znowu może nas odtworzyć.

— Często robi coś takiego?

— Nie wiem. Nie znam jego zamiarów ani nawet działań z kimkolwiek innym prócz mnie. — I nagle: — Nie jesteś upiorem! Poznają! — oznajmiła, chwytając mnie za rękę. — Ale jest w tobie coś dziwnego... innego niż u wszystkich z krwi Amberu...

— Przypuszczam — zgodziłem się. — Pochodzę z Dworców Chaosu, nie tylko z Amberu.

Uniosła moją dłoń do ust, jakby chciała ją ucałować. Jednak wargi przesunęły się wyżej, do miejsca na przegubie, gdzie na żądanie Branda naciąłem skórę. I wtedy do mnie dotarło: coś w krwi Amberu musi szczególnie pociągać upiory Wzorca.

Próbowałem cofnąć rękę, ale ona miała też siłę Amberyty.

— Czasami płyną w moich żyłach ognie Chaosu — ostrzegłem. — Mogą cię skrzywdzić.

Wolno podniosła głowę i uśmiechnęła się. Miała krew na wargach. Spojrzałem w dół — nadgarstek też miałem mokry od krwi.

— Krew Amberu ma władzę nad Wzorcem — zaczęła, a mgła zawirowała i zawrzała jej wokół kostek. — Nie! — krzyknęła i znów się pochyliła.

Fale mgły wzniosły się do jej łydek, potem kolan. Czulem na rękę zęby rozrywające skórę. Nie znam żadnych zaklęć zwalczających takie istoty, więc tylko objąłem ją za ramiona i gładziłem włosy. Po chwili rozplynęła się w moich objęciach, zmieniła się w krwawy wir.

— Idź w prawo — usłyszałem jeszcze wołanie, gdy odpływała. Jej papieros wciąż dymił na chodniku, a moja krew ściekała obok niego.

Odwróciłem się. Odszedłem. Słabo, bardzo słabo, poprzez noc i mgłę, słyszałem jeszcze fortepian, grający jakąś melodię sprzed mojego czasu.

ROZDZIAŁ 6

Ruszyłem drogą w prawo, a gdzie tylko kapnęła moja krew, rzeczywistość nadtapiała się nieco. Jednak rany goją mi się szybko i wkrótce przestałem krwawić. Nawet ból ustał po niezbyt długim czasie.

Całą mnie pochlapałeś krwią, szefie.

— To mógł być ogień — przypomniałem.

Trochę mnie też przypaliło, koło tych gładów.

— Przepraszam. Domyśliłaś się już, co się dzieje?

Żadnych nowych poleceń, jeśli o to ci chodzi. Ale zastanawiałam się, skoro już potrafię to robić. To miejsce coraz bardziej mnie fascynuje. Choćby ta sprawa z upiorami Wzorca. Wprawdzie Wzorzec nie może przedostać się tutaj bezpośrednio, ale może korzystać ze swoich agentów. Sądysz, że Logrus też to potrafi?

— Sądzę, że to możliwe.

Odniosłam wrażenie, że tutaj, po lewej stronie rzeczywistości, pomiędzy cieniami, toczy się między nimi jakiś pojedynek. A jeśli to miejsce istniało pierwsze? Jeszcze przed Cieniem? A jeśli od samego początku walczyli tu w jakiś niezwykły, metafizyczny sposób?

— Co z tego?

Mogli stworzyć Ciebie dodatkowo, jako produkt uboczny napięcia między biegunami.

— Obawiam się, Frakir, że nie nadażam.

Może Amber i Dworce Chaosu zostały stworzone tylko po to, żeby dostarczać im agentów dla tego konfliktu.

— A może te myśli podsunął ci Logrus podczas ostatniego spotkania?

Po co?

— Jako jeszcze jeden sposób zmuszenia mnie do uznania, że ta walka jest ważniejsza od ludzi. Kolejna próba nacisku, żebym wybrał którąś ze stron.

Nie czuję się manipulowana.

— Jak sama zauważyłaś, w myśleniu brakuje ci doświadczenia. A to zbyt abstrakcyjny ciąg skojarzeń, żebyś na niego wpadła tak wcześnie.

Naprawdę?

— Możesz mi wierzyć na słowo.

W takim razie, co nam pozostaje?

— Niemile widziana uwaga z Góry.

Lepiej uważaj, co mówisz, skoro to ich pole bitwy.

— Niech ospa wybije ich domy. Z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu potrzebują mnie do tej rozgrywki. Pogodzą się z tym, co o nich mówię.

Gdzieś daleko w przedzie zahuczał grom.

Widzisz, o co mi chodzi?

— To blef — zapewniłem ją.

Czyj?

— Myślę, że Wzorca. Jego upiory opanowały chyba rzeczywistość w tym sektorze.

A wiesz, że oboje możemy się mylić? Po prostu strzelamy w ciemno.

— Ja też się czuję, jakby ktoś strzelał do mnie w ciemno. Dlatego odmawiam gry według cudzych reguł.

Masz jakiś plan?

— Zwisaj luźno. Kiedy powiem „zabij”, zrób to. A teraz chodźmy tam, gdzie idziemy.

Znowu ruszyłem biegiem, pozostawiając upiory ich upiornym zabawom w upiornym mieście. Jasny szlak przez mrok, ja biegnący i jakby odwrotna przemiana cieni, gdyż to kraina mnie próbowała zmienić. Daleko z przodu błysk i kolejny grzmot, pojawiające się i znikające po bokach wirtualne sceny uliczne.

I nagle jakbym ścigał się z samym sobą, ciemną figurą pędzącą po jasnej drodze... póki się nie zorientowałem, że to istotnie rodzaj efektu lustrzanego. Ruchy postaci po prawej stronie, na równoległej drodze, naśladowały moje. Ulotne sceny po lewej były odwzorowane po prawej stronie tamtego.

Co się dzieje, Merle?

— Nie wiem. Ale nie mam nastroju do symbolizmu, alegorii i całych tych metaforycznych bzdur. Jeśli ma to oznaczać, że życie jest wyścigiem z samym sobą, to mogą się wypchać... Chyba że Moce, kierujące tym przedstawieniem, mają skłonność do takich banałów. To w ich stylu. Nie sądzisz?

Sądzę, że grozi ci trafienie piorunem.

Grom nie nadszedł, ale moje odbicie też nie zniknęło. Towarzyszyło mi o wiele dłużej niż wszystkie poprzednie przydrożne scenki. Chciałem przestać o nim myśleć, zignorować je, gdy nagle przyspieszyło gwałtownie i zniknęło.

No, no.

— Owszem — zgodziłem się. Też przyspieszyłem, by zmniejszyć dystans i dotrzymać kroku temu mrocznemu ja.

Najwyżej kilka metrów utrzymywał przewagę. Potem go doszedłem. On znów zaczął wyprzedzać. Znów przyspieszyłem i znów się z nim zrównałem. Potem, instynktownie, nabrałem tchu, rzuciłem się naprzód i wyszedłem na czoło.

Mój bliźniak zauważył to, przyspieszył, zaczął dochodzić. Przycisnąłem mocniej, utrzymując prowadzenie. O co w ogóle się ścigamy?

Spojrzałem przed siebie. Daleko w przedzie szlak się rozszerzał, a w poprzek drogi rozciągnięto jakby taśmę. W porządku. Nie wiem, jakie to ma znaczenie, ale spróbuję.

Utrzymywałem prowadzenie przez jakieś sto metrów, nim mój sobowtór zaczął mnie doganiać. Zwiększyłem wysiłek i przez chwilę utrzymywałem zmniejszoną przewagę. Potem on znowu przyspieszył i ruszył w tempie, którego pewnie nie wytrzymałby do samej taśmy. Chociaż nie zamierzałem spokojnie czekać na potwierdzenie tej teorii. Sięgnąłem do ostatnich rezerw. Pędziłem jak najszybciej.

Ten sukinsyn doganiał mnie, był coraz bliżej, doszedł, wyprzedził, zwolnił na ułamek sekundy. W ciągu tego ułamka znowu znalazłem się obok. Ale on nie popełnił tego samego błędu. Utrzymywał to potworne tempo, a ja nie chciałem ustąpić, póki serce nie pęknie mi na kawałki.

Biegliśmy ramię w ramię. Nie wiedziałem, czy mam jeszcze siły na finisz. Nie umiałem ocenić, czy on wyprzedza mnie trochę, może o pierś, czy został trochę w tyle. Pędziliśmy po równoległych, lśniących torach, aż nagle zniknęło wrażenie szklanej bariery. Dwie wąskie ścieżki stały się jedną szeroką, ramiona i nogi tamtego poruszały się w innym rytmie niż moje.

Na ostatniej prostej zbliżaliśmy się do siebie coraz bardziej — w końcu dość blisko, żeby dostrzec szczegóły. To nie z własnym odbiciem się ścigałem: pęd powietrza zdmuchnął mu włosy do tyłu i zobaczyłem, że nie ma lewego ucha.

Znalazłem siły na końcowe przyspieszenie. On również. Razem wpadliśmy na taśmę. Sądzę, że ja dotknąłem jej pierwszy... ale nie jestem pewien.

Minęliśmy metę i dysząc padliśmy na ziemię. Przetoczyłem się natychmiast, żeby mieć go na oku, ale on leżał nieruchomo i sapał. Oparłem dłoń na rękojeści miecza i słuchałem szumu krwi w uszach.

— Nie wiedziałem, Jurt, że jesteś taki szybki — rzuciłem, kiedy już mogłem swobodniej oddychać.

Zaśmiał się krótko.

— Wielu rzeczy o mnie nie wiesz, bracie.

— Jestem tego pewien.

Grzbietem dłoni otarł czoło i zauważyłem, że znów jest na miejscu palec, który stracił w grotach Kolviru. Albo więc był to Jurt z innego okresu, albo...

— Jak się czuje Julia? — zapytałem. — Wyleczy tę ranę?

— Julia? — zdziwił się. — Kto to jest?

— Przepraszam. Nie jesteś tym Jurtem.

— A to co ma znaczyć? — zapytał.

Oparł się na łokciu i spojrzał gniewnie zdrowym okiem.

— Prawdziwy Jurt nigdy nie znalazł się w pobliżu Wzorca Amberu...

— Ja jestem prawdziwym Jurtem!

— Masz wszystkie palce. On niedawno jeden stracił. Byłem przy tym.

Odwrócił wzrok.

— Musisz być upiorem Logrusu — mówiłem dalej. — Na pewno robi te same sztuczki co Wzorzec... rejestruje tych, którzy go przechodzą.

— Czy to... czy tak właśnie było? — spytał niepewnie. — Nie bardzo pamiętam, skąd się tu wzięłem. Tylko tyle, że mam się z tobą ścigać.

— Założę się, że ostatnie, co zapamiętałeś sprzed wyścigu, to przejście Logrusu.

Przyjrzał mi się uważnie. Kiwnął głową.

— Masz rację. I co z tego wynika?

— Nie jestem pewien. Ale mam pewną teorię. To miejsce jest rodzajem wiecznej odwrotnej strony Cienia. Praktycznie poza zasięgiem Wzorca i Logrusu. Ale potrafią tu przeniknąć ich upiory, sztuczne twory skonstruowane na podstawie zapisu, dokonanego w chwili przejścia...

— Chcesz powiedzieć, że jestem tylko jakimś zapisem? — Wyglądał, jakby miał ochotę się rozplakać. — Jeszcze przed chwilą wszystko było takie wspaniałe. Przeszedłem Logrus. Cały Cień leżał u moich stóp. — Potarł skronie. — Ty! — warknął. — Przeniosło mnie tutaj z twojego powodu. Żebym się z tobą ścigał, żebym cię pokonał w tym biegu.

— Prawie ci się udało. Nie wiedziałem, że taki z ciebie sprinter.

— Zacząłem ćwiczyć, kiedy się dowiedziałem, że trenujesz w college'u. Chciałem być dobry, żeby ci dołożyć.

— Jesteś dobry — przyznałem.

— Ale nie znalazłbym się tutaj, gdyby nie ty. Albo... — Przygryzł wargę. — To nie całkiem prawda. Nigdzie by mnie nie było. Jestem tylko zapisem... — Spojrzał mi w oczy. — Jak długo możemy przeżyć? — zapytał. — Ile może przetrwać upiór Logrusu?

— Nie mam pojęcia, jak się stwarza takiego upiora ani jak się podtrzymuje jego istnienie. Ale spotkałem kilka tworów Wzorca. Odniosłem wrażenie, że moja krew daje im siłę, rodzaj autonomii, niezależności. Tylko jeden z nich, Brand, dostał ogień zamiast krwi i się rozpadł. Deirdre dostała krew, ale potem zniknęła. Nie wiem, czy wzięła wystarczającą ilość.

Pokręcił głową.

— Mam uczucie... nie wiem, skąd się wzięło... że coś takiego działa również na mnie. I że krew jest dla Wzorca, ogień dla Logrusu.

— Nie wiem, w jakich regionach moja krew jest palna — stwierdziłem.

— Tu by płonęła — odparł. — Zależy, kto sprawuje kontrolę. Skądś o tym wiem. Nie mam pojęcia skąd.

— Ale skąd wziął się Brand na terytorium Logrusu?

Uśmiechnął się.

— Może Wzorzec chciał jakoś wykorzystać zdrajcę. A może Brand próbował działać na własną rękę jako podwójny agent.

— To by do niego pasowało — przyznałem. Mój oddech nareszcie zwolnił.

Wyrwałem z buta sztylet Chaosu i naciąłem lewe przedramię. Trysnął płomień. Wyciągnąłem rękę.

— Szybciej! Bierz, jeśli potrafisz! — zawołałem. — Zanim Logrus cię odwoła.

Pochwylił moje ramię i zdawało się, że niemal wdycha płomień. Spojrzałem w dół: stopy miał już przezroczyste... potem gołenie. Logrus wyraźnie chciał go wezwać z powrotem, tak jak Wzorzec odwołał Deirdre. Dostrzegłem ogniste kłęby wirujące we mgle, która przed chwilą była nogami Jurta. Potem nagle ogień zamigotał i znowu pojawiły się zarysy nóg. Jurt nadal ssał moją płonąca krew, chociaż nie widziałem już ognia, gdyż pił jak przedtem Deirdre — wprost z rany. Kontury nóg zaczęły się wypełniać.

— Chyba się stabilizujesz — zauważyłem. — Pij jeszcze.

Coś trafiło mnie w prawą nerkę. Szarpnąłem się w bok, i odwróciłem padając. Wysoki, smagły mężczyzna cofał właśnie nogę po kopnięciu. Miał zielone spodnie, czarną koszulę i zieloną bandanę na głowie.

— Cóż to za perwersyjne zachowanie? — spytał. — I to w świętym miejscu?

Przetoczyłem się, klęknąłem i wstałem, zginając ramię, skręcając przegub, sięgając do sztyletu u pasa. Uniosłem lewą rękę. Z najświeższej rany spływała teraz krew, nie ogień.

— Nie twój interes — odparłem. I dodałem jego imię, ponieważ zyskałem już pewność. — Caine...

Skłonił się z uśmiechem. Skrzyżował, potem rozłożył ręce. Składając, miał je puste, ale teraz w prawej trzymał sztylet. Musiał go wyrwać z pochwy na lewym przedramieniu, pod luźnym rękawem. Musiał też często ćwiczyć ten manewr, skoro wykonał go tak szybko. Próbowałem sobie przypomnieć, co słyszałem o Cainie i nożach... a kiedy mi się udało, natychmiast tego pożałowałem. Podobno był mistrzem walki na noże. Cholera.

— Masz nade mną przewagę — oznajmił. — Wydajesz mi się znajomy, ale nie znam cię.

— Merlin — przedstawiłem się. — Syn Corwina. Zaczął mnie z wolna okrażać, ale zatrzymał się.

— Wybacz, ale trudno mi w to uwierzyć.

— Nie wierz, jeśli nie chcesz. Ale to prawda.

— A ten drugi... ma na imię Jurt, zgadza się?

Skinął na mojego brata, który właśnie się podnosił.

— Skąd o tym wiesz? — spytałem.

Znieruchomiał. Zmarszczył czoło, zmrużył oczy.

— Nie... Nie jestem pewien — mruknął.

— A ja tak — odparłem. — Przypomnij sobie, kim jesteś i skąd się tu wziąłeś.

Cofnął się o dwa kroki. I nagle krzyknął:

— To on!

Zrozumiałem, co się święci.

— Jurt! — wrzasnąłem. — Uważaj!

Jurt obejrzał się i odskoczył. Rzuciłem sztyletem... To zawsze jest błędem, tyle że miałem jeszcze miecz i mogłem nim dosięgnąć Caine'a, zanim on dotrze do mnie z nożem.

Jurt wciąż był szybki i w jednej chwili znalazł się poza zasięgiem. Sztylet, co mnie zdumiało, trafił Caine'a w prawe ramię, ostrzem do przodu. Przebił mięśnie na głębokość może trzech centymetrów. A potem, zanim Caine zdążył się do mnie odwrócić, jego ciało eksplodowało we wszystkich kierunkach, wyemitowało ciąg wirujących lejów, które w mgnieniu oka wysłały wszelkie podobieństwo do człowieka. Orbitowały wokół siebie, wydając piskliwe dźwięki; dwa z nich połączyły się w większą całość, która szybko wchłonęła pozostałe, a brzęczenie cichło po każdej nowej zdobyczy. Wreszcie pozostał tylko jeden wir. Pochylił się w moją stronę, po czym wystrzelił w niebo i rozpadł się. Sztylet wyleciał na zewnątrz i wylądował o krok ode mnie, po prawej stronie. Podniosłem go; był ciepły i dźwięczał cicho przez kilka sekund, nim schowałem go do buta.

— Co się stało? — zapytał Jurt, wracając.

— Najwyraźniej upiory Wzorca gwałtownie reagują na broń z Dworców — odparłem.

— Dobrze, że miałeś ją pod ręką. Ale dlaczego on nagle mnie zaatakował?

— Sądzę, że Wzorzec nakazał mu przeszkodzić ci w uzyskaniu autonomii... albo zniszczyć cię, gdybyś już ją uzyskał. Chyba nie życzy sobie, aby agenci drugiej strony zdobywali tutaj siłę i stabilność.

— Przecież nikomu nie zagrażam. Nie stoję po niczyjej stronie, jedynie po własnej. Chcę tylko wydostać się stąd i zająć swoimi sprawami.

— Może właśnie dlatego stanowisz zagrożenie.

— Jak to? — zdziwił się.

— Kto wie, do czego się nadasz jako niezależny agent, wobec swego niezwyklego pochodzenia... wobec tej gry, jaka się toczy. Możesz zakłócić równowagę sił. Może posiadasz albo masz dostęp do pewnych informacji, a główne potęgi wolą, żeby nie powtarzano ich na ulicach. Jesteś jak te żarłoczne ćmy: nikt nie wie, jaki wpływ będziesz miał na środowisko, jeśli uciekniesz z laboratorium. Może...

— Dość! — Uniósł dłoń, by mnie uciszyć. — Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Jeśli pozwolą mi się stąd wyrwać i potem zostawią w spokoju, nie będę im wchodził w drogę.

— To nie mnie masz przekonać — przypomniałem.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym odwrócił się. Poza zasięgiem światła drogi widziałem tylko ciemność, ale on krzyknął głośno — chyba do każdego, kto chciałby słuchać.

— Słyszycie mnie? Nie chcę się w to mieszać! Chcę tylko się wydostać. Żyć i dać żyć innym. Czy to wam przeszkadza?

Wyciągnąłem rękę, chwyciłem go za ramię i szarpnąłem do siebie. To dlatego, że nad jego głową zauważyłem niewielką, widmową replikę Znaku Logrusu. Zaraz potem opadła, z błyskiem pioruna, z dźwiękiem jak trzask bata. Przeleciała przez miejsce, gdzie stał jeszcze przed chwilą, wyrwała dziurę w drodze i zniknęła.

— Chyba nie tak łatwo się wycofać — uznał. Zerknął w górę. — Może teraz szykują następny atak. Mogą uderzyć w każdej chwili, kiedy najmniej będę się spodziewał. — Jak w życiu — pocieszyłem go. — Uznaj to za strzał ostrzegawczy i przestań się przejmować. Nie tak łatwo im tutaj sięgnąć. Są ważniejsze problemy. Dano mi do zrozumienia, że jest to moja wyprawa. Dlatego chciałbym wiedzieć, czy masz mi pomagać czy raczej przeszkadzać?

— Skoro już o tym mówisz... Przypominam sobie, że nagle znalazłem się tutaj i mogłem się z tobą ścigać. Miałem uczucie, że potem będziemy walczyć albo coś w tym rodzaju.

— A co teraz myślisz o takiej możliwości?

— Szczerze mówiąc, nasze stosunki nigdy nie były najlepsze. Ale też nie podoba mi się, że ktoś mnie w ten sposób wykorzystuje.

— Może przyjmujemy zawieszenie broni do chwili, kiedy zrozumiem, o co chodzi w tej grze i jak mam się stąd wydostać?

— A co ja z tego będę miał? — zainteresował się.

— Znajdę wyjście z tego piekielnego świata, Jurt. Chodź ze mną i pomóż... albo przynajmniej nie stawaj na drodze... a odchodząc zabiorę cię ze sobą.

Roześmiał się.

— Nie jestem pewien, czy jest jakieś wyjście — mruknął. — Chyba że Moce nas uwolnią.

— W takim razie nie masz nic do stracenia — odparłem. — A może nawet zobaczysz, jak ginę próbując.

— Czy naprawdę znasz oba typy magii, Wzorca i Logrusu? — zapytał.

— Tak. Ale z Logrusem jestem lepszy.

— Czy mógłbyś wykorzystać je przeciwko ich źródłom?

— To interesujący problem metafizyczny. Nie znam jego rozwiązania i nie jestem pewien, czy kiedykolwiek je poznam. Niebezpiecznie jest wzywać tu Moce. Dlatego mam do dyspozycji tylko parę zawieszonych wcześniej zaklęć. Nie sądzę, żeby zdołały nas stąd wyprowadzić.

— W takim razie co?

— Nie jestem pewien. Wiem tylko, że pełny obraz ukaze mi się dopiero wtedy, kiedy dotrę na koniec tej drogi.

— Do licha... Sam nie wiem. To nie jest zdrowa okolica. A z drugiej strony, co będzie, jeśli tylko tutaj może istnieć coś takiego jak ja? Jeśli znajdziesz bramę, przestąpię przez nią i rozplnę się?

— Skoro upiory Wzorca mogą manifestować się w Cieniu, to i ty chyba możesz. Zjawy Dworkina i Oberona przybyły do mnie, zanim jeszcze się tutaj znalazłem.

— To pocieszające. Spróbowałbyś na moim miejscu?

— Tu chodzi o twoje życie — przypomniałem.

Parsknął.

— Zrozumiałem. Pójdę z tobą kawałek i zobaczę, co z tego wyniknie. Nie obiecuję pomocy, ale nie będę ci brzdził.

Wyciągnąłem rękę, ale on pokręcił głową.

— Nie przesadzajmy — powiedział. — Jeśli moje słowo bez uścisku ci nie wystarczy, to nie wystarczy też z uściskiem. Prawda?

— Chyba tak.

— A nigdy nie czułem specjalnej chęci, żeby podawać ci rękę.

— Przepraszam, że ci proponowałem. A mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego? Od dawna mnie to zastanawia.

Wzruszył ramionami.

— Czy zawsze musi być jakiś powód?

— Alternatywą jest nieracjonalność — odparłem.

— Albo skrytość — dodał odwracając się.

Odszedłem szlakiem. Po chwili Jurt ruszył za mną. Przez długi czas maszerowaliśmy w milczeniu. Pewnego dnia nauczę się może trzymać język za zębami albo wstawać od stołu, kiedy jeszcze wygrywam. Na jedno wychodzi.

Droga przez jakiś czas biegła prosto, chociaż zdawała się znikać niezbyt daleko w przedzie. Zrozumiałem dlaczego, kiedy zbliżyliśmy się do tego końcowego punktu: skręcała za niewysokim wzniesieniem. Minęliśmy zakręt i wkrótce spotkaliśmy następnego. Po chwili weszliśmy w serię

regularnych zwrotów, szybko pojmując, że schodzimy stromym zboczem. Posuwaliśmy się w dół, aż nagle spostrzegłem zawieszony przed nami jaskrawy zygzak. Jurt wyciągnął rękę.

— Co to...? — zaczął dokładnie w chwili, kiedy stało się jasne, że to prowadzący w górę dalszy ciąg naszego szlaku.

Nastąpiła momentalna zmiana orientacji i zrozumiałem, że schodzimy do czegoś w rodzaju wielkiej niecki. Powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze.

Szliśmy dalej. Po pewnym czasie coś zimnego i mokrego dotknęło grzbietu mojej prawej dłoni. Spojrzałem w dół i zdażyłem jeszcze dostrzec topniejący w szarym mroku płatek śniegu. W chwilę później opadły następne. A jeszcze później zobaczyliśmy w dole coś rozległego i jasnego.

Ja też nie wiem, co to jest, nadała Frakir do mojego umysłu.

Dzięki, pomyślałem w odpowiedzi. Uznałem, że lepiej nie zdradzać Jurtowi jej obecności.

W dół. W dół i zakręt. Tam i z powrotem. Z powrotem i tam. Temperatura ciągle spadała. Migotały płatki śniegu. Nagie skały na stoku zaczęły błyszczeć.

To dziwne, ale nie uświadamiałem sobie, co to jest, dopóki po raz pierwszy się nie pośliznąłem.

— Lód! — oznajmił głośno Jurt.

Przewróciłby się, gdyby nie złapał jakiegoś głązu.

Nadbiegło jakby odległe westchnienie, narastało, nabierało mocy, zbliżało się. Kiedy dotarło z potężnym uderzeniem wichury, poznaliśmy, że to wiatr. W dodatku zimny jak tchnienie epoki lodowcowej. Otuliłem się płaszczem. Wiatr podążał za nami, łagodniejszy, ale nieustępliwy, a my schodziliśmy coraz niżej.

Było potwornie zimno, zanim dotarliśmy do dna, a ścieżkę albo pokrywał szron, albo była wykuta w lodzie. Wiatr zawodził monotonna, żalosa nutą, niosąc obłoki śniegu i lodowych odprysków.

— Fatalny klimat — burknął Jurt, szczękając zębami.

— Nie przypuszczałem, że upiory reagują na tak zwyczajne zjawiska.

— Upiory... akurat. Czuję się tak samo jak zawsze. Moim zdaniem to, co posłało mnie ubranego, żebym stanął przeciwko tobie, mogło przewidzieć taką możliwość. Zresztą... — dodał — to miejsce nie jest takie zwyczajne. Chcą nas gdzieś doprowadzić i właściwie mogliby wskazać jakiś skrót. W tej sytuacji, dotrzemy na miejsce jako przesyłka uszkodzona.

— Szczerze mówiąc, nie wierzę, żeby Worzec albo Logrus dysponował tutaj taką władzą — stwierdziłem. — Wolałbym raczej, żeby wcale nie wchodzili nam w drogę.

Nasz szlak prowadził przez lśniąca płaszczyznę — tak płaską i tak lśniąca, aż poczułem obawę, że to wyłącznie lód. I nie pomyliłem się.

— Będzie ślisko — ocenił Jurt. — Zmienię kształt stóp. Zrobię sobie szersze.

— Zniszczysz buty i nogi ci zmarzną — odparłem. — Lepiej przenieś trochę masy ciała w dół, żeby obniżyć środek ciężkości.

— Na wszystko masz odpowiedź... — zaczął niechętnie. — Ale tym razem słuszną — dokończył.

Zatrzymaliśmy się na kilka minut. Jurt stał się niższy, bardziej krępy.

— Sam nie będziesz się przekształcał? — zapytał.

— Zaryzykuję z obecnym środkiem ciężkości. W ten sposób mogę się szybciej poruszać — wyjaśniłem.

— W ten sposób możesz rozbić sobie tyłek.

— Zobaczymy.

Ruszyliśmy przez lód. Utrzymywaliśmy równowagę. Wiatry były silniejsze tutaj, dalej od zbocza, które zostawiliśmy za sobą. Jednak powierzchnia lodowego szlaku nie była tak śliska, jak wydawało się z daleka. Były na niej niewielkie zmarszczki i nierówności wystarczające, by

zapewnić przyczepność. Powietrze paliło mnie w płucach; płatki śniegu kręciły się w wirach płynących w poprzek ścieżki niby ekscentryczne dziecięce bąki. Ze szlaku emanowała błękitna poświata, zabarwiając śnieg, jeśli znalazł się w jej zasięgu. Pokonaliśmy może z pół kilometra, nim pojawiły się nowe widmowe obrazy. Pierwszy przedstawiał mnie, rozciągniętego na stosie zbroi w kaplicy; następny to Deirdre pod latarnią, patrząca na zegarek.

— Co? — zapytał Jurt, kiedy pojawiły się i zniknęły w mgnieniu oka.

— Nie wiedziałem, kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy. I nadal nie wiem — odpowiedziałem. — Chociaż, kiedy zaczynaliśmy nasz wyścig, myślałem, że jesteś jednym z nich. Pojawiają się i znikają... losowo, jak się wydaje... bez żadnego możliwego do odgadnięcia powodu.

Jako następny pojawił się obraz jadalni, z wazonem kwiatów na stole. Nie zauważyłem ludzi. Była i zniknęła...

Nie. Nie całkiem. Pokój zniknął, ale kwiaty zostały na gładkiej płaszczyźnie lodu. Zatrzymałem się, po czym skręciłem w ich stronę.

Nie wiem, Merlinie, czy możesz schodzić ze ścieżki...

Do diabła z tym, odpowiedziałem. Szedłem do bloku lodu; przypominał mi podobny do Stonehenge krąg menhirów z miejsca, gdzie wkroczyłem do tej krainy. U podstawy widziałem jakieś przypadkowe błyski światła.

Leżało ich kilka — róże w wielu odmianach. Pochyliłem się i wybrałem jedną z nich. Była niemal srebrna...

— A ty co tutaj robisz, drogi chłopcze? — usłyszałem znajomy głos.

Wyprostowałem się natychmiast. Zza lodowego bloku wynurzył się wysoki, smagły mężczyzna. Nie do mnie się zwracał. Z uśmiechem kiwał głową Jurtowi.

— Uczestniczę w jakiejś głupiej wyprawie — wyjaśnił Jurt.

— A to pewnie jest sam głupiec — zauważył przybysz. — Podnosi ten przeklęty kwiat. Srebrna róża Amberu... lorda Corwina, jak sądzę. Witaj, Merlinie. Szukasz ojca?

Wyjąłem jedną z agrafek, jakie nosiłem wpięte pod płaszczem. Z jej pomocą umocowałem różę na lewej piersi. Mówcą był Borel, diuk z królewskiego rodu Swayvill i dawno temu podobno jeden z kochanków matki. Uważano go również za jednego z najgroźniejszych szermierzy w Dworcach. Przez całe lata dręczyła go obsesja, by zabić w walce mojego ojca, Benedykta albo Eryka. Na nieszczęście, spotkał właśnie Corwina, a w owej chwili tacie się spieszyło. W efekcie nie skrzyżowali mieczy. Tato oszukał go i zabił po — formalnie rzecz biorąc — nie całkiem uczciwej walce. I bardzo dobrze. Nigdy specjalnie Borela nie lubiłem.

— Ty nie żyjesz, Borelu. Wiesz o tym? — zapytałem. — Jesteś tylko duchem człowieka, jakim byłeś w chwili przejścia Logrusu. Nie ma już lorda Borela w rzeczywistym świecie. Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo Corwin zabił cię w dniu Wojny Skazy Wzorca.

— Kłamiesz, gówniarzu! — zawołał.

— Ehem... nie — wtrącił Jurt. — Naprawdę jesteś martwy. Przebity mieczem, jak słyszałem. Nie wiedziałem tylko, że Corwin tego dokonał.

— On — potwierdziłem.

Borel odwrócił się. Widziałem tylko, jak mięśnie szczęk napinają się i rozluźniają, napinają i rozluźniają.

— A to miejsce to coś w rodzaju świata zmarłych? — zapytał po chwili, wciąż stojąc do nas plecami.

— Można chyba tak je określić — przyznałem.

— Czy możemy zginąć tu jeszcze raz?

— Chyba tak.

— Co to jest?

Nagle spojrział na lód. Podążyłem za jego wzrokiem. Coś leżało na lodzie, całkiem blisko. Podeszedłem o krok.

— Ręka — oznajmiłem. — Wygląda jak ludzka ręka.

— Co tu robi? — Jurt kopnął znaleźisko.

Ręka poruszyła się w sposób wskazujący, że nie leży tu zwyczajnie, ale wystaje z lodu. Więcej nawet: jeszcze przez kilka sekund po kopnięciu zginała się i zaciskała spazmatycznie. Zauważyłem drugą, kawałek dalej, a obok coś, co wyglądało jak noga. Jeszcze dalej ramię z ręką, dłoń...

— Zamrażarka jakiegoś kanibala — próbowałem zgadywać.

Jurt zachichotał.

— Więc i ty jesteś martwy — stwierdził Borel.

— Nie — wyjaśniłem. — Ja jestem prawdziwy. Przechodziłem tylko w drodze do miejsca o wiele, wiele przyjemniejszego.

— A Jurt?

— Jurt to ciekawy problem, zarówno fizyczny, jak i teologiczny. Doznaje niezwyklego typu bilokacji.

— Nie powiem, żeby mnie to bawiło — wtrącił Jurt. — Ale biorąc pod uwagę możliwe alternatywy, cieszę się, że trafiłem tutaj.

— To rodzaj optymizmu, jaki przez długie lata zdziałał w Dworcach wiele cudów — dodałem.

Jurt znowu parsknął śmiechem.

Usłyszałem metaliczny świst, jaki trudno człowiekowi zapomnieć. Wiedziałem, że jeśli Borel postanowił wbić mi klingę w plecy, nie zdążę dobyć miecza, odwrócić się i odparować. Z drugiej strony, zawsze był dumny z przestrzegania wszelkich zasad dotyczących zabijania ludzi. Grał uczciwie, ponieważ był tak piekielnie sprawny, że nigdy nie przegrywał. Mogę spokojnie stawiać na tę jego reputację. Natychmiast podniosłem ręce. Chciałem go zirytować, zachowując się tak, jakby zamierzał zaatakować od tyłu.

Zostań niewidzialna, Frakir. Kiedy się odwrócę i machnę ręką, leć. Trzymaj się go, kiedy trafisz. Poszukaj drogi do gardła. Wiesz, co robić, kiedy tam dotrzesz.

W porządku, szefie, odpowiedziała.

— Dobądź miecza, Merle, i odwróć się.

— Nie wygląda mi to na sportowe zachowanie, Borelu — rzekłem.

— Śmiesz mnie oskarżać o nieprzestrzeganie reguł?

— Trudno powiedzieć, skoro nie wiem, co planujesz.

— W takim razie dobądź miecza i odwróć się do mnie.

— Odwracam się — zawołałem. — Ale nie dotykam broni.

Obróciłem się szybko i machnąłem ręką. Poczułem, że Frakir odlatuje... a równocześnie wyjechały spode mnie nogi. Za szybko się poruszyłem na bardzo gładkim skrawku lodu. Podniosłem się na łokciach i zauważyłem, że pole widzenia przesłania cień. Spojrzałem w górę; ostrze miecza Borela zawisło jakieś piętnaście centymetrów od mojego prawego oka.

— Wstań powoli — nakazał.

Posłuchałem.

— A teraz sięgnij po broń.

— A gdybym odmówił? — spytałem, próbując zyskać na czasie.

— Udowodnisz, że niegodny jesteś, by uważać cię za dżentelmena. Wtedy podejmę właściwe działania.

— Atakując mnie mimo wszystko? — upewniłem się.

— Zasady na to pozwalają.

— Wypchaj się swoimi zasadami — odparłem. Cofnąłem prawą stopę za lewą i odskoczyłem w tył, równocześnie wyciągając miecz i wysuwając go do pozycji obronnej.

W mgnieniu oka był przy mnie. Cofałem się dalej, mijając wielki blok lodu, zza którego się wynurzył. Nie miałem ochoty stanąć i prowadzić dyskusji na techniki szermiercze, zwłaszcza teraz, kiedy widziałem szybkość jego ataków. Parowanie ich wymagało mniejszego wysiłku, kiedy ustępowałem pola. Miecz sprawiał wrażenie trochę obcego. A kiedy zerknąłem na niego pospiesznie, zrozumiałem, dlaczego. To nie była moja broń.

W odbijanym przez lód migotliwym blasku szlaku dostrzegłem pulsujący na ostrzu wzór. Wiedziałem o istnieniu tylko jednej takiej klingi; w dodatku widziałem ją całkiem niedawno w ręku kogoś, kto mógł być moim ojcem. To Grayswandir błyszczał przede mną. Uśmiechnąłem się ironicznie. Właśnie ta broń zabiła prawdziwego lorda Borela.

— Uśmiechasz się do własnego tchórzostwa? — zapytał. — Stań w miejscu i walcz, ty bękarcie.

Jakby w odpowiedzi na tę sugestię, nagle coś mnie unieruchomiło. Borel nie przebił mnie jednak, kiedy zaryzykowałem szybkie spojrzenie w dół — po minie poznałem, że i jemu zdarzyło się coś podobnego.

Kilka rąk sięgających spod lodu chwyciło nas za kostki i trzymało mocno. Teraz z kolei Borel się uśmiechnął... wprawdzie nie mógł atakować z wypadu, za to ja nie mogłem się dalej cofać. Co oznaczało...

Jego klinga błysnęła, sparowałem kwartą, zaatakowałem sekstą. Odbił i wykonał zwód. Znowu kwarta i następny atak. Riposta. Zasłona sekstą... nie, to finta. Chwycić na kwartę... Zwód. Zwód. Trafienie...

Coś białego i twardego przemknęło nad jego ramieniem i uderzyło mnie w czoło. Odchyliłem się w tył, choć trzymające ręce uchroniły mnie przed upadkiem. I dobrze, że tak się stało, gdyż w przeciwnym razie pchnięcie przebiłoby mi wątrobę. Odruchowo, a może dzięki tkwiącej podobno w Grayswandirze odrobinie magii, wyprostowałem ramię, gdy ugięły się podę mną kolana. Czuję, że ostrze w coś trafia, choć nawet nie patrzyłem w tamtą stronę. Usłyszałem zaskoczone westchnienie Borela i ciche przekleństwo. Prawie równocześnie zaklął Jurt. Znalazł się poza moim polem widzenia.

Nastąpił jaskrawy błysk. Napiąłem mięśnie nóg, powstrzymałem upadek, odbiłem ciecicę w głowę i zacząłem wstawać. Wtedy zobaczyłem, że trafiłem Borela w przedramię i że z rany jak fontanna tryska ogień. Ciało rozjarzyło się, w dolnej części kontury zaczynały się rozmywać.

— Nie dzięki sztuce mnie pokonałeś! — zakrzyknął.

Wzruszyłem ramionami.

— Ale nie jesteśmy na Zimowych Igrzyskach — odparłem.

Zmienił uchwyt, zamachnął się i rzucił we mnie mieczem — o sekundę przed tym, jak rozpadł się w snop iskier, wzleciał i zniknął gdzieś wysoko.

Odbiłem miecz. Przeleciał po lewej stronie, wbił się w lód i stał tam wibrując, jak element skandynawskiej wersji legendy arturiańskiej. Jurt podbiegł, kopniakami odpędził ręce i spojrzał na moje czoło.

Poczułem, że coś na mnie spada.

Przykro mi, szefie. Trafiłam koło kolana. Płonął już, zanim dotarłam do szyi, wyjaśniła Frakir.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, uspokoiłem ją. *Nie przypaliło cię?*

Nawet nie poczułam ciepła.

— Przepraszam, że trafiłem cię tym lodem — powiedział Jurt. — Celowałem w Borela.

Opuściłem równinę rąk i wróciłem na szlak.

— W rezultacie pomogło — mruknąłem.

Nie miałem ochoty mu dziękować. Skąd mogłem wiedzieć, do kogo naprawdę mierzył? Obejrzałem się jeszcze; kilka skopanych przez Jurta dłoni wystawiało ku nam palce.

Dlaczego nosiłem Grayswandira? Czy inna broń potrafiłaby tak skutecznie zranić upiora Logrusu? Czyżby więc to naprawdę ojciec mnie tu przeniósł? I czy uznał, że przyda mi się dodatkowy atut, jakim był jego miecz? Chciałbym w to wierzyć, chciałbym, żeby był kimś więcej niż tylko upiorem Wzorca. A jeśli rzeczywiście, to jaką rolę odgrywa w tej całej sprawie? Co może o tym wszystkim wiedzieć? Po czyjej stoi stronie?

Wiatr ucichł, kiedy szliśmy wzdłuż szlaku. Jedyne ręce, jakie sterczały nad lodem, trzymały pochodnie, rozjaśniające drogę na długim odcinku — właściwie aż do stóp urwiska. Nie zdarzyło się nic niezwykłego, gdy przekraczaliśmy tę zamrożoną równinę.

— Z tego, co mówiłeś i co sam zaobserwowałem — zaczął Jurt — Wzorzec funduje ci tę podróż, a Logrus usiłuje skasować bilet.

W tej właśnie chwili lód pękł w kilku miejscach. Z obu stron ścieżki pomknęły ku nam szczeliny. Zwolniły jednak, zbliżając się; po raz pierwszy zauważyłem, że szlak biegnie powyżej poziomu równiny. Szliśmy teraz po czymś w rodzaju grobli, a lód pękał niegroźnie na obu jej brzegach.

— Na przykład teraz. — Jurt skinął ręką. — Jak w ogóle wplątałeś się w tę historię?

— Wszystko zaczęło się trzydziestego kwietnia... — zacząłem.

ROZDZIAŁ 7

Niektóre z rąk machały nam jak na pożegnanie, kiedy zaczęliśmy wspinać się pod górę. Jurt zagrał im na nosie.

— Czy można się dziwić, że próbuję stąd uciec? — zapytał.

— W najmniejszym stopniu — przyznałem.

— Jeśli transfuzja, jakiej mi udzieliłeś, rzeczywiście uwalnia spod władzy Logrusu, to mógłbym tu żyć przez bardzo długi czas.

— Możliwe.

— Dlatego musisz zrozumieć, że rzuciłem lodem w Borela, nie w ciebie. Przede wszystkim jesteś od niego sprytniejszy i potrafiśz może znaleźć wyjście. Po drugie, on był tworem Logrusu i w razie potrzeby nie miałby w sobie dość ognia.

— To też przyszło mi do głowy — odparłem, zatrzymując dla siebie możliwe rozwiązanie tej kwestii. Woląłem pozostać niezastąpiony. — Ale do czego zmierzasz?

— Próbuję wytłumaczyć, że udzielę ci wszelkiej pomocy, żebyś tylko mnie tutaj nie zostawił. Wiem, że nie układało się między nami najlepiej. Jeśli ty o tym zapomnisz, ja także skłonny jestem nie pamiętać.

— Zawsze tego chciałem. To ty zaczynałeś wszystkie kłótnie i pakowałeś mnie w kłopoty. Uśmiechnął się.

— Wcale nie i więcej nie będę — odparł. — Tak, zgadza się, masz rację. Nie lubiłem cię i może wciąż cię nie lubię. Ale nie będę przeszkadzał, kiedy potrzebujemy siebie nawzajem.

— Moim zdaniem, ty potrzebujesz mnie o wiele bardziej niż ja ciebie.

— Trudno zaprzeczyć. Nie mogę cię zmusić, żebyś mi zaufał. — Westchnął. — Szkoda.

Wspieliśmy się wyżej, nim zaczął mówić dalej. Zdawało mi się, że powietrze jest tu odrobinę cieplejsze.

— Ale spójrz na to z innej strony — podjął wreszcie. — Przypominam twojego brata Jurta i w pewnym zakresie reprezentuję to, czym był kiedyś. W pewnym zakresie, ale nie do końca. Zacząłem różnić się od modelu, który się z tobą ścigał. Tutejsze doświadczenia są tylko moje. Poważnie się nad tym zastanawiałem od chwili, gdy uzyskałem autonomię. Prawdziwy Jurt wie o sprawach, o jakich nie mam pojęcia; dysponuje mocą, której nie posiadam. Ale ja mam jego pamięć do czasu przejścia Logrusu i jestem drugim na świecie autorytetem w kwestii jego sposobu myślenia. A skoro, jak sugerowałeś, jest dla ciebie aż takim zagrożeniem, mogę ci być użyteczny, jeśli spróbujesz go przechytrzyć.

— Coś w tym jest — przyznałem. — Chyba że, naturalnie, wy dwaj spróbujecie działać razem. Pokręcił głową.

— Nie ufałby mi — stwierdził. — I ja bym mu nie ufał. Obaj za dobrze się znamy. To kwestia introspekcji. Rozumiesz, o czym mówię?

— Że żaden z was nie jest godzien zaufania.

Zmarszczył brwi; potem skinął głową.

— Tak, chyba tak — zgodził się.

— W takim razie czemu ja mam ci ufać?

— W tej chwili dlatego, że trzymasz mnie za gardło. A później, bo będę taki diabelnie użyteczny.

Odpowiedziałem po kilku minutach wspinaczki.

— Najbardziej martwi mnie fakt, że Jurt całkiem niedawno pokonał Logrus. Nie jesteś starszą, łagodniejszą wersją najmniej kochanego z moich krewnych. Jesteś całkiem aktualnym modelem. A co do różnic między tobą a oryginałem, nie rozumiem, jak mógł na nie wpłynąć tak krótki okres.

Wzruszył ramionami.

— Co mogę dodać, czego jeszcze nie powiedziałem? — zapytał. — Zawrzyjmy układ z pozycji siły i ochrony własnych interesów.

Uśmiechnąłem się. Obaj wiedzieliśmy, że i tak postąpimy w ten sposób. Ale rozmowa pomagała zabić czas.

Przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Jak myślisz, potrafisz chodzić przez Ciebie? — zapytałem.

— Nie wiem — odpowiedział po chwili. — Przejście Logrusu to ostatnie zdarzenie, jakie zapamiętałem, zanim zjawiłem się tutaj. Przypuszczam, że wtedy dokonał mojego zapisu. Dlatego nie pamiętam, jak Suhuy uczył mnie podróży w cieniach ani jak tego próbowałem. Chyba jednak bym potrafił. Jak myślisz?

Przystanąłem, żeby złapać oddech.

— Sprawa jest tak złożona, że nie śmiałybym wysuwać jakichś teorii. Liczyłem, że na takie pytania masz już gotowe odpowiedzi... rodzaj nadprzyrodzonej świadomości własnych ograniczeń i umiejętności.

— Obawiam się, że nie. Chyba że przecucie nazwiesz nadprzyrodzonym.

— Nazwałbym, jeśli do tej pory dostatecznie często cię nie myliło.

— Cholera. Za mało czasu, żeby to stwierdzić.

— Cholera. Masz rację.

W krótkim czasie wyszliśmy ponad linię mgły, z której zdawały się opadać płatki śniegu. Trochę dalej, i wiatr zelżał do lekkiej bryzy. Jeszcze dalej, a i ona całkiem ucichła. Wtedy widzieliśmy już krawędź, a wkrótce potem do niej dotarliśmy.

Odwrociłem się i spojrzałem w dół. Widziałem tylko słabe błyski wśród mgły. W przeciwnym kierunku nasza ścieżka biegła zygzakami, czasem przypominając ciągi znaków Morse'a — z regularnymi przerwami, być może formacjami skał. Podążyliśmy za nią w prawo aż do zakrętu, potem w lewo.

Zwracałem uwagę na Jurta, czekając, czy nie da znaku, że rozpoznaje okolicę. Rozmowa to tylko słowa, a on był jednak pewną wersją tego Jurta, z którym się wychowałem. I gdybym z jego powodu wpadł w jakąś zasadzkę, zamierzałem wsunąć Grayswandira w jego osobistą przestrzeń, gdy tylko zauważę coś podejrzanego.

Błysk...

Formacja skalna na prawo, rodzaj grotu, jakby dziura w skale była oknem do innej rzeczywistości. Dziwaczny kształtem samochód jadący w górę stromą ulicą...

— Co...? — zaczął Jurt.

— Nadal nie wiem, jakie mają znaczenie. Ale wcześniej napotkałem całą masę takich widoków. Na początku myślałem nawet, że jesteś elementem jednego z nich.

— Wygląda tak realnie, że można by tam wejść.

— Możliwe.

— A może to droga do wyjścia?

— Mam wrażenie, że to byłoby zbyt proste.

— Co nam szkodzi spróbować?

— Ty pierwszy — rzuciłem.

Opuścił szlak, zbliżył się do okna rzeczywistości i szedł dalej. Po chwili stanął na chodniku ulicy, którą przejeżdżał samochód. Obejrzał się i pomachał mi ręką.

Zobaczyłem, że porusza ustami, ale nie dotarł do mnie żaden dźwięk.

Jeśli mogłem zgarnąć śnieg z czerwonego chevroleta, dlaczego nie mogę w pełni wkroczyć do takiej sekwencji? A skoro tak, może stamtąd potrafiłbym pójść przez cienie, znaleźć drogę do jakiegoś przyjemniejszego miejsca i zostawić za sobą ten mroczny świat?

Ruszyłem.

I nagle znalazłem się tam, a ktoś włączył dla mnie dźwięk. Spojrzałem na budynki, na ostro pochyloną ulicę. Słuchałem szumu silników, wdychałem powietrze. To miejsce mogłoby być niemal jednym z cieni San Francisco. Szybko poszedłem za Jurtem, który zbliżał się do rogu ulicy.

Dogoniłem go po chwili. Razem dotarliśmy do rogu. Skręciliśmy. Znieruchomieliśmy.

Nic tam nie było. Staliśmy przed ścianą czerni. Nie, nie zwykłej ciemności, ale absolutnej nicości, przed którą cofnęliśmy się natychmiast.

Powoli wysunąłem rękę. Poczułem mrowienie, gdy zbliżała się do czerni, potem chłód, a po nim strach. Cofnąłem ją. Jurt spróbował, z podobnym rezultatem. Nagle pochylił się, podniósł z rynsztoka dno rozbitej butelki i cisnął w pobliskie okno. I natychmiast pobiegł w tamtą stronę.

Ja również. Dogoniłem go przed wybitą szybą i zajrzałem do wnętrza.

Znowu czerni. Po drugiej stronie okna nie było zupełnie nic.

— Trochę niesamowite — zauważyłem.

— Uhm — potwierdził Jurt. — To tak, jakbyśmy uzyskali maksymalnie ograniczony dostęp do innego cienia. Co o tym myślisz?

— Zastanawiam się, czy nie powinniśmy w takich miejscach czegoś szukać — mruknąłem.

Nagle ciemność rozviała się, a za oknem na małym stoliku zapłonęła świeca. Sięgnąłem ku niej przez pęknięte szkło, ale zniknęła natychmiast. Znowu widziałem tylko czerni.

— Uznaję to za twierdzącą odpowiedź na twoje pytanie — stwierdził Jurt.

— Chyba masz słuszość. Ale nie możemy przecież szukać w każdej z mijanych scenek.

— Sądzę, że coś próbuje zwrócić twoją uwagę. Żebyś zrozumiał, że powinieneś obserwować, co się pojawia. A kiedy zaczniesz to dostrzegać, coś zostanie ci pokazane.

Jasność. Teraz za oknem świece zastawiały cały blat stołu.

— Dobra! — wrzasnąłem. — Zrobię to, jeśli tak ci zależy. Czy jeszcze czegoś powinienem tutaj poszukać?

Wróciła ciemność. Wysunęła się zza rogu i popłynęła w naszą stronę. Świece zniknęły, a ciemność wypłynęła z okna. Budynki po drugiej stronie ulicy zakryła ściana czerni.

— Rozumiem, że odpowiedź brzmi: nie! — zawołałem.

Odwróciłem się i coraz węższym czarnym tunelem pobiegłem z powrotem do szlaku. Jurt pędził tuż za mną.

— Dobrze to wymyśliłeś — pochwaliłem go, kiedy znowu staliśmy na lśniącej ścieżce i patrzyliśmy, jak na naszych oczach coś wypycha z egzystencji stromą ulicę. — Sądzisz, że to coś wyświetlało scenki losowo, dopóki do jednej z nich nie wszedłem?

— Tak.

— Po co?

— Myślę, że w takich miejscach ma więcej mocy i może bezpośrednio odpowiadać na twoje pytania.

— Coś, czyli Wzorzec?

— Prawdopodobnie.

— No dobrze. Kiedy tylko pojawi się następna, wchodzę. Zrobię tam, co tylko będą chcieli, jeśli dzięki temu szybciej się stąd wyrwę.

— My, bracie. My.

— Naturalnie.

Znów podjęliśmy marsz. Nie pojawiło się nic nowego ani ciekawego. Droga skręcała w prawo i w lewo, i zacząłem się zastanawiać, kogo teraz spotkamy. Jeśli rzeczywiście byłem na terenie Wzorca i miałem wykonać jakieś jego zlecenie, Logrus może wysłać kogoś znajomego, by mi przeszkodził. Nikt jednak nie przybywał i wreszcie minęliśmy ostatni zakręt. Szlak biegł prosto przez dłuższy czas i zniknął w ciemnej masie daleko z przodu.

Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że ginie pod wielką, czarną górą. Poczułem lekki atak klaustrofobii na samą myśl o implikacjach tego faktu; usłyszałem, że Jurt mruczy pod nosem jakieś przekleństwa. Zanim jednak dotarliśmy do końca, coś zamigotało po prawej stronie. Obejrzałem się i zobaczyłem sypialnię Randoma i Vialle, z pałacu w Amberze. Patrzyłem od strony południowej, pomiędzy sofą a szafką nocną, obok fotela, ponad dywanem i pufami, na kominek i boczne okna, przez które wpadało światło dnia. Nikogo nie było w łóżku, nikt nie zajmował innych elementów umeblowania, a drwa w palenisku wypaliły się w czerwone główne i dymiły nierówno.

— Co teraz? — zapytał Jurt.

— Właśnie to — wyjaśniłem. — To oczywiste. Nie rozumiesz? Kiedy tylko otrzymałem wiadomość, o co tu chodzi, Wzorec od razu pokazał mi właściwy obiekt. I domyślałem się, że muszę działać szybko... jak tylko zgadnę, co...

Jeden z kamieni przy kominku rozjarzył się czerwienią. Płonął coraz jaśniej. Główne w żaden sposób nie mogły być tego przyczyną. Zatem...

Popędziłem przed siebie, pchany potężnym nakazem. Usłyszałem, że Jurt krzyczy coś, ale jego głos ucichł, kiedy znalazłem się w komnacie. Mijając łóżko, wyczułem aromat ulubionych perfum Vialle. To prawdziwy Amber, byłem tego pewien, nie jakiś jego odpowiednik w Cieniu. Szybko podbiegłem do kominka.

Jurt wpadł za mną do komnaty.

— Szykuj się do walki! — zawołał.

Odwrociłem się błyskawicznie.

— Zamknij się! — rzuciłem i uniosłem palec do ust. Podeszedł do mnie, chwycił za ramię i wyszeptał chrapliwie:

— Borel znów próbuje się zmaterializować. Kiedy stąd wyjdiesz, może na ciebie czekać.

Z salonu usłyszałem Vialle.

— Kto tam jest?! — zawołała.

Wyrwałem Jurtowi rękę, przyklęknałem i chwyciłem jaśniejący kamień. Wyglądał jak spojony zaprawą z pozostałymi, ale kiedy szarpnąłem, wypadł bez oporu.

— Skąd wiedziałeś, że ten się wyjmuje? — szepnął Jurt.

— To lśnienie — odparłem.

— Jakie lśnienie? — zdziwił się.

Nie odpowiadając wsunąłem rękę w otwór. Miałem nadzieję, że nie ma tam żadnych pułapek. Skrytka sięgała o wiele głębiej niż na grubość kamienia, ale wreszcie znalazłem coś, zawieszona na haku czy kołku: kawałek łańcucha. Złapałem i pociągnąłem.

Jurt westchnął głośno.

Ostatni raz widziałem go na szyi Randoma w czasie pogrzebu Caine'a — Klejnot Wszechmocy. Szybko wsunąłem łańcuch przez głowę, a kamień opadł mi na pierś. Drzwi do salonu zaczęły się otwierać.

Położyłem palec na wargach, chwyciłem Jurt za ramiona i odwróciłem w stronę otwartej ściany, prowadzącej z powrotem na szlak. Chciał protestować, ale pchnąłem go mocno i ruszył we wskazanym kierunku.

— Kto tu jest? — usłyszałem głos Vialle. Jurt obejrzał się na mnie zdziwiony.

Miałem uczucie, że nie mogę poświęcić ani chwili, żeby wyjaśnić mu językiem znaków albo szepnąć, że jest niewidoma. Dlatego pchnąłem go znowu. Jednak tym razem odstąpił na bok, wystawił nogę, wsunął mi rękę za plecy i szarpnął do przodu. Wyrwało mi się krótkie przekleństwo, a potem już padałem.

— Kto... — usłyszałem jeszcze Vialle, zanim umilkła.

Potoczyłem się na ścieżkę. Z prawego buta udało mi się wydostać sztylet. Przekoziółkowałem i wstałem, wysuwając go w stronę Borela, który wyraźnie znowu zaistniał fizycznie.

Uśmiechał się. Nie sięgał jeszcze po broń. Obserwował mnie.

— Nie ma tu pola rąk — zauważył. — To wyklucza taki szczęśliwy przypadek, jaki ci pomógł podczas naszego ostatniego spotkania.

— Szkoda — mruknąłem.

— Muszę tylko zdobyć ten drobiazg, który masz na szyi, i dostarczyć go Logrusowi. W nagrodę otrzymam życie i zastąpię mojego poprzednika... zdradziecko zamordowanego przez twojego ojca, jak sam mnie poinformowałeś.

Rozwiała się wizja królewskich apartamentów w Amberze. Jurt stał tuż obok ścieżki, w pobliżu złącza komnaty z tą przedziwną krainą.

— Wiedziałem, że nie zdołałem go pokonać — stwierdził. — Ale tobie już raz się udało.

Wzruszyłem ramionami.

Słyszając to, Borel obejrzał się na Jurtę.

— Zdradziłbyś Dworce i Logrus? — zapytał.

— Wręcz przeciwnie — odparł Jurt. — Może ratuję je przed poważnym błędem.

— Cóż to za błąd?

— Wy tłumacz mu, Merlinie. Powiedz to, co mnie mówiłeś, kiedy wychodziliśmy z tej lodówki.

Borel spojrział na mnie.

— W całym tutejszym systemie jest coś dziwnego — wyjaśniłem. — Mam przeczucie, że to pojedynek między Mocami, Logrusem i Wzorcem. Amber i Dworce mogą być wtórne wobec tego konfliktu. Widzisz...

— To śmieszne! — przerwał mi i dobył miecza. — To bajka wymyślona naprędce, aby uniknąć naszego pojedynku.

Przerzuciłem sztylet do lewej ręki i prawą wyjąłem Grayswandira.

— Do diabła z tobą! — zawołałem. — Chodź i sam weź to, o co prosisz!

Czyjaś dłoń opadła mi na ramię. I opadała dalej, skręcając lekko. W efekcie pchnęła mnie spiralą w dół i odrzuciła na lewą stronę szlaku. Kątem oka dostrzegłem, że Borel cofnął się o krok.

— Podobny jesteś do Eryka lub Corwina — rozległ się spokojny, znajomy głos. — Nie znam cię jednak. Ale nosisz Klejnot, co czyni cię osobą zbyt ważną, byś się narażał w przypadkowej bójce.

Odwróciłem głowę. I zobaczyłem Benedykta... Benedykta z dwoma normalnymi dłońmi.

— Mam na imię Merlin i jestem synem Corwina — wyjaśniłem. — A to mistrz pojedynków z Dworców Chaosu.

— Odnoszę wrażenie, że wypełniasz jakąś misję, Merlinie — zauważył Benedykt. — Ruszaj zatem.

Ostrze Borela błysnęło i zatrzymało się o jakieś dwadzieścia centymetrów od mojego gardła.

— Nigdzie nie pójdziesz — oznajmił. — Nie z tym kamieniem.

Nie słyszałem żadnego dźwięku, gdy klinga Benedykta wyskoczyła z pochwy i odbiła na bok miecz Borela.

— Jak już mówiłem, Merlinie, ruszaj — powtórzył Benedykt.

Wstałem, szybko usunąłem się poza zasięg ich broni i wyminąłem obu szerokim łukiem.

— Jeśli go zabijesz — uprzedził Jurt — po jakimś czasie zmaterializuje się ponownie.

— To ciekawe — przyznał Benedykt. Błysnął mieczem w natarciu i natychmiast cofnął się lekko. — Jaki to czas?

— Kilka godzin.

— A ile czasu trzeba, byście dokończyli tego, co zamierzacie?

Jurt spojrział na mnie.

— Nie jestem pewien — odpowiedziałem. Benedykt wykonał niezwykłą, szybką zasłonę, przesunął stopę i ciał błyskawicznie. Od koszuli Borela odpadł guzik.

— W takim razie pobawimy się przez chwilę — obiecał Benedykt. — Powodzenia, chłopcze.

Zasalutował mieczem na pożegnanie. W tym momencie Borel zaatakował. Benedykt zasłonił się włoską sekstą, odsuwając obie klingi z linii. Postąpił naprzód, szybko wyciągnął rękę i złapał Borela za nos. Potem odepchnął go i z uśmiechem cofnął się o krok.

— Ile zwykle bierzesz za lekcje? — usłyszałem jego pytanie. Wraz z Jurtem odbiegaliśmy już ścieżką.

— Ciekawe, ile czasu trzeba obu Mocom na materializację upiora — zastanowił się Jurt, kiedy biegliśmy w stronę góry, pod którą kończył się szlak.

— Parę godzin na samego Borela. A jeśli Logrus tak bardzo chce zdobyć Klejnot, to gdyby potrafił, przywołałby całą armię upiorów. Jestem przekonany, że bardzo trudno im tutaj sięgnąć. Mam wrażenie, że manifestują się jedynie dzięki minimalnym strumykom energii. Gdyby nie to, nigdy nie dotarłbym tak daleko.

Jurt wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć Klejnotu, ale wyraźnie pomyślał rozsądnie i zrezygnował.

— Wydaje się, że definitywnie stanąłeś po stronie Wzorca — zauważył.

— Mam wrażenie, że ty również. Chyba że chcesz w ostatniej chwili pchnąć mnie nożem w plecy.

Parsknął śmiechem i zaraz spoważniał.

— To nie jest zabawne — stwierdził. — Muszę być po twojej stronie. Widzę przecież, że Logrus stworzył mnie jako narzędzie jednorazowego użytku. Po wykonaniu zadania skończyłbym na wysypisku śmieci. Gdyby nie transfuzja, już bym się pewnie rozpląnął. Dlatego jestem z tobą, podoba ci się to czy nie, i twoim plecocom nic nie grozi.

Biegliśmy prostą drogą, której koniec wreszcie stał się bliski.

— Jakie znaczenie ma ten wisior? — zapytał po chwili Jurt. — Logrusowi bardzo na nim zależy.

— Nazywają go Klejnotem Wszechmocy — wyjaśniłem. — Podobno jest starszy niż sam Wzorzec i był instrumentem jego kreacji.

— Jak myślisz, dlaczego do niego trafiłeś i zdobyłeś bez wysiłku?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Jeśli przyjdzie ci do głowy jakieś wytłumaczenie, chętnie go wysłucham.

Wkrótce dotarliśmy do punktu, gdzie szlak zanurzał się w głębszą ciemność. Stanęliśmy, żeby się przyjrzeć.

— Żadnych znaków — stwierdziłem, sprawdzając u góry i po obu stronach otworu. Jurt spojrział na mnie podejrzliwie.

— Zawsze miałeś dość dziwaczne poczucie humoru, Merlinie — zauważył. — Kto zostawiałby znaki w takim miejscu?

— Ktoś inny z dziwnym poczuciem humoru — odparłem.

— Możemy chyba iść dalej — mruknął, kierując się do tunelu.

Nad otworem pojawił się jaskrawoczerwony napis WYJŚCIE. Jurt przyglądał mu się przez chwilę, wreszcie wolno pokręcił głową. Weszliśmy.

Ruszyliśmy krętym tunelem — co trochę mnie zaskoczyło. Prawie cała ta kraina sprawiała wrażenie sztucznego tworu. Oczekiwałem więc prostej jak strzełił drogi korytarzem o gładkich ścianach, geometrycznie precyzyjnego we wszystkich aspektach. Tymczasem zdawało się, że podążamy ciągiem naturalnych jaskiń; po obu stronach widziałem stalaktyty, stalagmity, filary i małe jeziorka.

Klejnot rzucał złowrogi blask na każdy obiekt, któremu się przyglądałem.

— Czy wiesz, jak używać tego kamienia? — spytał Jurt.

Przypomniałem sobie opowieść ojca.

— Kiedy nadejdzie czas, będę wiedział — stwierdziłem. Podniosłem Klejnot i studiowałem go przez chwilę, potem opuściłem na pierś. Bardziej od niego interesował mnie szlak, jakim podążaliśmy.

Rozglądałem się ciągle, gdy przechodziliśmy z wilgotnych grot do komór wysokich jak katedry... wąskimi korytarzami... wzdłuż kamiennych wodospadów... Było w tym wszystkim coś znajomego, czego nie potrafiłem dokładnie określić.

— Czy to ci niczego nie przypomina? — zapytałem Jurta.

— Nie.

Szliśmy dalej. W pewnym miejscu minęliśmy boczną grocie, w której leżały trzy ludzkie szkielety. Były, w pewnym sensie, pierwszą prawdziwą oznaką życia, jaką spotkałem od początku podróży. Zwróciłem na to uwagę Jurta.

Pokiwał głową.

— Zastanawiam się, czy nadal wędrujemy między cieniami — powiedział. — Czy może opuściliśmy już tamto miejsce i wróciliśmy do Cienia... może kiedy weszliśmy do tych jaskiń.

— Mógłbym to sprawdzić, wzywając Logrus — zaproponowałem, wywołując gwałtowne pulsowanie Frakir na przegubie. — Biorąc jednak pod uwagę metafizyczną politykę, w obecnej sytuacji wolałbym raczej tego nie próbować.

— Wywnioskowałem to z kolorów tych wszystkich minerałów w skałach — wyjaśnił. — To, co zostawiliśmy za sobą, było raczej monochromatyczne. Oczywiście, sceneria guzik mnie obchodzi. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli to prawda, odnieśliśmy coś w rodzaju zwycięstwa.

Wskazałem ziemię.

— Nie wyrwaliśmy się z sieci, dopóki mamy pod nogami świecąca ścieżkę.

— A gdybyśmy zwyczajnie z niej teraz zesli? — zaproponował, skręcił w prawo i zrobił krok. Stalaktyt zadygotał i runął na ziemię tuż przed nim. Minał go o jakieś trzydzieści centymetrów. Jurt w mgnieniu oka znalazł się przy mnie.

— Naturalnie, szkoda by było nie sprawdzić, dokąd właściwie zmierzamy — stwierdził.

— Tak to już jest z misjami. Nie wypada rezygnować.

Maszerowaliśmy. Wokół nas nie działało się nic alegorycznego. Słowa i kroki odbijały się echem. W co wilgotniejszych grotach kapiała woda. Lśniły minerały. Droga zdawała się lekko opadać.

Nie wiem, jak długo szliśmy. Po pewnym czasie skalne komnaty nabrały cech geometrycznych — jakbyśmy regularnie przechodzili przez urządzenie do teleportacji, które przerzucało nas ciągle w te same jaskinie i korytarze. To zakłócało poczucie czasu. Taki efekt wywierają powtarzane wielokrotnie akcje.

Nagle szlak poszerzył się i skręcił w lewo. Nareszcie jakaś odmiana. Jednak ta droga również wydawała się znajoma. Podążaliśmy za naszą linią światła przez mrok. Po chwili minęliśmy boczny tunel, na lewo. Jurt zajrzał tam i przyspieszył kroku.

— Nie wiadomo, jaki potwór może się czaić w tych ciemnościach — stwierdził.

— To prawda — przyznałem. — Ale nie martwiłbym się o to.

— Dlaczego nie?

— Chyba zaczynam rozumieć.

— To może mi wytłumaczysz, o co chodzi?

— Za długo by to trwało. Poczekaj. Niedługo się przekonamy.

Minęliśmy następny boczny korytarz. Podobny, a jednak inny. Oczywiście... Przyspieszyłem, chcąc jak najprędzej poznać prawdę. Jeszcze jeden tunel. Ruszyłem biegiem...

Następny...

Jurt biegł obok mnie, a wokół rozbrzmiewały echa. Przed nami. Już wkrótce.

Kolejny zakręt.

Wtedy zwolniłem, ponieważ korytarz prowadził dalej, ale nasz szlak już nie. Skręcał w lewo i znikał pod ciężkimi, okutymi drzwiami. Sięgnąłem w prawo, gdzie w ścianie powinien tkwić hak. Znalazłem go, zdjąłem zawieszony tam klucz. Wsunąłem do zamka, przekręciłem, wyjąłem i odwiesiłem na miejsce.

Nie podoba mi się tutaj, szefie, poinformowała Frakir.

Wiem.

— Wygląda na to, że wiesz, co robisz — zauważył Jurt.

— Owszem — przyznałem. — W pewnych granicach — dodałem widząc, że drzwi otwierają się na zewnątrz zamiast do środka.

Chwyciłem wielką klamkę po lewej stronie i pociągnąłem.

— Możesz mi powiedzieć, gdzie trafimy? — zapytał.

Wielkie drzwi zgrzytnęły i poruszyły się wolno. Cofnąłem się.

— To wszystko jest zadziwiająco podobne do jaskiń Kolviru pod Zamkiem Amber — wyjaśniłem.

— Świetnie — burknął. — A co znajdziemy za drzwiami?

— Przypomina to wejście do komory, gdzie mieści się Wzorzec Amberu.

— Cudownie. Pewno zmienię się w kłęb dymu, jak tylko przekroczę próg.

— Ale nie jest identyczne — mówiłem dalej. — Suhuy oglądał Wzorzec, zanim spróbowałem przejścia. Nie zaszkodziło mu to.

— Nasza matka przeszła Wzorzec.

— Tak, to prawda. Moim zdaniem Wzorzec przejść może każdy w Dworcach, kto ma odpowiednie pochodzenie. I na odwrót, w przypadku Logrusu i moich krewnych z Amberu. Legenda głosi, że w dalekiej i mglistej przeszłości wszyscy byliśmy spokrewnieni.

— Dobra. Wejść z tobą. Jest tam dość miejsca, żeby się poruszać, nie dotykając go?

— Tak.

Odciągnąłem drzwi do końca, oparłem się o nie i spojrzałem. To było to: nasz lśniący szlak urywał się kilka centymetrów za progiem.

Nabrałem tchu, a wypuszczając go mruknąłem pod nosem krótkie przekleństwo.

— Co jest? — Jurt spróbował zajrzeć obok mnie.

— Nie to, czego się spodziewałem.

Odsunąłem się i odsłoniłem mu widok. Przyglądał się przez kilka sekund.

— Nie rozumiem — wyznał.

— Ja chyba też nie za bardzo — odparłem. — Ale zamierzam się przekonać.

Wkroczyłem do komory, a tuż za mną Jurt. To nie był znany mi Wzorzec. A raczej był i nie był równocześnie. Przebiegał według ogólnego układu Wzorca Amberu, ale był pęknięty. W kilku miejscach linie zostały wymazane, zniszczone, czy w jakiś sposób usunięte... a może nigdy nie wykreślone jak należy. Ciemne zwykle pola między liniami tu były jasne, błękitnobiałe, same linie

zaś czarne. Wyglądało to, jakby coś wysało esencję z diagramu i nasyciło nią całe pole. Po jasnych obszarach przebiegały wolno fale blasku.

A poza tym wszystkim była jeszcze jedna zasadnicza różnica: Wzorzec w Amberze nie miał pośrodku kręgu płomieni, a w nim kobiety — martwej, nieprzytomnej albo zaczarowanej.

Tą kobietą, naturalnie, musiała być Coral. Zrozumiałem to natychmiast, choć prawie minutę musiałem czekać, nim zobaczyłem wśród płomieni jej twarz.

Patrzyłem w skupieniu, a wielkie drzwi zamknęły się za nami. Jurt stał nieruchomo.

— Klejnot wyraźnie nad czymś pracuje — odezwał się po długiej chwili. — Powinieneś zobaczyć swoją twarz w jego świetle.

Zerknąłem w dół; Klejnot pulsował krwawo. Nie zauważyłem jego nagłej aktywności pomiędzy blaskiem ognistego kręgu a niebieskobiałym migotaniem, na którym wykreślony był Wzorzec.

Podszedłem o krok bliżej, czując falę chłodu, podobną do wysyłanej przez czynny Atut. Z pewnością miałem przed sobą jeden z Pękniętych Wzorców, o jakich wspominała Jasra... przedstawiający którąś z dróg inicjacji jej i Julii. Dotarłem zatem do jakiegoś wczesnego cienia, w pobliżu samego Amberu. Myśli pędziły mi przez głowę w szaleńczym tempie.

Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że Wzorzec może mieć świadomość. Wniosek, że także Logrus jest świadomy, wydawał się całkiem logiczny. Sam pomysł zrodził się w chwili, gdy Coral pokonała Wzorzec i poprosiła, by wysłał ją tam, gdzie powinna się znaleźć. Uczynił to i przeniósł ją właśnie tutaj, a jej stan tłumaczył, czemu nie mogłem jej dosięgnąć przez Atut. Kiedy po jej zniknięciu zwróciłem się do Wzorca, on — jakby dla zabawy, uznałem wtedy — przerzucił mnie z jednego końca sali na drugi, najwyraźniej aby przekonać o własnej świadomości.

I nie był zwyczajnie świadomy, uznałem, podnosząc Klejnot i spoglądając w jego głębie. Był też sprytny. Ponieważ obrazy w kamieniu pokazywały mi, co powinienem zrobić. Było to coś, na co w innych okolicznościach bym się nie zgodził. Skoro opuściłem już tę dziwną krainę, przez którą prowadziła mnie ścieżka, wyjąłbym teraz Atut i ktoś zabrałby mnie stąd jak najszybciej. Albo nawet przywołałbym obraz Logrusu, żeby rozstrzygnęli to między sobą, gdy ja wymknąłbym się przez Cień. Ale Coral spała w kręgu ognia pośrodku Pękniętego Wzorca... Była jego zakładniczką. Musiał coś odkryć, kiedy go przechodziła, ułożył plan i sprowokował mnie.

Chciał, żebym naprawił to konkretne jego odbicie, uzupełnił Pęknięty Wzorzec, przechodząc go z Klejnotem Wszchemocy. W ten sposób Oberon usunął skazę oryginału. Oczywiście, wywołało to wstrząs tak silny, że zginął podczas próby...

Z drugiej strony, król naprawiał prawdziwy Wzorzec, podczas gdy ja miałem do czynienia tylko z odbiciem. Mój ojciec też przeżył kreację zastępczego Wzorca.

Dlaczego ja?, zastanowiłem się. Czy dlatego, że byłem synem człowieka, który potrafił stworzyć nowy Wzorzec? Czy też miało to związek z faktem, że nosiłem w sobie obraz nie tylko Wzorca, ale i Logrusu? Czy po prostu byłem pod ręką i można mnie było zmusić? Wszystko naraz? Czy żadne z powyższych?

— Co ty na to?! — zawołałem. — Odpowiedz mi?

Poczułem ukłucie w brzuchu, zawrót głowy, komora zawirowała, zamglila się, uspokoiła, a ja ponad rysunkiem Wzorca spojrzałem na Jurta i wielkie drzwi za jego plecami.

— Jak to zrobisz?! — krzyknął.

— To nie ja — odpowiedziałem.

— Aha.

Przesuwał się w prawo, aż dotarł do ściany. Nie oddalając się od niej, ruszył wzdłuż obwodu Wzorca, jakby bał się do niego zbliżyć i bał się oderwać od niego wzrok.

Z tej strony lepiej widziałem Coral za płomiennym żywopłotem. Zabawne. Nie łączyły nas żadne uczucia. Nie byliśmy kochankami ani nawet szczególnie bliskimi przyjaciółmi. Poznaliśmy

się całkiem niedawno, byliśmy razem na długim spacerze wokół, po i pod miastem i pałacem; zjedliśmy razem obiad, wypiliśmy parę drinków, pożartowaliśmy. Gdybyśmy znali się lepiej, odkrylibyśmy może, że się nie znosimy. Ale odpowiadało mi jej towarzystwo i uznałem, że chętnie poznam ją bliżej. Czułem się też w pewien sposób odpowiedzialny za jej obecne położenie, do którego doprowadziła moja lekkomyślność. Innymi słowy, Wzorzec trzymał mnie w garści. Musiałem go naprawić, jeśli chciałem uwolnić Coral.

Płomienie skinęły w moją stronę.

— Paskudny numer — powiedziałem głośno.

Płomienie skinęły znowu.

Badałem Pęknięty Wzorzec. Prawie cała moja wiedza o tym zjawisku pochodziła z rozmowy z Jasną. Pamiętałem, że podczas inicjacji uczniowie przechodzą przez obszary pomiędzy liniami. Tymczasem Klejnot nakazywał mi iść po liniach, jak na prawdziwym Wzorcu. To rozsądne, biorąc pod uwagę opowieść mojego ojca. Powinno to doprowadzić do wytyczenia właściwych ścieżek przez szczeliny. Nie zależało mi przecież na byle jakiej, międzyliniowej inicjacji.

Jurt obszedł tamten koniec Wzorca, skręcił i ruszył w moją stronę. Kiedy dotarł do przerwy w zewnętrznej linii, światło popłynęło ze szczeliny wprost ku niemu. Wyglądał przerażająco, kiedy dotknęło jego stopy. Wrzasnął i zaczął się rozpywać.

— Stój! — krzyknąłem. — Albo możesz sobie szukać innego specja od naprawy Wzorców! Odtwórz go i daj mu spokój, bo tego nie zrobię! Nie żartuję.

Niknąca noga Jurta wydłużyła się na powrót. Zalewająca jego ciało fala niebieskobiałego światła cofnęła się i blask przygasł. Z twarzy mojego brata zniknął wyraz bólu.

— Wiem, że jest upiorem Logrusu — powiedziałem. — I został ukształtowany na podobieństwo najmniej lubianego z moich krewnych. Ale zostaw go w spokoju, ty sukinsynu, bo cię nie przejdę! Zostaniesz z Coral i zostaniesz pęknięty!

Światło popłynęło przez skazę z powrotem i wszystko wyglądało tak jak przed chwilą.

— Żądam obietnicy — oznajmiłem. Gigantyczny słup ognia wystrzelił z Pękniętego Wzorca aż do sklepienia komory i opadł.

— Uznaję to za zgodę.

Płomienie skinęły.

— Dzięki — usłyszałem szept Jurta.

ROZDZIAŁ 8

I tak rozpocząłem przejście. Czarna linia nie reagowała tak samo jak płomień pod Amberem. Moje stopy opadały jakby na martwy grunt, chociaż czułem szarpnięcia i opór, kiedy je podnosiłem.

— Merlinie! — zawołał Jurt. — Co mam robić?

— O co ci chodzi?! — odkrzyknąłem.

— Jak się stąd wydostać?

— Wyjdź przez drzwi i zacznij zmieniać cienie. Albo idź za mną przez ten Wzorzec i każ się odesłać, gdzie tylko zechcesz.

— Słyszałem, że tak blisko Amberu nie jest możliwa przemiana cieni.

— Może naprawdę jesteśmy za blisko. W takim razie, zanim spróbujesz, oddal się fizycznie.

Nie przystawałem. Za każdym podniesieniem stopy słyszałem teraz ciche trzaski.

— Zgubię się w tych jaskiniach.

— To chodź za mną.

— Wzorzec mnie zniszczy.

— Obiecał, że nie.

Zaśmiał się chrapliwie.

— I ty mu wierzysz?

— Nie ma wyboru, jeśli chce, żebym dla niego pracował.

Dotarłem do pierwszej szczeliny. Szybka konsultacja z Klejnotem pokazała mi, którą powinna przebiegać linia. Trochę zaleźniony zrobiłem pierwszy krok poza widocznym szlakiem. Potem następny. I jeszcze jeden. Chciałem się obejrzeć, gdy w końcu pokonałem przerwę, ale zaczekałem, aż naturalny zakręt trasy odsłoni widok. Zobaczyłem, że ścieżka, po której szedłem, zaczyna lśnić jak na oryginale. Zdawała się absorbować rozproszony blask i zaciemniać sąsiadujący obszar. Jurt stanął w punkcie początkowym.

Pochwycił mój wzrok.

— Sam nie wiem, Merlinie — powiedział. — Po prostu nie wiem.

— Jurt, którego znałem, nie miałby dość odwagi, żeby spróbować — oświadczyłem.

— Ja też nie mam.

— Sam wspomniałeś, że nasza matka tego dokonała. Jest szansa, że odziedzyczyłaś jej geny. Do diabła, jeśli nie mam racji, wszystko się skończy, zanim cokolwiek zauważysz.

Zrobiłem kolejny krok. Jurt zaśmiał się ponuro.

Wreszcie...

— Niech to diabli — mruknął i postawił stopę na Wzorcu.

— Hej! Jeszcze żyję! — krzyknął. — Co teraz?

— Idź — powiedziałem. — Moim śladem. Nie zatrzymuj się. I nie schodź z linii, bo wszelkie ustalenia stracą ważność.

Minąłem zakręt i straciłem go z oczu. Szedłem dalej. Poczulem ból w prawej kostce — zapewne wynik dzisiejszej wędrówki i wspinaczki. Narastał z każdym krokiem. Jakby coś mnie parzyło... Po chwili nie mogłem już wytrzymać. Czyżbym naderwał ścięgno? Albo...

Oczywiście. Teraz poczułem smród palonej skóry.

Sięgnąłem ręką do pochwy w bucie i wyjąłem sztylet z Chaosu. Promieniował żarem. Reagował na bliskość Wzorca. Nie mogłem zatrzymać go przy sobie.

Zamachnąłem się i rzuciłem sztylet nad Wzorcem w kierunku, w którym patrzyłem, pod ścianę, gdzie tkwiły drzwi. Odruchowo podążyłem za nim wzrokiem i dostrzegłem poruszenie wśród cieni — stał tam jakiś człowiek i przyglądał mi się. Sztylet uderzył o ścianę i upadł na podłogę. Przybysz pochylił się. Podniósł go. Usłyszałem chichot. Wykonał szybki ruch i sztylet poleciał z powrotem w moją stronę.

Wylądował z przodu, trochę na prawo. Kiedy tylko dotknął Wzorca, pochłonęła go fontanna błękitnego ognia. Trysnęła powyżej mojej głowy i rozlała się z trzaskiem iskier. Drgnąłem i zwolniłem, choć wiedziałem, że nie wyrządzi mi poważniejszej szkody. Nie zatrzymywałem się jednak. Dotarłem do długiego łuku w przedniej części rysunku. Marsz był tu powolny.

— Trzymaj się linii! — wrzasnąłem do Jurta. — Nie zwracaj uwagi na takie rzeczy.

— Rozumiem — odparł. — Co to za facet?

— Nie mam pojęcia.

Parłem przed siebie. Zbliżyłem się do kręgu płomieni i myślałem, co by powiedziała *ty'iga*, widząc mnie teraz. Pokonałem kolejny łuk i widziałem teraz sporą część swojej trasy. Błyszczała równomiernie, a Jurt szedł pewnie za mną. Płomienie sięgały mu do kostek. Mnie prawie do kolan. Kątem oka zauważyłem ruch w okolicy, gdzie stał obcy.

Mężczyzna wysunął się z mrocznej wnęki: powoli, ostrożnie, sunąc wzdłuż ściany. Przynajmniej nie był zainteresowany przejściem Wzorca. Stał niemal dokładnie naprzeciw początku linii.

Nie miałem wyboru; musiałem kroczyć po ścieżce, choć po łukach i skrętach straciłem go z oczu. Dotarłem do kolejnej przerwy i czułem, jak rysunek odtwarza się pod stopami. Jednocześnie wydało mi się, że ledwie słyszalne zabrzmiała muzyka. Światło jasnych obszarów zamigotało w szybszym rytmie, spływając do linii, kreśląc za mną wyraźny, jasny szlak. Od czasu do czasu wykrzykiwałem rady dla Jurta. Był kilka okrążeń za mną, choć droga doprowadzała go niekiedy tak blisko, że moglibyśmy się dotknąć, gdyby był po temu jakiś powód.

Błękitne ognie sięgały mi teraz do pól uda i włosy stawały dęba. Wszedłem w ciąg luźnych zakrętów. Ponad trzaskami i muzyką, rzuciłem pytanie.

Co tam słychać, Frakir?

Nie było odpowiedzi.

Zawróciłem, wszedłem w region podwyższonego oporu, przekroczyłem go, spojrzałem na ogniste więzienie Coral pośrodku Wzorca. Linia prowadziła dookoła i z wolna w polu widzenia pojawiał się przeciwny koniec sali.

Obcy czekał. Wysoko podniósł kołnierz płaszcza. Wśród cienia padającego na twarz widziałem błysk odsłoniętych w uśmiechu zębów. Zdziwiłem się, że stoi w obszarze Wzorca — obserwuje moje ruchy i prawdopodobnie czeka na mnie. Dopiero po chwili zrozumiałem, że dotarł w to miejsce przez nie naprawioną jeszcze szklaną ścianę.

— Będziesz musiał zejść mi z drogi! — zawołałem. — Nie mogę się zatrzymać ani pozwolić, żebyś ty mnie zatrzymał!

Nie drgnął nawet. Przypomniałem sobie, co ojciec opowiadał o walce stoczonej na pierwotnym Wzorcu. Klepnąłem ręką ramię Grayswandira.

— Przechodzę — oznajmiłem.

Przy kolejnym kroku jeszcze wyżej sięgnęły błękitno-białe płomienie. W ich świetle zobaczyłem jego twarz. To była moja twarz.

— Nie — jęknąłem.

— Tak — odpowiedział.

— Jesteś ostatnim z upiórów Logrusu i masz mnie powstrzymać.

— Istotnie.

Postąpiłem jeszcze o krok.

— A jednak — stwierdziłem — skoro jesteś moją rekonstrukcją z czasu, kiedy przeszedłem Logrus, dlaczego stajesz przeciwko mnie? Ten ja, którym chyba byłem za tamtych dni, nie podjąłby się takiego zadania.

Jego uśmiech zniknął.

— W takim sensie nie jestem tobą — rzekł. — Jak rozumiem, jedynym sposobem, by doprowadzić do koniecznego rozstrzygnięcia, była pewnego rodzaju synteza mojej osobowości.

— Zatem jesteś mną po lobotomii i z rozkazem, żeby mnie zabić.

— Nie mów tak — poprosił. — W twoich ustach brzmi to jak coś złego, podczas gdy ja postępuję słusznie. Mamy nawet wiele wspólnych wspomnień.

— Przepuść mnie, a potem porozmawiamy. Sądzę, że Logrus przesadził z tym numerem. Nie chcesz zabijać siebie, i ja też nie mam na to ochoty. Razem mamy szansę w tej rozgrywce, a w Cieniu jest miejsce dla więcej niż jednego Merlina.

Zwolniłem, ale musiałem zrobić następny krok. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby w tym punkcie stracić rozpęd.

Zacisnął wargi i pokręcił głową.

— Przykro mi — rzekł. — Zostałem stworzony, aby przeżyć jedną godzinę... chyba że cię zabiję. Jeśli tak, otrzymam w nagrodę twoje życie.

Dobyl miecza.

— Znam cię lepiej niż podejrzewasz — oznajmiłem. — Nieważne, czy zostałeś przebudowany. I tak nie wierzę, żebyś to zrobił. Co więcej, potrafię może uchylić twój wyrok śmierci. Trochę się nauczyłem o działaniu upiórów.

Wysunął klingę, podobną do tej, jaką miałem dawno temu. Ostrze prawie mnie dotykało.

— Przykro mi — powtórzył.

Sięgnąłem po Grayswandira i odbiłem broń tamtego. Byłbym głupcem, gdybym tego nie zrobił. Nie wiedziałem przecież, co Logrus pozmieniał mu w głowie. Badałem pamięć w poszukiwaniu technik szermierczych, które opanowałem od dnia inicjacji Logrusu.

Tak. Przypomniała mi o tym zabawa Benedykta z Borelem. Od tamtego czasu wziąłem kilka lekcji fechtunku w stylu włoskim. Pozwalał na szersze, jakby niedbałe zasłony, rekompensowane większym zasięgiem. Grayswandir wysunął się do przodu, odbił klingę i sięgnął dalej. Tamten wygiął przegub do francuskiej kwarty, ale ja już byłem poniżej, z wyciągniętym ramieniem i prostym nadgarstkiem, prawą stopę przesuwając wzdłuż linii do przodu. Równocześnie forta mojego miecza uderzyła ciężko z zewnątrz w fortę tamtego. Natychmiast podciągnąłem lewą stopę, tnąc w poprzek ciała, aż zetknęły się gardy. Pchnąłem w dół.

Potem wsunąłem lewą dłoń w jego prawy łokieć manewrem, którego nauczył mnie przyjaciel, specjalista od sztuk walki. O ile pamiętam, nazwał to *zenponage*. Ugiąłem się, nacisnąłem i natychmiast skręciłem biodra w lewo. Stracił równowagę i przewrócił się na lewą stronę. Na to jednak nie mogłem pozwolić. Miałem dziwne przeczucie, że gdy upadnie na Worzec, skończy jako pokaz sztucznych ogni. Dlatego pochylałem się za nim jeszcze ze dwadzieścia centymetrów, przeniosłem rękę na jego ramię i pchnąłem tak, że wylądował na obszarze pęknięcia.

Wtedy usłyszałem krzyk. Jurt zszedł z linii, skoczył do mnie i gdy jego ciało marszczyło się już i płonęło, wbił miecz w mojego bliźniaka. Ogień trysnął z rany. Sobowtór bezskutecznie usiłował się podnieść i runął na ziemię.

— Nie mów, że nigdy ci nie pomogłem, bracie — szepnął Jurt, przemienił się w wir, wzniosł pod sklepienie i zniknął.

Nie mogłem dosięgnąć bliźniaka, a po chwili wołałem już nie próbować, gdyż szybko przekształcił się w żywą pochodnię.

Spojrzał w górę, obserwując spektakularne odejście Jurta. Potem zerknął na mnie i uśmiechnął się ironicznie.

— Miał rację, wiesz? — rzucił, a potem on także został pochłonięty.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem przewyciężyć uczucia otepienia. Wreszcie udało mi się i podjąłem rytualny taniec wokół ognia. Przy następnym okrążeniu po obu nie pozostało już ani śladu, choć miecze nadal leżały tam, gdzie upadły — skrzyżowane na mojej ścieżce. Nogą zrzuciłem je z Wzorca i szedłem dalej. Płomienie sięgały mi do pasa.

Dalej, powrót, jeszcze raz. Od czasu do czasu spoglądałem w Klejnot, by uniknąć błędnych kroków, i po kawałku składałem Wzorzec w całość. Światło spływało do linii, i jeśli nie liczyć ogniska pośrodku, cały schemat coraz bardziej przypominał oryginał, który w domu trzymaliśmy w piwnicy.

Pierwsza Zasłona sprowadziła bolesne wspomnienia Dworców i Amberu. Drżałem, ale pozostałem obojętny i wszystko minęło. Druga Zasłona zmieszała pamięć i pragnienia z San Francisco. Opanowałem oddech i udawałem, że jestem tylko widzem. Płomienie tańczyły mi wokół ramion. Myśląc o serii półksiężyców, pokonywałem łuk za łukiem, krzywą za odwrotną krzywą. Opór narastał i walczyłem, zlany potem. Ale przeżyłem już takie rzeczy. Wzorzec nie tylko leżał dookoła, ale też istniał wewnątrz mnie.

Szedłem naprzód, aż osiągnąłem punkt malejących zysków, kiedy mimo większego wysiłku pokonywałem coraz mniejszy dystans. Wciąż miałem przed oczami rozplywającego się Jurta i ginącą w płomieniach własną twarz; i nie miała żadnego znaczenia świadomość, że to Wzorzec przywołuje takie wspomnienia. Nie mogłem o nich zapomnieć, ciągle prac do przodu.

Rozejrzałem się szybko, podchodząc do Wielkiego Łuku. Wzorzec został naprawiony. Wszystkie szczeliny połączyłem liniami i jarzył się teraz jak zamrożone fajerwerki na tle nocnego, bezgwiezdnego nieba. Jeszcze krok...

Poklepałem ciepły Klejnot. Krwawy blask jaśniał teraz mocniej niż poprzednio. Zastanawiałem się, czy trudno będzie odłożyć go na miejsce. Kolejny krok...

Podniosłem Klejnot i zajrzałem w jego wnętrze. Był tam mój wizerunek, jak pokonuję Wielki Łuk i podążam dalej przez ścianę płomieni, jakby nie stanowiły najmniejszej przeszkody. Potraktowałem tę wizję jako wskazówkę, choć pamiętałem żarty Davida Steinberga, wykorzystywane kiedyś przez Dropkę. Miałem nadzieję, że Wzorzec nie ma skłonności do głupich dowcipów.

Na Łuku płomienie ogarnęły mnie całego. Ciągle zwalniałem, choć coraz więcej siły wkładałem w każdy ruch. Krok po kroku zbliżałem się jednak do Końcowej Zasłony. Czułem, że przemieniam się w przedłużenie czystej woli, kiedy wszystko, czym byłem, ogniskowało się na jednym celu. Jeszcze trochę... Miałem wrażenie, że przygniata mnie ciężka zbroja. Te ostatnie trzy kroki doprowadzały człowieka na skraj rozpacz.

Jeszcze...

Dotarłem do punktu, gdzie ruch był mniej ważny niż wysiłek. Już nie wyniki się liczyły, ale starania. Wola zmieniła się w płomień; moje ciało w dym albo cień...

I jeszcze...

Oglądane przez błękitny ogień płomienie wokół Coral stały się srebrzystoszarymi iglicami żaru. Wśród trzasków i szumu znowu usłyszałem muzykę — niską, powolną, wibrującą głęboko, jakby Michael Moore grał na kontrabasie. Staralem się wyczuć rytm, poruszać się zgodnie z nim. Odniosłem wrażenie, że mi się to udało... albo moje poczucie czasu uległo zakłóceniu, gdyż miałem wrażenie, że niemal płynnie wykonuję następne kroki.

A może Wzorzec uznał, że jest mi winien przysługę, i poluzował na kilka taktów. Nigdy się nie dowiem.

Minąłem Końcową Zastonę, dotarłem do ściany płomieni — teraz znowu pomarańczowych — i szedłem dalej. Następny oddech wziąłem już w sercu ognistego kręgu.

Coral leżała pośrodku Wzorca. Wyglądała tak jak ostatnio, kiedy ją widziałem: w koszuli barwy miedzi i ciemnozielonych spodniach. Tyle że zdawała się spać, rozciągnięta na ciężkim, brązowym płaszczu. Przyklęknałem obok i położyłem jej dłoń na ramieniu. Nie drgnęła. Odgarnąłem jej z policzka rudawy kosmyk włosów i pogłaskałem po twarzy.

— Coral? — rzuciłem.

Żadnej reakcji.

Chwyciłem ją za ramię i potrząsałem lekko.

— Coral!

Westchnęła głęboko, ale się nie obudziła.

Potrząsałem nią mocniej.

— Zbudź się, Coral.

Chwyciłem ją pod ręce i uniosłem do pozycji półsiedzącej. Nie otwierała oczu. Najwyraźniej była pod działaniem jakiegoś zaklęcia. Środek Wzorca nie jest najlepszym miejscem dla wzywania Znak Logrusu, jeżeli ktoś nie ma ochoty na całopalenie. Dlatego wypróbowałem bajkowy sposób: pochyliłem się i pocałowałem ją. Wymruczała coś niewyraźnie i uchyliła powieki. Ale nie oprzytomniała. Spróbowałem znowu. Ten sam rezultat.

— Niech to szlag! — burknąłem.

Potrzebowałem miejsca, żeby rozplątać takie zaklęcie, dostępu do pewnych niezbędnych w moim fachu narzędzi, i możliwości bezkarnego przyzywania źródła moich mocy.

Podniosłem ją wyżej i rozkazałem Wzorcowi, żeby przeniósł nas do moich pokoi w Amberze. Opanowana przez *ty'igę* siostra Coral leżała tam, również pogrążona w magicznym transie. Był dziełem mojego brata, który chciał mnie przed nią ochronić.

— Zabierz nas do domu — powiedziałem głośno, dla dodania słowom wagi.

Nic się nie stało.

Zastosowałem silną wizualizację wspartą potężnym myślowym rozkazem.

Nadal nic.

Delikatnie ułożyłem Coral, wstałem i przez obszar płomieni spojrzałem na Wzorzec.

— Posłuchaj — rzekłem. — Przed chwilą wyświadczyłem ci wielką przysługę, wiążącą się z poważnym wysiłkiem i wcale nie małym ryzykiem. A teraz chcę się stąd wynieść i wziąć ze sobą tę damę. Czy zechcesz uprzejmię nas przerzucić?

Płomienie przygasły, zniknęły na kilka sekund. W przyćmionym świetle zauważyłem, że Klejnot pulsuje jak lampka kontrolna na automatycznej sekretarce. Uniosłem go i spojrzałem.

Z pewnością nie oczekiwałem krótkometrażówki dla dorosłych, ale właśnie to mi pokazał.

— Odbieram chyba niewłaściwy kanał — stwierdziłem. — Jeśli masz dla mnie wiadomość, to proszę. Jeśli nie, chcę wracać do domu.

Nic się nie zmieniło. Tyle że dostrzegłem silne podobieństwo między dwoma postaciami w Klejnocie a Coral i mną. Robiły to na płaszczu rozpostartym w miejscu, które wyglądało jak środek Wzorca, *flagrante ad infinitum*... Przypominało to bardziej pikantną wersję starego rysunku na pudełkach soli... gdyby spojrzeli do wnętrza Klejnotu, który ten facet miał na szyi, i zobaczyli...

— Dość! — wrzasnąłem. — Pieprzysz bez sensu! Chcesz tantryjskiego rytuału, to przyślę ci zawodowców! Ta dama nawet nie jest przytomna...

Klejnot błysnął znowu tak intensywnie, że zabołały mnie oczy. Wypuściłem go. Potem schyliłem się, chwyciłem Coral i wstałem.

— Nie mam pojęcia, czy ktokolwiek przechodził cię w odwrotną stronę — powiedziałem. — Ale nie wiem, czemu nie miałyby się to udać.

Zrobiłem krok w stronę Końcowej Zasłony i natychmiast wyrosła przede mną ściana ognia. Potknąłem się odskakując, przewróciłem na rozłożony płaszcz. Przycisnąłem do siebie Coral, żeby nie runęła w płomień. Upadła na mnie. Wydawała się niemal rozbudzona...

Objęła mnie za szyję i otarła się o mój policzek. Była teraz raczej senna niż uśpiona. Przyciskałem ją mocno i myślałem.

— Coral! — spróbowałem jeszcze raz.

— Mmm — odpowiedziała.

— Wygląda na to, że musimy się tu kochać, żeby się wydostać.

— Myślałam, że już nigdy nie poprosisz — wymruczała, nie otwierając oczu.

Sytuacja przestała więc przypominać nekrofilę, powiedziałem sobie, odwracając nas oboje na bok, żeby się dostać do tych miedzianych guzików. Mruczała jeszcze trochę, kiedy brałem się do rzeczy, ale jakoś nie przerodziło się to w konwersację. Za to jej ciało nie pozostało nieczułe na moją uwagę i sytuacja szybko nabrała wszelkich typowych cech, zbyt pospolitych, by zainteresowały osoby o wyrafinowanym smaku. Dość ciekawy sposób przełamania czaru. Może jednak Wzorzec ma poczucie humoru. Nie wiem.

Ognie zgasły w tej samej chwili, kiedy zgasły ognie, jeśli można tak to określić. Coral otworzyła w końcu oczy.

— Problem kręgu płomieni mamy chyba rozwiązany — oznajmiłem.

— Kiedy to przestało być snem? — zapytała.

— Dobrze pytanie — uznałem. — I tylko ty możesz na nie odpowiedzieć.

— Uratowałeś mnie przed czymś?

— To chyba najprostsze wyjaśnienie — stwierdziłem. Coral odsunęła się nieco i rozejrzała po sali. — Widzisz, do czego się doprowadziłaś, prosząc Wzorzec, żeby posłał cię tam, gdzie powinnaś się znaleźć?

— Przerznięłam — mruknęła.

— Dokładnie.

Odsunęliśmy się od siebie. Poprawiliśmy ubrania.

— To dobry sposób, żeby się lepiej poznać... — zacząłem, gdy jaskinia zadrżała od potężnego wstrząsu. — Mają tu fatalny rozkład czasu — zauważyłem. Grunt kołysał się pod nami. Objęliśmy się, jeśli nie dla pomocy, to przynajmniej dla pociechy.

Wszystko minęło w jednej chwili, a Wzorzec rozbłysnął nagle o wiele jaśniej niż kiedykolwiek przedtem. Potrząsnąłem głową. Przetarłem oczy. Coś tu się nie zgadzało, chociaż miałem wrażenie, że jest dokładnie takie, jak być powinno. I wtedy ciężkie, okute drzwi otworzyły się... do środka! Zrozumiałem, że wróciliśmy do Amberu... prawdziwego Amberu. Mój lśniący szlak nadal dobiegał do progu, ale gasł szybko. Stała na nim drobna postać. Nim zdążyłem choćby zerknąć w mrok korytarza, poczułem znajomą dezorientację i znaleźliśmy się w mojej sypialni.

— Nayda! — zawołała Coral, widząc leżącą na łóżku postać.

— Niezupełnie — wyjaśniłem. — To znaczy owszem, to jej ciało. Ale duch, który nim włada, należy do całkiem innego typu.

— Nie rozumiem.

Myślałem o tej osobie, która zamierzała wdrzeć się na teren Wzorca. Byłem też masą obolałych mięśni, rozedrganych nerwów i najrozmaitszych trujących wydzielin zmęczenia. Na stoliku wciąż stała butelka, którą otworzyłem dla Jasry... jak dawno temu? Znalazłem dwie czyste szklanki. Nalałem. Podałem jedną Coral.

— Jakiś czas temu twoja siostra ciężko chorowała. Prawda?

— Tak — potwierdziła.

Wypiłem spory łyk.

— Była bliska śmierci. W tym okresie jej ciało opanował duch *ty'igi*. To rodzaj demona. Naydzie nie było już potrzebne.

— Co to ma znaczyć?

— Jak zrozumiałem, Nayda wtedy umarła.

Carol spojrzała mi w oczy. Nie znalazła tego, czego szukała, więc tylko napiła się wina.

— Wiedziałam, że coś jest nie w porządku — stwierdziła. — Od tej choroby nie była naprawdę sobą.

— Zrobiła się złośliwa? Podstępna?

— Nie, o wiele miłsza. Przedtem Nayda zawsze była wredna.

— Nie żyłyście w zgodzie?

— Nie. Dopiero od niedawna. Ona nie cierpi, prawda?

— Nie, po prostu śpi. Jest w mocy zaklęcia.

— Dlaczego jej nie uwolnisz? Nie wygląda groźnie.

— W tej chwili chyba nie jest groźna. A nawet przeciwnie — odparłem. — I uwolnię ją wkrótce. Ale mój brat Mandor musi cofnąć czar. To jego zaklęcie.

— Mandor? Chyba nie znam zbyt dobrze ciebie ani twojej rodziny.

— Nie — przyznałem. — I *vice versa*. Posłuchaj, nie wiem nawet, jaki dziś dzień. — Przeszedłem przez pokój do okna. Trwał dzień. Jednak chmury kryły niebo i nie wiedziałem, która godzina. — Jest pewna sprawa, którą powinnaś załatwić natychmiast. Idź do ojca i powiedz mu, że nic ci się nie stało. Wy tłumacz, że zablądziłaś w jaskiniach czy źle skręciłaś w Galerii Luster i znalazłaś się na innej płaszczyźnie istnienia, albo coś innego. Cokolwiek. Żeby uniknąć incydentu dyplomatycznego. Zgoda?

Dopiła wino i kiwnęła głową. Potem spojrzała na mnie, zarumieniła się i odwróciła wzrok.

— Spotkamy się jeszcze, zanim wyjadę?

Poklepałem ją po ramieniu; nie umiałem właściwie określić swoich uczuć. A potem zrozumiałem, że to nie wystarczy, i przytuliłem ją.

— Wiesz, że tak — szepnąłem, gładząc jej włosy.

— Dziękuję, że oprowadziłeś mnie po mieście.

— Musimy znowu się kiedyś wybrać. Jak tylko trochę spadnie tempo.

— Aha.

Odprowadziłem ją do drzwi.

— Chcę jak najszybciej znowu cię zobaczyć — powiedziała.

— Padam z nóg. — Otworzyłem drzwi. — Przeszedłem piekło.

Dotknęła mojego policzka.

— Biedny Merlin — szepnęła. — Śpij mocno.

Wypiłem resztę wina i sięgnąłem po Atuty. Miałem ochotę właśnie na to, co mi poradziła, ale pierwszeństwo miały pewne pilne sprawy. Wyszukałem kartę Ghostwheela, wyjąłem ją i spojrzałem.

Niemal natychmiast, po ledwie dostrzegalnym spadku temperatury i sformowaniu najlżejszego pragnienia z mojej strony, pojawił się Ghost — czerwone koło wirujące w powietrzu.

— Cześć, tatusiu — powiedział. — Zastanawiałem się, gdzie się podziałeś. Zniknąłeś, kiedy wróciłem do jaskini. Nie mogłem cię znaleźć żadną z moich procedur indeksowania cieni. Nie przyszło mi nawet do głowy, że zwyczajnie wróciłeś do domu. Ja...

— Później — przerwałem. — Nie mam czasu. Przerzuć mnie szybko na dół, do komory Wzorca.

— Lepiej będzie, jeśli najpierw ci o czymś powiem.

— O czym?

— Ta moc, która podążała za tobą do Twierdzy... przed którą ukryłem cię w jaskini...

— Tak?

— To sam Wzorzec cię szukał.

— Domyśliłem się tego — odparłem. — Później. Spotkaliśmy się i mniej więcej doszliśmy do porozumienia. A teraz przerzucić mnie na dół. To ważne.

— Tato, ja się go boję.

— W takim razie zostaw mnie najbliżej, jak się odważysz. Potem znikaj. Muszę coś sprawdzić.

— Dobrze. Chodź tędy.

Zrobiłem jeden krok. Ghost wzniósł się, odwrócił o dziewięćdziesiąt stopni w moją stronę i opadł szybko. Przesunął się przez moją głowę, ramiona, tors, wreszcie zniknął pod stopami. Zgasły światła, więc natychmiast przywołałem logrusowe widzenie... I przekonałem się, że stoję w korytarzu prowadzącym do ciężkich drzwi komory Wzorca.

— Ghost? — rzuciłem cicho.

Nie było odpowiedzi.

Minąłem zakręt, podszedłem do drzwi i pchnąłem. Wciąż były otwarte i ustąpiły pod naciskiem. Frakir zacisnęła się na przegubie.

Frakir?

Z tej strony również nie nadeszła odpowiedź.

Straciłaś głos, panienko?

Dwa razy ścisnęła mi rękę. Pogłaskałem ją.

Drzwi otworzyły się i byłem pewien, że Wzorzec świeci jaśniej. Szybko przestałem o tym myśleć. Pośrodku, odwrócona do mnie plecami, stała ciemnowłosa kobieta. Wznosiła ramiona. Wykrzyknąłem niemal imię, na które — moim zdaniem — mogłaby zareagować. Zniknęła jednak, nim zareagowały moje struny głosowe. Oparłem się o ścianę.

— Naprawdę czuję się wykorzystany — powiedziałem głośno. — Nadstawiam dla ciebie karku, kilka razy narażam życie, zaspokajam twój metafizyczny voyeurism, a ty wykopujesz mnie, jak tylko dostajesz to, na czym ci zależy: trochę jaśniejszy blask. Domyślam się, że bogowie, moce albo czym tam jesteś, nie muszą nawet mówić „dziękuję”, „przykro mi” albo „idź do diabła”, kiedy już kogoś wykorzystają. A najwyraźniej nie odczuwasz potrzeby usprawiedliwienia się przede mną. Nie jestem dziecinnym wózkiem. Nie lubię, kiedy ty i Logrus popychacie mnie dookoła w tej waszej rozgrywce. Co byś powiedział, gdybym rozciął sobie żyłę i pochłapał cię krwią?

Natychmiast energia spłynęła na bliższy koniec Wzorca. Z głuchym szumem wyrosła przede mną wieża błękitnego ognia, poszerzyła się i nabrała rysów gigantycznej, nieludzkiej piękności nieokreślonej płci. Musiałem osłonić oczy.

— Nie rozumiesz — rozległ się głos modulowanego ryku płomieni.

— Wiem. Dlatego tu przyszedłem.

— Twoje wysiłki zostały docenione.

— Miło to słyszeć.

— Nie dało się w inny sposób przeprowadzić tej sprawy.

— No tak... A jesteś zadowolony z jej załatwienia?

— Tak.

— No to nie ma za co dziękować.

— Jesteś zuchwały, Merlinie.

— W tej chwili czuję się tak, że nic mnie już nie przestraszy. Jestem za bardzo zmęczony. Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobisz. Zszedłem tu na dół, żeby ci powiedzieć, że jesteś mi winien wielką przysługę. To wszystko.

Odwróciłem się tyłem.

— Nawet Oberon nie ośmielał się tak do mnie przemawiać — stwierdził.

Wzruszyłem ramionami i zrobiłem krok w stronę drzwi. Kiedy stopa dotknęła ziemi, byłem już w swoim pokoju.

Wzruszyłem ramionami po raz drugi, podszedłem do umywalki i ochlapałem twarz wodą.

— Wszystko w porządku, tato? Świetlisty krąg okalał miednicę. Po chwili wzleciał w powietrze i podążał za mną przez pokój.

— W porządku — potwierdziłem. — A u ciebie?

— Świetnie. Zignorował mnie zupełnie.

— Domyślasz się jego zamiarów? — spytałem.

— Wydaje mi się, że walczy z Logrusem o władzę nad Cieniem. I właśnie wygrał rundę. Cokolwiek się stało, wyraźnie go wzmocniło. Miałeś w tym swój udział, prawda?

— Prawda.

— Gdzie byłeś, kiedy opuściłeś tę grootę, do której cię przeniosłem?

— Czy znasz krainę leżącą pomiędzy cieniami?

— Pomiedzy? Nie. To przecież bez sensu.

— Trudno. Ale tam właśnie byłem.

— A jak się tam dostałeś?

— Nie wiem. Ale sądzę, że nie bez trudności. Czy Mandorowi i Jaszce nic się nie stało?

— Nic, kiedy ostatnio sprawdzałem.

— Co z Lukiem?

— Nie miałem powodów, żeby go szukać. Chcesz, żebym się tym zajął?

— Nie teraz. Chciałbym, żebyś poszedł na górę i zajrzał do królewskich apartamentów. Dowiedz się, czy ktoś tam jest w tej chwili. A jeśli tak, to kto. Sprawdź też kominek w sypialni. Zobacz, czy luźny kamień, wyjęty po jego prawej stronie, został wstawiony na miejsce, czy nadal leży koło paleniska.

Zniknął, a ja zacząłem krążyć po pokoju. Bałem się usiąść albo położyć. Miałem przeczucie, że zasną wtedy natychmiast i trudno będzie mnie obudzić. Na szczęście Ghost zmaterializował się, zanim zaliczyłem dłuższy dystans.

— Królowa... Vialle... jest u siebie — oznajmił. — W swoim gabinecie. Kamień wstawiony na miejsce, a w korytarzu jakiś karzeł stuka do wszystkich drzwi.

— Niech to diabli — zakląłem. — Wiedzą, że zaginął. Karzeł?

— Karzeł.

Westchnąłem.

— Chyba lepiej zajrzę na górę, oddam Klejnot i spróbuję wytłumaczyć, co zaszło. Jeśli Vialle spodoba się moja historia, może zapomni poinformować o wszystkim Rando.

— Przeniosę cię tam.

— Nie, to by było niepolityczne. I niegrzeczne. Tym razem lepiej zapukać do drzwi i poczekać na zaproszenie.

— Skąd ludzie wiedzą, kiedy należy pukać, a kiedy po prostu wchodzić?

— Ogólna zasada mówi, że kiedy jest zamknięte, trzeba pukać.

— Tak jak ten karzeł?

Z korytarza dobiegło ciche stukanie.

— On tak po prostu idzie i wali do wszystkich drzwi, bez różnicy? — spytałem.

— Wiesz, sprawdza je kolejno, więc nie jestem pewien, czy można to określić jako „bez różnicy”. Jak dotąd, wszystkie drzwi, do których zapukał, prowadziły do pustych pokojów. Za mniej więcej minutę powinien dotrzeć do twoich.

Podszedłem do drzwi, przekręciłem klucz, otworzyłem i wyjrzałem na korytarz.

Rzeczywiście, był tam jakiś niski człowieczek. Zauważył mnie i zęby błysnęły mu w gęstwinie brody, gdy się uśmiechnął. Ruszył w moją stronę.

Szybko stało się jasne, że jest garbaty.

— Boże wielki! — zawołałem. — Jesteś Dworkinem, zgadza się? Prawdziwym Dworkinem?

— Tak sędzę — odparł dość miłym głosem. — I mam nadzieję, że widzę przed sobą Merlina, syna Corwina.

— Istotnie — potwierdziłem. — To niezwykła radość, i spotyka mnie w niezwykłej chwili.

— To nie jest towarzyska wizyta — oświadczył. Uścisnął mi rękę i ramię. — Aha! Więc tutaj mieszkasz.

— Tak. Może wejdiesz do środka?

— Dziękuję.

Ghost wykonał manewr muchy na ścianie, zmałał do półtora centymetra średnicy i zajął pozycję na garderobie, udając zabłąkanego słonecznego zajączka. Dworkin rozejrzał się szybko w saloniku, zerknął do sypialni i przez chwilę obserwował Naydę.

— Nie należy budzić demona — wymruczał.

Dotknął Klejnotu, kiedy wracając przechodził koło mnie, ze zrozumieniem pokiwał głową i opadł na fotel, na którym ja bałem się zasnąć.

— Może szklaneczkę wina? — zaproponowałem.

— Nie, dziękuję. — Pokręcił głową. — To pewnie ty naprawiłeś najbliższy Pęknięty Wzorzec w Cieniu.

— Tak, to ja.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— W tej kwestii nie miałem wielkiego wyboru.

— Lepiej opowiedz mi o wszystkim. — Starzec skubnął swą splątana, nierówną brodę. Włosy miał długie i im także przydałoby się strzyżenie. Mimo to w jego wzroku i słowach nie dostrzegłem żadnych objawów szaleństwa.

— Nie jest to prosta historia. Muszę się napić kawy, jeśli mam ją dokończyć i nie zasnąć przy tym — oświadczyłem.

Rozłożył dłonie i między nami stanął niewielki stolik nakryty białym obrusem, na nim dwie filiżanki i parujący srebrzysty dzbanek obok grubej świecy. Była też taca z ciasteczkami. Nie zdołałbym sprowadzić tego wszystkiego tak prędko. Nie jestem pewien, czy Mandor by potrafił.

— W takim razie będę ci towarzyszył — rzekł Dworkin.

Westchnąłem i nalałem do filiżanek. Uniosłem Klejnot Wszechmocy.

— Może lepiej zwrócę go, zanim zacznę opowiadać — powiedziałem. — W ten sposób zaoszczędzę sobie kłopotów.

Wstałem, ale on pokręcił głową.

— Nie rób tego — ostrzegł. — Prawdopodobnie umrzesz, jeśli zdejmiesz go teraz.

Usiadłem.

— Cukier? Śmietanka? — zapytałem.

ROZDZIAŁ 9

Budziłem się powoli. Dryfowałem po znajomym błękitnie jeziora przedbytu. A tak, byłem tutaj, ponieważ... po prostu byłem, jak mówi piosenka. Odwróciłem się w śpiworze na drugi bok, podciągnąłem kolana do piersi i zasnąłem znowu.

Kiedy obudziłem się następnym razem i rozejrzałem szybko, świat nadal był całkiem niebieski. Świetnie. Wiele jest mądrości w powiedzeniu, że co sprawdzone, to pewne. A potem przypomniałem sobie, że lada chwila może przybyć Luke, by mnie zabić. Palce zacisnęły się odruchowo na rękojeści miecza leżącego tuż obok. Nasłuchiwałem, czy ktoś się nie zbliża.

Czy kolejny dzień spędzę odłupując kamyki ze ścian mojej kryształowej groty? A może Jasra znowu spróbuje mnie zabić?

Znowu?

Coś się tu nie zgadzało. Zdarzyło się mnóstwo spraw, dotyczących Jurta, Coral, Luke'a i Mandora, nawet Julii. Czy wszystko to było snem?

Chwilowa panika ogarnęła mnie i zniknęła natychmiast. Zabłąkany rozsądek powrócił, niosąc resztę wspomnień. Ziewnąłem, i znowu wszystko było w porządku.

Przeciagnałem się. Usiadłem. Przetarłem oczy.

Tak, wróciłem do kryształowej groty. Nie, nie było snem to, co zaszło, odkąd Luke mnie tu uwięził. Znalazłem się tu z własnego wyboru, ponieważ (a) całonocny sen w tym strumieniu czasu odpowiadał krótkiej chwili w Amberze, (b) nikt nie mógł mi tu przeszkadzać atutowymi wezwaniami, i (c) możliwe, że nawet Wzorzec i Logrus nie potrafią mnie tu wyśledzić.

Odgarnąłem włosy, wstałem i ruszyłem do latryny. Miałem dobry pomysł, gdy kazałem Ghostowi przenieść się tutaj po rozmowie z Dworkinem. Byłem pewien, że przespałem jakieś dwanaście godzin — głęboki, spokojny sen w najlepszym gatunku. Wypiłem butelkę wody. Drugą opłukałem twarz.

Później, kiedy już się ubrałem i schowałem pościel w magazynie, przeszedłem do komory wejściowej i stanąłem pod otworem w sklepieniu. Widoczne tam niebo było czyste. Wciąż brzmiały mi w uszach słowa Luke'a z tego dnia, kiedy wsadził mnie tutaj i poinformował, że jesteśmy spokrewnieni.

Wyjąłem spod koszuli Klejnot Wszechnocy, uniosłem wysoko i spojrzałem pod światło w głębinę. Tym razem żadnych instrukcji.

I bardzo dobrze. Nie miałem ochoty na dwukierunkowy przekaz danych.

Wciąż patrząc w Klejnot, usiadłem wygodnie ze skrzyżowanymi nogami. Pora to zrobić i mieć za sobą, skoro czułem się teraz wypoczęty i dość rześki. Zgodnie z radą Dworkina, poszukałem Wzorca w tym czerwonym jeziorze.

Po chwili zaczął nabierać kształtów. Nie wyglądał, jakbym go wizualizował, ale też nie przeprowadzałem ćwiczeń z wizualizacji. Patrzyłem, jak struktura staje się coraz wyraźniejsza. Nie pojawiła się nagle, ale sprawiała wrażenie, że istniała tam przez cały czas, a moje oczy dopiero teraz się uczyły, jak widzieć ją we właściwy sposób. Zresztą pewnie tak było.

Odetchnąłem głęboko. Potem jeszcze raz. I zacząłem starannie badać rysunek. Nie mogłem sobie przypomnieć, co ojciec opowiadał o dostrajaniu do Klejnotu. Kiedy wspomniałem o tym Dworkinowi, kazał się nie przejmować. Miałem tylko odnaleźć w kryształach trójwymiarową wersję Wzorca, poszukać punktu startowego i ruszyć wzdłuż linii. Kiedy zażądałem szczegółów, roześmiał się tylko i powiedział, że bym się nie martwił.

No dobrze.

Powoli obracałem, przybliżałem wizerunek Wzorca. Wysoko po prawej zjawiała się mała szczelina. Przyjrzałem się jej uważnie, a ona jakby ruszyła w moją stronę.

Dotarłem tam i wszedłem do wnętrza. To było niezwykle przeżycie, podobne do jazdy roller coasterem: podążać za liniami Wzorca w kryształach. Szedłem, gdzie mnie prowadziły; czasem czułem mdłości i zawrót głowy, czasem całą siłą woli napierałem na rubinowe bariery, aż ustępowały. Wspinałem się, spadałem, przewracałem albo parłem do przodu. Utraciłem niemal świadomość ciała, ręki wysoko trzymającej łańcuch. Wiedziałem tylko, że spływam potem, który z pewną regularnością kłuje mnie w oczy.

Nie miałem pojęcia, ile czasu trwał proces mojego zestrojenia z Klejnotem Wszechmocy, wyższą oktawą Wzorca. Dworkin wierzył, że nadepnałem Wzorcowi na odcisk, ale nie tylko dlatego chce mojej śmierci po wypełnieniu niesamowitej misji i naprawie najbliższego z Pękniętych Wzorców. Ale Dworkin odmówił wyjaśnień. Uznał, że wiedza o przyczynach może wpłynąć na możliwy przyszły wybór, którego powinienem dokonać bez żadnych obciążeń. Wszystko to brzmiało dla mnie jak bełkot, tyle że cała reszta jego wypowiedzi wydała mi się absolutnie rozsądna — w przeciwieństwie do tego, co głosiły legendy i plotki.

Mój umysł pikował i wznosił się w fali czerwieni, tworzącej wnętrze Klejnotu. Fragmenty Wzorca, które już pokonałem i które jeszcze mnie czekały, pływały dookoła, migocząc jak błyskawice. Miałem uczucie, że za moment umysł rozpadnie się po zderzeniu z niewidzialną Zastoną. Nie panowałem już nad swoimi ruchami; przyspieszałem. Wiedziałem, że nie mogę się cofnąć, póki nie dojdę do końca.

Dworkin uznał, że Wzorec nie mógł mnie skrzywdzić podczas naszej kłótni, kiedy wróciłem sprawdzić, co to za postać wcześniej zauważyłem. Twierdził, że to dzięki Klejnotowi na szyi. Nie mogłem jednak nosić go zbyt długo, gdyż to także mogło się okazać śmiertelne. Zdecydował, że zanim go oddam, muszę się dostroić — jak mój ojciec i Random. Później będę nosił w sobie obraz wyższego rzędu, co nie gorzej od samego Klejnotu powinno spełniać funkcje obronne wobec Wzorca. Trudno się spierać z człowiekiem, który podobno z pomocą Klejnotu sam stworzył Wzorec. Dlatego się zgodziłem. Byłem jednak zbyt zmęczony, by próbować tego od razu. Kazałem więc Ghostowi przenieść mnie do mojej kryształowej groty, mojego sanktuarium, żeby najpierw odpocząć.

A teraz... teraz płynąłem. Wirowałem. Od czasu do czasu zatrzymywałem się. Odpowiedniki Zaston w Klejnocie nie były łatwiejsze do pokonania tylko dlatego, że zostawiłem za sobą ciało. Każde takie przejście wyczerpywało, jakbym przebiegł milę w czasie olimpijskim. Na jednym poziomie wiedziałem, że nie poruszam się i trzymam Klejnot, w którego wnętrzu dokonuję inicjacji. Na innym jednak czułem, jak wali mi serce. A na jeszcze następnym wspominałem fragmenty gościnnego wykładu z antropologii, jaki wiele lat temu wygłosiła na moim roku Joan Halifax. Ośrodek, w jakim się poruszałem, kłębił się niczym gejzer Merlot 1985 w kielichu... Kto tamtej nocy siedział przy stoliku naprzeciw mnie? Nieważne. Dalej, w dół i dookoła. Wzbierała fala jasnej krwi. Przesłanie wpisywało się w mojego ducha. Na początku było słowo, którego nie umiałem odczytać... Jaśniej, jaśniej. Szybciej, szybciej. Jeśli zderzę się ze ścianą rubinu, zostanie po mnie tylko mokra plama. Dalej, Schopenhauerze, do ostatecznej rozgrywki woli. Stulecie czy dwa nadeszły i minęły; i nagle otworzyła się droga. Przełałem się naprzód, do światła eksplodującej gwiazdy. Czerwień, czerwień, czerwień, pchająca mnie dalej, wciąż dalej, jak moją łódkę, Gwiezdną Strzałę, niesioną wicherem, rosnącą w oczach, wracającą do domu...

Padłem. Wprawdzie nie straciłem przytomności, ale też nie zachowałem normalnego stanu umysłu. Zapadłem w rodzaj półsnu, z którego w dowolnie wybranej chwili mogłem przejść w jedną lub drugą stronę. Ale dlaczego? Rzadko kiedy odczuwam tak wielką euforię. Czułem, że na nią zasłużyłem, więc dryfowałem tam przez długi, bardzo długi czas.

Wreszcie opadła poniżej poziomu wartego zaangażowania. Wstałem, zatoczyłem się, oparłem o ścianę i ruszyłem do spiżarni, żeby napić się jeszcze wody. Byłem przeraźliwie głodny, ale jakoś nie miałem ochoty na puszki i mrożonki. Zwłaszcza że świeże produkty nie były aż tak trudne do zdobycia.

Ruszyłem z powrotem przez znajome komory. A więc zastosowałem się do rady Dworkina. Szkoda, że odwróciłem się do niego plecami, zanim pomyślałem o długiej liście pytań, które chciałem mu zadać. Kiedy odwróciłem się znowu, już go nie było.

Wspiąłem się na drabinę i stanąłem na szczycie błękitnego wzniesienia, gdzie znajdowało się jedyne znane mi wejście. Panował rześki, czysty wiosenny poranek i tylko na wschodzie widziałem kilka małych obłoczków. Dla samej rozkoszy oddychania wciągnąłem powietrze. Pochyliłem się i przesunąłem niebieski głąz, żeby zakryć otwór. Gdybym znów przybył szukać tu schronienia, nie chciałbym, żeby zaskoczył mnie jakiś drapieżnik.

Zdjąłem Klejnot Wszchemocy i zawiesiłem go na wypukłości głązu. Potem odszedłem na jakieś dziesięć kroków.

— Cześć, tato.

Ghostwheel był złocistym krążkiem szybującym od zachodu.

— Dzień dobry, Ghost.

— Dlaczego porzuciłeś ten przedmiot? To jedno z najpotężniejszych narzędzi, jakie dotąd widziałem.

— Nie porzuciłem, ale zamierzam przywołać Znak Logrusu i nie sądzę, żeby odpowiadało mu takie towarzystwo. Niepokoję się nawet, jak Logrus mnie potraktuje, skoro dostroiłem się do Wzorca wyższego rzędu.

— Może lepiej pójdę sobie teraz, a później sprawdzę, co u ciebie?

— Nie oddalaj się — rzuciłem. — Może zdołasz wyciągnąć mnie z kłopotów, gdyby sprawy źle się potoczyły.

Wezwałem Znak Logrusu. Przybył i zawisł przede mną, i nic się nie stało. Przerzuciłem część świadomości na ścianę głązu, do Klejnotu. Poprzez niego mogłem spojrzeć na Logrus z innej perspektywy. Niesamowite. I bezbolesne.

Skupiłem się znowu we wnętrzu swojej czaszki, wsunąłem ramiona w gałęzie Logrusu, sięgnąłem...

Po niecałej minucie miałem już talerz racuszków, do tego parówki, kubek kawy i szklankę soku pomarańczowego.

— Mogłem ci to przynieść szybciej — zauważył Ghost.

— Jestem tego pewien — odparłem. — Ale musiałem sprawdzić systemy.

Przy jedzeniu próbowałem ustalić listę priorytetów. Kiedy skończyłem, odesłałem talerze do miejsca ich pochodzenia, zdjąłem Klejnot, zawiesiłem go sobie na szyi i wstałem.

— No dobra, Ghost! — zawołałem. — Pora wracać do Amberu.

Rozszerzył się, otworzył i obniżył tak, że stałem teraz przed złotym łukiem. Zrobiłem krok naprzód...

...do swojego pokoju.

— Dzięki — rzuciłem.

— *De nada*, tato. Posłuchaj, mam pytanie. Kiedy sprowadzałeś śniadanie, czy w zachowaniu Znaku Logrusu zauważyłeś coś niezwykłego?

— O co ci chodzi? — spytałem, podchodząc do umywalki.

— Zacznijmy od wrażeń fizycznych. Czy nie wydał ci się... lepki?

— Dziwnie to określiłeś... Ale rzeczywiście, rozłączenie trwało chyba odrobinę dłużej niż zwykle. Dlaczego pytasz?

- Mam pewien pomysł... Znasz magię Wzorca?
- Tak, ale jestem lepszy w wersji Logrusu.
- Mógłbyś w wolnej chwili spróbować obu rodzajów i porównać?
- Po co?
- Zaczynam mieć przeczucia. Powiem ci, jak tylko sprawdzę.
I zniknął.
- Cholera — mruknąłem.
- Umyłem twarz.

Kiedy wyjrzałem przez okno, za szybą przeleciało kilka śnieżnych płatków. Z szuflady biurka wyjąłem klucz. Było kilka spraw, które wołałem załatwić natychmiast.

Wyszedłem na korytarz. Zdażyłem zrobić ledwie kilka kroków, gdy usłyszałem ten dźwięk. Przystanąłem i nasłuchiwałem. Po chwili ruszyłem dalej, obok schodów, a dźwięk narastał z każdą chwilą. Zanim dotarłem do drugiego korytarza prowadzącego do biblioteki, wiedziałem już, że wrócił Random. Nikt inny nie potrafiłby tak bębnić... a gdyby nawet, nie ośmieliłby się użyć królewskiej perkusji.

Minąłem półotwarte drzwi i skręciłem za róg. W pierwszym odruchu chciałem wejść, oddać mu Klejnot Wszehmocy i spróbować wytłumaczyć, co zaszło. A potem przypomniałem sobie, co mówiła kiedyś Flora: że wszystko, co uczciwe, szczerze i otwarte, tutaj sprowadza kłopoty. Nie chciałem wierzyć, że wyraziła ogólną zasadę. Natomiast ta szczególna sytuacja wymagałaby długich wyjaśnień, a ja musiałem dopilnować innych spraw. Zresztą, może w rezultacie otrzymałbym zakaz zajmowania się niektórymi z nich.

Szedłem dalej, do drzwi jadalni. Zajrzałem szybko i przekonałem się, że jest pusta. Dobrze. W środku, po prawej stronie — o ile dobrze pamiętałem — była ruchoma płyta, zasłaniająca wnękę w murze. Znajdowały się tam szczeble czy klamry, po których dojdę do ukrytego wejścia na balkon biblioteki. Mogłem także zejść w dół, do spiralnych schodów i — jeśli pamięć mnie nie zawodziła — dalej, do jaskiń. Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiał tego sprawdzać. W ostatnich dniach jednak stałem się kontynuatorem rodzinnych tradycji, tak wiernym, że postanowiłem nieco poszpiewować. Kilka niewyraźnych zdań podsłuchanych przez otwarte drzwi kazało mi wierzyć, że Random nie jest sam. Jeśli wiedza rzeczywiście daje siłę, to potrzebowałem każdej informacji, jaka tylko wpadnie mi w ręce. Ostatnio nie czułem się zbyt silny.

Owszem, ściana przesunęła się i w jednej chwili byłem już w środku, posyłając przodem moje widmowe światło. Wspiąłem się szybko na szczyt i wolno, ostrożnie uchyliłem płytę. Byłem wdzięczny temu, kto pomyślał o zamaskowaniu otworu szerokim fotelem. Mogłem stosunkowo bezpiecznie wyglądać zza poręczy i miałem dobry widok na północny kraniec sali.

Random bębnił tam na perkusji, a Martin, cały w skórze i łańcuchach, siedział przed nim i słuchał. Random robił coś, czego jeszcze w życiu nie widziałem: grał pięcioma pałeczkami naraz. Dwie trzymał w dłoniach, dwie pod pachami i jedną w zębach. W dodatku wymieniał je podczas gry, przesuwał tę z zębów pod prawe ramię, tamtą do prawej ręki, tę z kolei przerzucił do lewej, trzymaną w lewej wsunął pod lewą pachę, skąd pałeczka trafiła mu do ust. I ani na moment nie stracił rytmu. Ten pokaz wywierał niemal hipnotyczny efekt. Patrzyłem, dopóki nie skończył. Jego stary zestaw bębnowy trudno by uznać za marzenie perkusisty, całe z przezroczystego plastyku, z talerzami wielkości tarcz rycerskich, werblami dookoła, masą tam-tamów i paroma kotłami, a wszystko to świecące jak ognisty krąg Coral. Perkusja Randoma pochodziła z czasów, zanim jeszcze werble stały się cienkie i nerwowe, kotły zmalowały, a talerze zapadły na akromegalię i zaczęły huczeć.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem — usłyszałem głos Martina.
- Random wzruszył ramionami.

— Bywałem w różnych miejscach — stwierdził. — Tego nauczył mnie Freddie Moore, w latach trzydziestych, w Victorii albo w Village Vanguard. Grał wtedy z Artem Hodesem i Maxem Kaminskym. Zapomniałem, gdzie to było. Numer pochodzi jeszcze z czasów wodewilu. Nie mieli wtedy mikrofonów, a oświetlenie było nędzne. Mówił, że musieli się popisywać takimi zagraniami albo dziwacznie ubierać, żeby publiczność zwracała na nich uwagę.

— Szkoda, że musieli tak się podlizywać.

— Tak... Żadnemu z was, chłopcy, nawet by się nie śniło, żeby się dziwacznie ubrać albo podrzucać instrument.

Nastąpiła chwila ciszy. W żaden sposób nie mogłem zobaczyć wyrazu twarzy Martina.

Wreszcie...

— Nie o to mi chodziło — powiedział.

— Mnie też nie — odparł Random. Odrzucił trzy pałeczki i znów zaczął grać.

Oparłem się o ścianę i słuchałem. Po chwili ze zdumieniem stwierdziłem, że włączył się saksofon altowy. Wyrzesałem. Martin stał tyłem do mnie i grał. Instrument musiał leżeć na podłodze, schowany za jego krzesłem. W muzyce wyczułem jakby posmak Ritchiego Cole'a, co mi się podobało, i trochę dziwiło. I choć chciałbym tu zostać, czułem, że nie powinienem, nie w tej chwili. Wycofałem się, uchyliłem płytę, przeszedłem i zamknąłem ją za sobą. Opuściłem się na dół i wyszedłem na zewnątrz. Postanowiłem raczej przejść przez jadalnię, niż znowu mijać drzwi biblioteki. Jeszcze przez spory kawałek słyszałem muzykę i żalowałem, że nie nauczyłem się od Mandora zakłęcia, które zamyka dźwięki w szlachetnych kamieniach. Chociaż nie jestem pewien, jak Klejnot Wszechmocy potraktowałby Wild Man Blues.

Zamierzałem dotrzeć aż do miejsca, gdzie w pobliżu moich pokoi wschodni korytarz krzyżuje się z północnym. Tam chciałem skrócić w lewo, wbiec po schodach na górę, aż do królewskich apartamentów, zastukać do drzwi i zwrócić Klejnot Vialle. Miałem nadzieję, że przekonam ją, by poczekała na wyjaśnienia. Gdyby się nie udało, i tak wołałem tłumaczyć się przed nią niż przed Randomem. Mógłbym sporo opuścić, a ona nie wiedziałaby, o co należy pytać. Oczywiście, w końcu Random i tak by mnie dopadł. Ale im później, tym lepiej.

Jednak teraz znalazłem się obok pokoi mojego ojca. Wziąłem ze sobą klucz, żeby wracając zajrzeć tu z oczywistych dla mnie powodów. Ale że już trafiłem w to miejsce, postanowiłem zaoszczędzić na czasie. Otworzyłem drzwi i przestąpiłem próg.

Srebrna róża zniknęła z wazonu na komodzie. Dziwne. Zrobiłem krok w tamtą stronę. Z drugiego pokoju dobiegł dźwięk głosów, zbyt cichych, żeby rozróżnić słowa. Zamarłem. On może tu być. Ale nie można przecież wpaść do cudzej sypialni, zwłaszcza że chyba jest tam więcej niż jedna osoba... szczególnie jeśli to sypialnia ojca, a żeby się tu dostać, musiałem otworzyć zamknięte na klucz drzwi zewnętrzne. Nagle poczułem niezwykle skrępowanie. Chciałem stąd uciec, i to szybko. Odpiąłem pas z Grayswandirem w nie całkiem dopasowanej pochwie. Nie śmiałem nosić go dłużej, więc zawiesiłem na haku w ścianie przy drzwiach, obok krótkiego prochowca, którego przedtem nie zauważyłem. Potem wymknąłem się i jak najciszej przekręciłem klucz w zamku.

Nieprzyjemna sytuacja. Czyżby naprawdę przychodził tu i wychodził regularnie, nie zwracając niczyjej uwagi? A może w jego pokojach działa się fenomen zupełnie innej natury? Słyszałem czasem pogłoski, że niektóre starsze komnaty mają *sub specie spatium* drzwi. Trzeba tylko wiedzieć, jak je uaktywnić, a dają dodatkowy metraż oraz dyskretną drogę wyjścia i powrotu. O to również powinienem zapytać Dworkina. Może mam pod łóżkiem kieszonkowy wszechświat... Nigdy tam nie zaglądałem.

Odszedłem pospiesznie. Zwolniłem, zbliżając się do zakrętu. Dworkin uważał, że posiadanie Klejnotu Wszechmocy ochroni mnie przed Wzorcem, gdyby ten rzeczywiście postanowił coś mi

zrobić. Z drugiej strony, zbyt długo noszony Klejnot także mógł właścicielowi zaszkodzić. Poradził mi zatem, żebym trochę odpoczął, a potem przepuścił swój umysł przez strukturę kamienia, tym samym rejestrując w sobie wyższy poziom Wzorca, a przy okazji pewną odporność na ataki Wzorca właściwego. Interesująca hipoteza. Ale to wszystko: hipoteza.

Dotarłem do skrzyżowania korytarzy. Skręcając w lewo, dojdę do schodów; drogą na prawo wrócę do siebie. Zawahałem się. Naprzeciw, po przekątnej od rzadko używanych pokoiów Benedykta, znajdowały się drzwi do saloniku. Wszedłem tam i usiadłem w ciężkim fotelu w kącie. Chciałem tylko pozbyć się wrogów, pomóc przyjaciółom, usunąć swoje imię ze wszystkich czarnych list, na których się obecnie znajdowało, odszukać ojca i dogadać się jakoś ze śpiącą *ty'igq*. A potem mogę się zastanowić nad kontynuacją mojego *Wanderjahr*. Uświadomiłem sobie, że wszystko to zmusza mnie do ponownego zadania pytania: o których sprawach chciałem powiedzieć Randomowi?

Pomyślałem o nim, jak w bibliotece gra w duecie ze swym niemal utraconym synem. Jak słyszałem, był kiedyś dość dziki, nieodpowiedzialny i samolubny, i właściwie nie chciał władzy nad tym archetypicznym światem. Ale ojcostwo, małżeństwo i wybór Jednorożca bardzo go zmieniły — pogłębiły jego charakter, kosztem wielu przyjemności życia. W tej chwili miał problemy z konfliktem kashfańsko–begmańskim. Możliwe, że posunął się do skrytobójstwa i przystał na niezbyt korzystny traktat, by zachować złożoną równowagę polityczną Złotego Kręgu. Kto wie, co dzieje się w innych miejscach, co może spowodować dodatkowe kłopoty? Czy naprawdę chcę wciągać tego człowieka w sprawy, które równie dobrze mogę załatwić sam, nie mówiąc mu o niczym i nie przysparzając zmartwień? I odwrotnie, jeśli mu powiem, może wydać pewne zakazy, które ograniczą moją zdolność reakcji na to, co stało się ostatnio codziennymi urokami życia. Może też przypomnieć pewną kwestię, pominiętą wiele lat temu.

Nigdy nie przysięgałem wierności Amberowi. Nikt mnie o to nie prosił. Byłem przecież synem Corwina, przybyłem tu dobrowolnie i mieszkałem przez wiele lat. Potem wyruszyłem do Cienia–Ziemi, gdzie wielu Amberyków pobierało nauki. Często wracałem i ze wszystkimi utrzymywałem przyjazne stosunki. Nie widziałem powodów, żeby wyciągać teraz sprawę mojego podwójnego obywatelstwa.

I wolałem, żeby nie została wyciągnięta. Nie podobał mi się pomysł dokonywania wyboru między Amberem a Dworcami. Nie zrobiłbym tego ani dla Jednorożca i Węża, ani dla Wzorca i Logrusu, a dla królewskich rodów z obu dworów chyba też nie.

Wszystko to prowadziło do wniosku, że Vialle nie powinna słyszeć nawet skróconej wersji mojej historii. Cokolwiek powiem, kiedyś będę musiał wytłumaczyć się szczegółowo. Gdyby jednak Klejnot wrócił na miejsce bez żadnych wyjaśnień, nikt nie trafiłby do mnie w związku z jego zaginięciem. Wszystko ułożyłoby się jak najlepiej. Jak mógłbym kłamać, gdyby nikt mnie o nic nie pytał?

Myślałem dalej. Tak naprawdę, to próbuję tylko zmęczonemu, zapracowanemu człowiekowi oszczędzić brzemienia dodatkowych problemów. Niczego nie może i nie powinien robić w moich sprawach. Konflikt pomiędzy Wzorcem i Logrusem wydaje się istotny jedynie w sensie metafizycznym. Nie sędzę, by wynikało z niego coś dobrego albo złego na poziomie praktycznym. A gdybym dostrzegł zagrożenie, zawsze mogę ostrzec przed nim Randoma.

Bardzo dobrze. Dlatego właśnie zdolność rozsądnego myślenia jest taka przydatna. Zawsze można ją wykorzystać, by poczuć się prawym, a nie — na przykład — winnym. Przeciągnąłem się i rozprostowałem palce.

— Ghost — rzuciłem cicho.

Bez odpowiedzi.

Sięgnąłem po Atuty, ale ledwie zdążyłem ich dotknąć, gdy po drugiej stronie pokoju błysnął krąg światła.

— Słyszałeś mnie — stwierdziłem.

— Czuję twoje pragnienie — odpowiedział.

— Wszystko jedno. — Ściągnąłem przez głowę łańcuch z Klejnotem. — Jak myślisz, mógłbyś to zanieść do skrytki w murze obok kominka w królewskiej sypialni? Tak, żeby nikt nie zauważył?

— Wolałbym tego nie dotykać — stwierdził Ghost. — Nie wiem, jak jego struktura wpłynie na moją strukturę.

— Trudno. Znajdę jakiś sposób, żeby samemu to załatwić. Ale nadeszła pora, by sprawdzić pewną hipotezę. Gdyby Wzorzec zaatakował, spróbuj mnie przerzucić w jakieś bezpieczne miejsce.

— Oczywiście.

Położyłem Klejnot na stoliku.

Po trzydziestu sekundach uświadomiłem sobie, że czekam na śmiertelny cios Wzorca. Rozluźniłem mięśnie. Odetchnąłem głęboko. Wciąż byłem cały. Może Dworkin miał rację, że Wzorzec da mi spokój. Mówił też, że będę mógł teraz przywoływać Wzorzec w Klejnocie, tak samo jak Znak Logrusu. Były pewne czary, które można rzucić jedynie taką metodą, choć Dworkin nie poinstruował mnie, jak się do tego zabrać. Uważał pewnie, że czarodziej sam powinien rozpracować system. Uznałem, że to może poczekać. Nie miałem ochoty na współpracę z Wzorcem w którejkolwiek z jego inkarnacji.

— Wzorcze! — zawołałem. — Może darujemy sobie spory?

Nikt mi nie odpowiedział.

— On chyba wie, że tu jesteś i co właśnie zrobiłeś — zauważył Ghost. — Wyczułem jego obecność. Może mu już na tobie nie zależy.

— Możliwe.

Wyjąłem Atuty i przerzuciłem je szybko.

— Z kim chcesz się skontaktować? — zapytał Ghost.

— Interesuje mnie Luke — wyjaśniłem. — Chciałbym sprawdzić, co się z nim dzieje. Nie wiem też, co z Mandorem. Zakładam, że odesłałeś go w bezpieczne miejsce.

— Najlepsze z możliwych — zapewnił Ghost. — Tak samo jak królową Jasrę. Ją też mam sprowadzić?

— Nie. Nikogo nie masz sprowadzać. Chciałbym tylko wiedzieć...

Ghost zniknął, zanim skończyłem mówić. Nie byłem pewien, czy jego gorliwość jest lepsza od poprzedniej złośliwości.

Wyjąłem kartę Luke'a i sięgnąłem w głąb.

Usłyszałem czyjeś kroki na korytarzu. Minęły moje drzwi.

Wyczułem świadomość Luke'a, choć nie odebrałem żadnego obrazu.

— Słyszysz mnie, Luke? — upewniłem się.

— Tak — potwierdził. — Co u ciebie, Merle?

— W porządku. A ty? To była ostra walka...

— Nic mi nie grozi.

— Słyszę twój głos, ale nic nie widzę.

— Zaciemniłem Atuty. Nie wiesz, jak się to robi?

— Nigdy nie próbowałem. Musisz mnie kiedyś nauczyć. Hm... A właściwie dlaczego je zaciemniłeś?

— Ktoś mógłby się skontaktować i domyślić, co planuję.

— Jeśli planujesz wypad komandosów na Amber, będę wściekły.

— Daj spokój! Wiesz, że z tym skończyłem. To całkiem inna sprawa.

— Myślałem, że jesteś więźniem Dalta.

— Mój status nie uległ zmianie.

— Przecież kiedyś o mało cię nie zabił, a ostatnio stłukł cię na miazgę.

— Za pierwszym razem wpadł w stare zakłęcie berserkera. Sharu zastawił je jako pułapkę. Za drugim razem chodziło o interesy. Nic mi nie będzie. Ale chwilowo wszystko, co robię, jest ściśle tajne. Spieszę się. Na razie.

Obecność Luke'a znikła.

Kroki zatrzymały się i usłyszałem pukanie do pobliskich drzwi. Po chwili ktoś je otworzył, potem zamknął. Nie słyszałem żadnej rozmowy. Ponieważ było to niedaleko, a najbliższe pokoje należały do mnie i do Benedykta, zacząłem się zastanawiać. Benedykta z pewnością nie ma, a pamiętałem, że wychodząc nie zamknąłem drzwi na klucz. Zatem...

Chwyciłem Klejnot Wszechmocy, przebiegłem przez salonik i znalazłem się na korytarzu. Sprawdziłem drzwi Benedykta. Zamknięte. Zajrzałem do północno-południowego korytarza, wróciłem do schodów i rozejrzałem się dookoła. Nikogo w polu widzenia. Zawróciłem do siebie i przez chwilę nasłuchiwałem kolejno przy obu drzwiach wejściowych. Z wnętrza nie dochodziły żadne dźwięki. Przyszły mi do głowy tylko dwa inne wytłumaczenia: pokoje Gerarda w bocznym korytarzu, i Branda, zaraz za moimi. Myślałem kiedyś, żeby zburzyć ścianę — zgodnie z wprowadzoną przez Randoma modą na przebudowę i zmianę wystroju — i dołączyć je do swoich. W ten sposób miałbym całkiem spore mieszkanie. Jednak plotka głosiła, że komnaty Branda są nawiedzone, a wycia, jakie niekiedy słyszałem późną nocą przez ściany, zniechęciły mnie do tego pomysłu.

Przeszedłem korytarzem, zastukałem i szarpnąłem za klamki drzwi Branda i Gerarda. Żadnej odpowiedzi, jedne i drugie były zamknięte. Dziwna sprawa.

Frakir zacisnęła się lekko, kiedy dotknąłem klamki Branda. Czekałem w napięciu przez kilka chwil, ale nie zdarzyło się nic podejrzanego. Miałem już uznać jej ostrzeżenie za reakcję na ślad zabłąkanego czaru, jakie widywałem czasem dryfujące w tej okolicy... I wtedy zauważyłem pulsujący blask Klejnotu Wszechmocy.

Uniosłem łańcuch i spojrzałem w głąbię kamienia. Tak, pojawił się obraz. Zobaczyłem korytarz za rogiem, dwoje moich drzwi, wyraźnie widoczny obraz na ścianie między nimi. Drzwi po lewej stronie — prowadzące do sypialni — były obramowane pulsującą czerwienią. Czy to znaczy, że powinienem ich unikać, czy może biec tam jak najszybciej? To są problemy z czarodziejskimi poradami.

Zawróciłem i wyszedłem za róg. Tym razem Klejnot — wyczuwając może moją niepewność i uznając, że należy wyrażać się bardziej konkretnie — pokazał, jak zbliżam się i otwieram wskazane drzwi. Oczywiście, właśnie te były zamknięte na zamek...

Szukałem w kieszeni klucza i myślałem, że nie mogę nawet wbiec do środka z mieczem w rękę, ponieważ właśnie pozbyłem się Grayswandira. Miałem jednak zawieszzone kilka sprytnych zaklęć. Może któreś z nich mnie ocali, jeśli sytuacja rozwinie się niepomyślnie. A może nie.

Przekreśliłem klucz i szarpnąłem drzwi.

— Merle! — pisnęła i zobaczyłem, że to Coral. Stała przy moim łóżku, gdzie spoczywała jej rzekoma siostra, *ty'iga*. Szybko schowała rękę za plecami. — Ty... no... zaskoczyłeś mnie.

— I *vice versa* — odpowiedziałem, na co szczęśliwie jest odpowiedni zwrot w thari. — Co tu robisz?

— Wróciłam zawiadomić cię, że znalazłam ojca i opowiedziałam uspokajającą historię o Galerii Luster. Tak jak radziłeś. Czy w ogóle jest tutaj takie miejsce?

— Jest. Ale nie piszą o nim w przewodnikach. Pojawia się i znika. Czyli ojciec już się nie martwi?

— Nie. Ale nie wie, co się dzieje z Naydą.

— Sytuacja się komplikuje.

— Tak.

Czerwieniła się i unikała mojego wzroku. I chyba zdawała sobie sprawę, że dostrzegam jej zakłopotanie.

— Powiedziałam, że może Nayda zwiedza pałac, jak ja — mówiła dalej. — I że jej poszukam.

— Mhm...

Zerknąłem na Naydę. Coral podeszła do mnie natychmiast, położyła mi dłoń na ramieniu i przyciągnęła do siebie.

— Myślałam, że byłeś śpiący.

— Owszem, byłem. I spałem. A w tej chwili załatwiałem pewne sprawy.

— Nie rozumiem.

— Strumienie czasu — wyjaśniłem. — Oszczędzałem. Jestem wypoczęty.

— Fascynujące — szepnęła, muskając wargami moje usta. — Cieszę się, że wypocząłeś.

— Coral — rzekłem, przytulając ją lekko. — Nie musisz mnie okłamywać. Wiesz, że kiedy wychodziłaś, byłem wykończony. Musiałaś wierzyć, że będę spał jak kamień, jeśli wrócisz tak prędko.

Chwyciłem ją za przegub i wyciągnąłem do przodu chowaną za plecami rękę. Coral była zadziwiająco silna. Nie próbowałem nawet przemocą otwierać jej dłoni, gdyż między palcami widziałem dobrze, co w niej trzyma. To była jedna z metalowych kul, jakich używa Mandor, by rzucać improwizowane zaklęcia.

Coral nie cofnęła się.

— Wytłumaczę ci — powiedziała, wreszcie patrząc mi w oczy.

— Bardzo proszę. Szczerze mówiąc wolałbym, żebyś wcześniej podjęła tę decyzję.

— Może to prawda, co słyszałeś: że umarła, a w jej ciele zamieszkał demon — zaczęła. — Ale ostatnio była dla mnie dobra. W końcu stała się siostrą, jakiej zawsze pragnęłam. A potem sprowadziłaś mnie tutaj i zobaczyłam ją w takim stanie... I nie wiedziałam, co chcesz z nią zrobić...

— Pamiętaj, Coral, że nigdy bym jej nie skrzywdził — przerwałem. — Mam wobec niej dług wdzięczności za dawne przysługi. Kiedy byłem młody i naiwny, na Cieniu-Ziemi, kilka razy prawdopodobnie ocaliła mi życie. Z mojej strony nie musi się niczego obawiać.

Przekrzywiła głowę i zmrużyła oko.

— Skąd miałam to wiedzieć? Wróciłam w nadziei, że dostanę się do środka, że będziesz spał głęboko, że potrafię przełamać czar, a przynajmniej unieść go jakoś i z nią porozmawiać. Chciałam się przekonać, czy jest moją siostrą... czy może czymś innym.

Chciałem uścisnąć jej ramię i wtedy uświadomiłem sobie, że w lewej dłoni nadal ściskam Klejnot Wszechnocy. Zrealizowałem zamiar prawą ręką.

— Rozumiem — zapewniłem ją. — Fatalnie się zachowałem, pokazując ci nieprzytomną siostrę i nie podając żadnych szczegółów. Mogę tylko przeprosić, tłumacząc się przemęczeniem. Gwarantuję ci, że Nayda nie czuje bólu. Ale w tej chwili wolałbym raczej nie majstrować przy zaklęciu. Nie ja je rzuciłem...

Nayda jęknęła cicho. Obserwowałem ją przez kilka sekund, ale nic więcej się nie zdarzyło.

— Chwyciłaś tę kulę w powietrzu? — spytałem. — Nie widziałem jej ostatnio. Coral pokręciła głową.

— Leżała jej na piersi. Nayda zasłaniała ją ręką.

— Skąd ci przyszło do głowy, żeby tam szukać?

— Jej pozycja wydała mi się nienaturalna. To wszystko. Masz.

Wręczyła mi kulę. Wziąłem ją i zważyłem w prawej dłoni. Nie miałem pojęcia, jak one działają. Metalowe kule były dla Mandora tym, czym dla mnie Frakir — elementem wyjątkowej, osobistej magii, wykutym z jego podświadomości w sercu Logrusu.

— Odłóżysz ją na miejsce? — zapytała Coral.

— Nie — odparłem. — Mówiłem ci już, że to nie moje zaklęcie. Nie wiem, jak funkcjonuje, i nie chciałbym się nim bawić.

— Merlin...? — Szept... To Nayda, wciąż z zamkniętymi oczami.

— Porozmawiajmy lepiej w tamtym pokoju — zaproponowałem Coral. — Ale najpierw rzucę na nią własny czar. To tylko środek nasenny...

Powietrze za Coral roziskrzyło się i zawirowało. Po moim wzroku musiała poznać, że dzieje się coś niezwykłego, gdyż obejrzała się i...

— Merle! Co to jest?

Cofnęła się do mnie, gdy w powietrzu nabrał kształtów złocisty łuk.

— Ghost? — rzuciłem.

— To ja — nadeszła odpowiedź. — Jasry nie było w miejscu, gdzie ją zostawiłem. Ale sprowadziłem twojego brata.

Pojawił się Mandor, wciąż ubrany głównie na czarno, z masą srebrzystobiałych włosów. Spojrzał na Coral i Naydę, potem na mnie, zaczął się uśmiechać, ruszył przed siebie. Nagle przesunął wzrok i stanął. Wytrzeszczył oczy. Jeszcze nigdy nie widziałem lęku na jego twarzy.

— Krwawe Oko Chaosu! — wykrzyknął, gestem przywołując osłonę. — Jak je zdobyłeś?

Cofnął się o krok. Łuk zwinął się natychmiast w kaligrafowaną, ozdobną literę „O”. Ghost przesunął się wokół pokoju i zawisł obok mnie.

Nayda usiadła nagle na łóżku i rozejrzała się niespokojnie.

— Merlinie! — krzyknęła. — Nic ci się nie stało?

— Jak dotąd nie — zapewniłem. — Nie martw się. Spokojnie. Wszystko w porządku.

— Kto majstrował przy moim zaklęciu? — zapytał Mandor.

Nayda spuściła nogi na podłogę. Coral zadrżała.

— Właściwie to był przypadek — wyjaśniłem.

Otworzyłem prawą dłoń. Metalowa kula wzleciała natychmiast i pomknęła do niego. O włos minęła Coral, która uniosła ręce w pozycji obronnej, klasycznej dla większości sztuk walki. Co prawda nie bardzo wiedziała, przed kim czy przed czym ma się bronić. Dlatego obracała się — Mandor, Nayda, Ghost, i od nowa...

— Spokojnie, Coral — powiedziałem. — Nic ci nie grozi.

— Lewe Oko Węża! — krzyknęła Nayda. — Uwolnij mnie, o Bezkształtny, a oddam ci je!

Frakir tymczasem ostrzegła mnie, że nie wszystko dzieje się tak, jak powinno — na wypadek, gdybym sam nie zauważył.

— O co tu chodzi, do diabła! — wrzasnąłem.

Nayda poderwała się, skoczyła do mnie i z tą nienaturalną siłą demona wyrwała z ręki Klejnot Wszehmocy. Odepchnęła mnie i wypadła na korytarz.

Potknąłem się, odzyskałem równowagę.

— Zatrzymaj tę *ty'igę* — zawołałem. Ghostwheel z błyskiem przemknął obok mnie, a tuż za nim kule Mandora.

ROZDZIAŁ 10

Ja byłem następny w korytarzu. Skrzyłem w lewo i puściłem się biegiem. *Ty'iga* jest może szybka, ale ja także.

— Myślałem, że masz mnie bronić! — krzyknąłem za nią.

— To ma pierwszeństwo — odpowiedziała. — Nawet przed rozkazami twojej matki.

— Co? — Nie mogłem uwierzyć. — Matki?

— Narzuciła mi misję, by opiekować się tobą, kiedy wyjechałeś do szkoły — tłumaczyła w biegu. — To przełamało czar! Nareszcie wolna!

— Niech to diabli — podsumowałem.

Nagle, kiedy zbliżała się już do schodów, z przodu pojawił się Znak Logrusu — większy, niż kiedykolwiek przywołałem. Przesłaniał korytarz od ściany do ściany, wzburzony, rozpostarty, migający iskrami, wyciągający macki, otoczony czerwoną mgłą groźby. Taka manifestacja wymagała sporego tupetu tutaj, w Amberze, na terenie Wzorca. Dlatego wiedziałem, że stawka jest wysoka.

— Przyjmij mnie, Logrusie! — zawołała. — Niosę ci Oko Węża!

I Logrus rozchylił się przed nią, otworzył ognisty tunel w samym centrum. Skądś wiedziałem, że drugim końcem nie sięga do miejsca położonego dalej w tym korytarzu.

Wtedy jednak coś powstrzymało Naydę, jakby nagle trafiła na szklaną przegrodę. Zesztywniała wyprostowana. Trzy lśniące kule Mandora zaczęły orbitować wokół jej kataleptycznej postaci. Jakaś siła pchnęła mnie z tyłu i przewróciła na ścianę. Odruchowo zasłoniłem głowę ramieniem i obejrzałem się.

Wizerunek samego Wzorca, wielki jak Znak Logrusu, pojawił się właśnie niecały metr za mną i mniej więcej w równej jak Logrus odległości od Naydy. Jak w nawiasy ujęli damę, czy *ty'igę*, zamknęli między biegunami istnienia, jeśli można tak powiedzieć, przypadkiem ujmując również mnie. Obszar bliższy Wzorca rozjaśnił się jak słoneczny ranek, gdy przeciwny koniec przypominał posępny zmierzch. Czyżby chcieli na nowo odegrać Wielki Wybuch/Kolaps? Ze mną w roli przypadkowego i chwilowego świadka?

— Tego... Wasze Wysokości... — zacząłem. Czułem się w obowiązku przekonać ich, żeby zrezygnowali. Żałowałem, że nie jestem Lukiem, który byłby może do tego zdolny. — To idealny moment, by zatrudnić bezstronnego arbitra. Tak się składa, że mam wyjątkowe kwalifikacje. Musicie zauważyć...

Złocisty krąg, w którym poznałem Ghostwheela, opadł nagle nad głowę Naydy i wyciągnął się w rurę. Wsunął się w orbity kul Mandora i musiał się jakoś uodpornić na siły, które sobą reprezentowały — zwolniły bowiem, zakołysały się i wreszcie opadły na podłogę. Dwie uderzyły w ścianę przede mną, trzecia potoczyła się ze schodów na prawo.

Oba Znaki ruszyły ku sobie, a ja przesunąłem się szybko, by zachować dystans do Wzorca.

— Nie zbliżajcie się, koledzy — oznajmił nagle Ghostwheel. — Trudno przewidzieć, co zrobię, jeśli przez was stanę się jeszcze bardziej nerwowo niż w tej chwili.

Znaki Mocy zatrzymały się. Zza zakrętu korytarza usłyszałem pijacki głos, śpiewający jakąś sprośną piosenkę. To Droppa zbliżał się do nas. Nagle ucichł. Minęła długa chwila i zaczął *Rock of Ages*, ale głosem o wiele, wiele słabszym. Potem przerwał znowu, rozległ się głuchy łoskot i brzęk tłuczonego szkła.

Pomyślałem, że z tej odległości potrafię chyba sięgnąć myślą do Klejnotu. Nie byłem jednak pewien, co zdołam tym osiągnąć, zwłaszcza że żadna z czterech głównych postaci spektaklu nie była człowiekiem.

Poczułem muśnięcie atutowego kontaktu.

— Tak? — szepnąłem.

Odpowiedział mi głos Dworkina.

— Jeśli masz jakąś władzę nad tą rzeczą — powiedział — wykorzystaj ją, by Logrus nie zdobył Klejnotu.

W tej właśnie chwili z czerwonego tunelu zabrzmiał zgrzytliwy głos, z sylaby na sylabę zmieniający barwę i wysokość.

— Zwróć Oko Chaosu — zażądał. — Jednorożec odebrał je Wężowi, kiedy walczyli u zarania. Zostało skradzione. Zwróć je. Zwróć je.

Nie powróciło błękitne oblicze, jakie widziałem niedawno nad Wzorcem. Rozległ się za to głos, który wtedy słyszałem.

— Zapłacono za nie krwią i cierpieniem. Tytuł przeszedł w inne ręce.

— Klejnot Wszechmocy i Oko Chaosu, czy też Oko Węża, to różne nazwy tego samego kamienia? — upewniłem się.

— Tak — potwierdził Dworkin.

— Co się stanie, jeśli Wąż je odzyska?

— Prawdopodobnie skończy się wszechświat.

— Aha — mruknąłem.

— Co mi proponujecie w zamian? — zapytał Ghost.

— Bezczelna konstrukcja — zaintonował głos Wzorca.

— Impertynencki artefakt — zagrział Logrus.

— Darujcie sobie komplementy — odparł Ghost. — Zaproponujcie coś, na czym by mi zależało.

— Mogę ci go wydrzeć siłą — odpowiedział Wzorec.

— Mogę roznieść cię na części i zniszczyć je w jednej chwili — oznajmił Logrus.

— Ale tego nie zrobicie. Ponieważ taka koncentracja uwagi i energii odsłoniłaby każdego z was na atak drugiego.

W myślach usłyszałem chichot Dworkina.

— Wytłumaczcie, dlaczego musiało dojść do tej konfrontacji — mówił dalej Ghost. — Po tylu wiekach.

— Równowaga przechyliła się na moją niekorzyść w rezultacie niedawnych działań tego zdrajcy — wyjaśnił Logrus.

Ogień zapłonął mi nad głową, zapewne by wskazać, o jakim zdrajcy mowa.

Poczułem swąd palonych włosów i stłumiłem płomienie.

— Chwileczkę! — zawołałem. — Nie miałem żadnego wyboru!

— Pozwolono ci wybierać — zahuczał Logrus. — I wybrałeś!

— Tak uczynił — odpowiedział Wzorec. — Ale posłużyło to jedynie przywróceniu równowagi, którą wcześniej przechyliłeś na swoją korzyść.

— Przywróceniu! To nadmierna kompensacja! Teraz szala przechyliła się w twoją stronę! Poza tym przypadkiem wychylił ją w moją ojciec zdrajcy. — Znowu błysnęła kula ognia i znowu ją odbiłem. — To nie było moje dzieło.

— Na pewno wpłynąłeś na niego.

— Jeżeli zdołasz dostarczyć mi Klejnot — oświadczył Dworkin — usunę go poza zasięg ich obu. Dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona.

— Nie wiem, czy potrafię go odzyskać — odparłem. — Ale będę pamiętał.

— Oddaj je mnie — zwrócił się Logrus do Ghosta. — A wezmę cię ze sobą jako Pierwszego Sługę.

— Jesteś procesorem danych — rzekł Wzorzec. — Dam ci wiedzę, jakiej nie posiada nikt w Cieniu.

— Dam ci władzę — wtrącił Logrus.

— Nie jestem zainteresowany — stwierdził Ghost. Złocisty walec zawirował i zniknął.

Nie było Klejnotu, dziewczyny, niczego.

Logrus zahuczał, Wzorzec zawarczał, i oba znaki ruszyły, by spotkać się gdzieś w okolicy pierwszego pokoju Bleysa.

Rzuciłem wszelkie możliwe zaklęcia ochronne. Czułem, że z tyłu Mandor robi podobnie. Zasłoniłem głowę, podciągnąłem kolana pod brodę i...

Spadałem poprzez jaskrawą, bezgłośnie eksplozję. Uderzały we mnie odpryski gruzu. Z kilku stron. Miałem uczucie, że to koniec i że umrę, nie mając okazji podzielić się ze światem poglądami na naturę rzeczywistości: Wzorzec nie dbał o dzieci Amberu ani trochę bardziej niż Logrus o tych z Dworców Chaosu. Moce przejmowały się może sobą, przeciwnikiem, podstawowymi zasadami kosmosu, Jednorozcem i Wężem, których prawdopodobnie były geometrycznymi manifestacjami. Nie obchodziłem ich ja ani Coral, ani Mandor, pewnie nawet nie Oberon ani sam Dworkin. Byliśmy całkiem bez znaczenia, w najlepszym razie narzędzia, często irytujące przeszkody, do wykorzystania lub zniszczenia zależnie od sytuacji...

— Podaj mi rękę — odezwał się Dworkin.

Zobaczyłem go jak podczas połączenia przez Atut. Wyciągnąłem rękę i...

...upadłem ciężko u jego stóp, na kolorowy dywan rzucony na kamienną posadzkę, w komorze bez okien, jaką opisał mi kiedyś ojciec. Pełno tu było książek i egzotycznych obiektów; oświetlały to wszystko misy blasku, zawieszane w powietrzu bez żadnych widocznych podpór.

— Dzięki — mruknąłem. Wstałem wolno, otrzepałem się, potarłem obolałe lewe udo.

— Pochwyciłem ton twoich myśli — stwierdził Dworkin. — To jeszcze nie wszystko.

— Jestem pewien. Ale czasem lubię być tępakiem. Ile było prawdy w tym, co zarzucały sobie Moce?

— Och, wszystko. Z ich punktu widzenia. Najtrudniejsze do zrozumienia są ich interpretacje działań przeciwnika. A także to, że każde wyjaśnienie można cofnąć jeszcze o krok wstecz... Na przykład fakt, że pęknięcie Wzorca wzmocniło Logrus, do faktu, że Logrus prawdopodobnie zachęcił Branda do działania. Ale z kolei Logrus może twierdzić, że to odwet za Dzień Połamanych Gałęzi, kilkaset lat temu.

— Nie słyszałem o tym — przyznałem. Wzruszył ramionami.

— Nic dziwnego. Nie była to szczególnie ważna sprawa... jedynie dla nich. Próbuję ci wytłumaczyć, że w ten sposób tworzy się nieskończony ciąg, zmierzający aż do pierwszych przyczyn, a te nigdy nie są godne zaufania.

— Jakie więc istnieje rozwiązanie?

— Rozwiązanie? To nie jest lekcja. Nie ma rozwiązania, które miałyby jakieś znaczenie... Chyba że dla filozofa. To znaczy żadnego, które można by zastosować w praktyce.

Ze srebrnej butelki nalał mi mały kubek zielonego płynu.

— Wypij to — polecił.

— Trochę za wcześnie, jak dla mnie.

— To nie dla orzeźwienia. To lekarstwo — wyjaśnił. — Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jesteś w szoku.

Wlałem ciecz do gardła. Piekła jak alkohol, ale chyba go nie zawierała. W ciągu kilku minut poczułem, że się rozluźniam w miejscach, których nawet nie podejrzewałem o napięcie.

— Coral, Mandor... — zacząłem.

Skinął ręką. Opadła lśniaca kula, zbliżyła się. Rozpalił powietrze na wpół znajomym gestem i objęło mnie coś jakby Znak Logrusu bez Logrusu. Wewnątrz kuli pojawił się obraz.

Zniszczeniu uległa spora część korytarza, w którym doszło do starcia, razem ze schodami, pokojami Benedykta i możliwe, że również Gerarda. A także pokoje Bleysa, część moich i salonik, gdzie siedziałem jeszcze niedawno. Zniknął północno-wschodni róg biblioteki, podłoga i sufit. Poniżej widziałem, że ucierpiały też kuchnia i zbrojownia, może jeszcze coś po drugiej stronie. Spojrzałem w górę — magiczne kule wspaniale się akomodowały — i zobaczyłem niebo. To znaczy, że wybuch przebił drugie i trzecie piętro, być może uszkodził królewski apartament, schody na górze, niewykluczone, że również laboratorium i nie wiadomo co jeszcze.

Na skraju przepaści, w pobliżu czegoś, co niedawno było kwaterą Bleysa albo Gerarda, stał Mandor. Najwyraźniej złamał rękę i wsunął dłoń za swój szeroki czarny pas. Coral opierała się o jego lewe ramię; twarz miała pokrwawioną. Nie jestem pewien, czy była całkiem przytomna. Lewą ręką Mandor podtrzymywał ją w talii, a wokół obojga krążyła metalowa kula. Po przekątnej, z drugiej strony przepaści, na grubej poprzecznej belce niedaleko otworu w ścianie biblioteki, stał Random. Martin, o ile dobrze widziałem, stanął na stosie gruzu, z tyłu i trochę niżej. Wciąż trzymał swój saksofon. Random sprawiał wrażenie mocno zirytowanego i chyba coś krzyczał.

— Dźwięk! Dźwięk! — powiedziałem.

Dworkin machnął ręką.

— ...rzony Lord Chaosu rozwala mi pałac! — wrzeszczał Random.

— Kobieta odniosła rany, wasza wysokość — odpowiedział Mandor.

Random przesunął dłonią po twarzy. Potem spojrzał w górę.

— Jeśli jest jakiś prosty sposób, żeby przetransportować ją do mnie, to Vialle doskonale się orientuje w pewnych dziedzinach medycyny — oświadczył spokojniejszym głosem. — Ja zresztą też.

— Gdzie to jest, wasza wysokość?

Random wychylił się i wskazał w górę.

— Wygląda na to, że do wejścia drzwi nie będą ci potrzebne... Ale nie jestem pewien, czy przetrwało dość schodów, żeby się tam dostać. Ani gdzie można przejść, jeśli nawet zostało.

— Poradzę sobie — uspokoił go Mandor.

Nadleciały dwie dodatkowe kule i ustawiły się na dziwacznych orbitach wokół niego i Coral. Po chwili oboje wznieśli się w powietrze i popłynęli wolno w stronę wskazanego przez Randoma otworu.

— Zaraz tam będę! — krzyknął za nimi Random. Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale spojrzał na zniszczenia, opuścił głowę i odwrócił się. Zrobiłem to samo.

Dworkin podał mi kolejną dawkę zielonego lekarstwa. Wypiłem. Oprócz wszystkiego innego, działało też jak środek uspokajający.

— Muszę tam iść — oznajmiłem. — Lubię tę dziewczynę i chcę się upewnić, że nic jej nie grozi.

— Z pewnością mógłbym cię tam posłać — odparł Dworkin. — Chociaż nie mam pojęcia, co możesz dla niej zrobić takiego, czego nie zrobią inni. Być może rozsądniej spędziłbyś czas, poszukując tego sztucznego błędnego rycerza, Ghostwheela. Trzeba go przekonać, żeby zwrócił Klejnot Wszechnocy.

— Zgoda. Ale najpierw chcę zobaczyć Coral.

— Twoje przybycie doprowadzi do sporego opóźnienia, ponieważ zechcą poznać twoje wyjaśnienia.

— Nie obchodzi mnie to — stwierdziłem.

— Jak chcesz. Jedną chwileczkę.

Z haka w ścianie zdjął coś, co wyglądało jak różdżka w futerale. Zawiesił ją u pasa. Potem otworzył niewielką szafkę i z szuflady wyjął płaskie, wykładane skórą pudełko. Grzechotało metalicznie, kiedy wsuwał je do kieszeni. Mała szkatułka zniknęła w rękawie bez żadnego dźwięku.

— Chodź za mną — rzucił biorąc mnie za rękę.

Prowadził w najciemniejszy kąt pomieszczenia, gdzie wcześniej nie zauważyłem wysokiego lustro w niezwykłej ramie. Odbijało dość dziwnie: z odległości ukazywało nas i wnętrze z idealną czystością, ale im bardziej się do niego zbliżyliśmy, tym obrazy stawały się bardziej mgliste. Widziałem, że nadchodzi to, co ma nadejść. Mimo to drgnąłem, kiedy Dworkin — idący o krok przede mną — wstąpił w zamgloną powierzchnię i pociągnął mnie za sobą.

Potknąłem się i odzyskałem równowagę w zachowanej połowie zniszczonych królewskich apartamentów, przed dekoracyjnym zwierciadłem. Dworkin stał przede mną i wciąż trzymał mnie za rękę. Widziałem jego profil, który był w pewien sposób karykaturą mojego. Łoże przesunięto pod wschodnią ścianę, dalej od zburzonego rogu i wielkiej wyrwy w miejscu zajęтым kiedyś przez podłogę. Random i Vialle stali plecami do nas, pochyleni nad Coral. Leżała na kapie i chyba była nieprzytomna. Mandor siedział w fotelu u stóp łoża i pierwszy zauważył naszą obecność. Skinął nam głową.

— Jak... jak ona się czuje? — spytałem.

— Wstrząs — wyjaśnił. — I uszkodzenie prawego oka.

Random odwrócił się. Cokolwiek chciał mi powiedzieć, zamarło mu na wargach, gdy dostrzegł mojego towarzysza.

— Dworkin! — zawołał. — To już tak długo. Nie wiedziałem, czy jeszcze żyjesz. Czy... czy jesteś zdrowy?

Karzeł parsknął śmiechem.

— Rozumiem, o co ci chodzi, i jestem zdrow na umyśle — oznajmił. — A teraz zbadam tę damę.

— Oczywiście. — Random odsunął się.

— Merlinie — polecił Dworkin. — Sprawdź, czy uda ci się znaleźć to twoje urządzenie... Ghostwheela. Poproś, żeby zwrócił wypożyczony artefakt.

— Rozumiem. — Sięgnąłem po Atuty.

Po chwili podążałem już myślą coraz dalej, dalej...

— Dobrą chwilę temu wyczułem twoje zamiary, tato.

— Masz Klejnot czy nie?

— Tak. Właśnie z nim skończyłem.

— Skończyłeś?

— Skończyłem z niego korzystać.

— A w jaki sposób... korzystałeś?

— Jeśli dobrze cię zrozumiałem, transfer własnej jaźni przez kryształ powinien w pewnej mierze chronić przed Wzorcem. Zastanawiałem się, czy podziela to na istotę idealnie syntetyzowaną, taką jak ja.

— Ładna nazwa: idealnie syntetyzowana. Skąd ją wzięłeś?

— Sam wymyśliłem, kiedy szukałem najwłaściwszego określenia.

— Mam przecucie, że Klejnot cię odrzucił.

- Nie odrzucił.
- Naprawdę przebyłeś w nim całą drogę?
- Tak.
- I jaki wywarła efekt?
- Trudno to ocenić. Z pewnością zmieniła się moja percepcja. Nielatwo mi wyjaśnić...

Przemiana jest subtelna, na czymkolwiek by polegała.

- Fascynujące. Czy potrafisz na odległość przenieść świadomość do Klejnotu?
- Tak.
- Kiedy skończą się nasze kłopoty, muszę cię znowu przetestować.
- Chętnie się dowiem, co uległo zmianie.
- A tymczasem Klejnot jest nam potrzebny tutaj.
- Już przechodzę.

Powietrze zamigotało.

Ghostwheel zjawił się jako srebrny krążek, pośrodku którego lśnił Klejnot Wszechmocy. Zdjąłem go i zaniósłem Dworkinowi, który nawet na mnie nie spojrział, kiedy go odbierał. Zerknąłem na twarz Coral i natychmiast tego pożałowałem. Odwróciłem głowę.

Wróciłem do Ghosta.

- Gdzie Nayda? — spytałem.
- Nie jestem pewien — odparł. — Kiedy odebrałem jej Klejnot, poprosiła, żebym ją tam zostawił... Niedaleko kryształowej groty.

— Co robiła?

— Płakała.

— Dlaczego?

— Przypuszczam, że nie wypełniła żadnej ze swych życiowych misji. Miała cię ochraniać, chyba że jakiś zwariowany przypadek da jej szansę zdobycia Klejnotu. W takiej sytuacji pierwsza dyrektywa przestawała obowiązywać. I tak się stało, tylko że ja pozbawiłem ją kamienia. Teraz już nic jej nie wiąże.

— Powinna być szczęśliwa, że w końcu odzyskała wolność. Nie z własnego wyboru podjęła się obu tych zadań. Może wrócić do siebie i zająć się wszystkim tym, co robią beztrioskie demony za Krańcowym Murem.

— Niezupełnie, tato.

— Nie rozumiem.

— Ona chyba utknęła w tym ciele. Najwyraźniej nie może go zwyczajnie porzucić, jak to robiła z poprzednimi. Ma to jakiś związek z brakiem głównego lokatora.

— Hm... Przypuszczam, że mogłaby... no... zakończyć istnienie i w ten sposób się uwolnić.

— Proponowałem jej to. Nie jest pewna, czy to się uda. Może zginąć wraz z ciałem, skoro tak mocno jest z nim związana.

— Zatem wciąż przebywa w okolicach groty?

— Nie. Zachowała moc *ty'igi*, a to czyni ją w pewnym sensie istotą magiczną. Chyba odeszła gdzieś w Cień, kiedy ja eksperymentowałem w grocie z Klejnotem.

— Dlaczego w grocie?

— Przecież tam się chowasz, kiedy chcesz zrobić coś potajemnie.

— Fakt. W takim razie jak mogłem się z tobą połączyć?

— Właśnie skończyłem doświadczenie i wyszedłem. Szukałem jej, kiedy się odezwałeś.

— Myślę, że powinieneś wrócić i jeszcze trochę poszukać.

— Po co?

— Ponieważ mam wobec niej dług wdzięczności za przeszłe usługi... nawet jeśli zmusiła ją do tego moja matka.

— Oczywiście. Ale nie mam pewności, czy potrafię ją znaleźć. Istoty magiczne trudniej wysledzić niż materialne.

— Przynajmniej spróbuj. Chcę wiedzieć, dokąd trafiła i czy mogę coś dla niej zrobić. Może twoja nowa percepcja ułatwi ci zadanie.

— Zobaczmy — rzucił na pożegnanie i zniknął. Byłem załamany. Jak zareaguje Orkuz, myślałem. Jedna córka ranna, druga opętana przez demona i zagubiona w Cieniu. Podszedłem do łoża i oparłem się o fotel Mandora. Podniósł lewą rękę i ścisnął mnie za ramię.

— Pewnie w tym swoim świecie Cienia nie uczyłeś się nastawiania kości? — zapytał.

— Raczej nie.

— Szkoda — mruknął. — Muszę czekać na swoją kolej.

— Możemy przeatutować cię gdzieś, gdzie zajmą się tym od razu. — Sięgnąłem po karty.

— Nie. Chcę zobaczyć, jak sprawy potoczą się tutaj.

Rozmawiając zauważyłem, że Random dyskutuje z kimś przez Atut. Vialle stała obok, jakby osłaniała go przed otworem w ścianie i tym, co może się stamtąd wynurzyć. Dworkin nadal pracował nad twarzą Coral, własnym ciałem zasłaniając operację.

— Mandorze — zacząłem. — Wiedziałaś, że moja matka posłała *ty'igę*, żeby czuwała nade mną?

— Tak — potwierdził. — Demon mi to powiedział, kiedy wyszedłeś z pokoju. Część zaklęcia nie pozwalała ci tego zdradzić.

— Czy miała tylko mnie chronić, czy również szpiegowała?

— Tego nie wiem. Nie mówiliśmy o tym. Ale zauważ, że Dara słusznie się obawiała. Naprawdę groziło ci niebezpieczeństwo.

— Myślisz, że wiedziała o Luke'u i Jaszce?

Chciał wzruszyć ramionami, skrzywił się i zrezygnował.

— I znowu nie wiem tego na pewno. Gdyby tak było, nie potrafię odpowiedzieć również na następne pytanie: skąd wiedziała. Wystarczy?

— Wystarczy.

Random zakrył Atut, kończąc rozmowę. Potem odwrócił się i przez chwilę spoglądał na Vialle. Zdawało się, że chce jej coś powiedzieć, zastanowił się, odwrócił wzrok. Popatrzył na mnie. W tym momencie Coral jęknęła. Poderwałem się i przestałem go obserwować.

— Chwileczkę, Merlinie! — zawołał Random. — Zanim znów gdzieś pobiegiesz.

Spojrzałem mu w oczy. Trudno powiedzieć, czy był zagniewany, czy tylko ciekawy. Zmarszczone brwi i przymrużone oczy mogły sugerować jedno i drugie.

— Tak, sir?

Zbliżył się, chwycił mnie za łokieć i odciągnął od łoża. Poprowadził do drzwi sąsiedniego pokoju.

— Vialle, wypożyczam na chwilę twoją pracownię — oświadczył.

— Oczywiście — zgodziła się.

Random wprowadził mnie do środka i zamknął za nami drzwi. W drugim końcu pracowni leżało rozbite popiersie Gerarda. To, nad czym chyba pracowała obecnie — wielonogi morski potwór, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem — zajmował część roboczą po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Random odwrócił się nagle i spojrzał na mnie z uwagą.

— Czy orientujesz się w stosunkach begmańsko-kashfańskich? — zapytał.

— Mniej więcej — przytaknąłem. — Bili zrobił mi krótki wykład. Eregnor i w ogóle.

— Mówił ci, że chcemy wprowadzić Kashfę do Złotego Kręgu? I rozwiązać problem Eregnoru, uznając prawa Kashfy do tego regionu?

Nie spodobał mi się ton jego pytania. Nie chciałem pakować Billa w kłopoty. Kiedy rozmawialiśmy, ta sprawa była jeszcze tajemnicą. A więc...

— Obawiam się, że nie zapamiętałem wszystkich szczegółów.

— W każdym razie takie mieliśmy plany — stwierdził Random. — Na ogół nie udzielamy tego typu gwarancji... kiedy spełnia się żądania jednego kraju kosztem drugiego, z którym też mamy traktat. Ale Arkans, diuk Shadburne, w pewnym sensie trzymał nas na muszce. Dla naszych celów był najlepszym kandydatem na głowę państwa. Otworzyłem mu drogę do tronu, kiedy ta ruda suka nie mogła mu już przeszkodzić. Wiedział, że może mnie trochę przycisnąć... skoro ryzykuje, przyjmując koronę po podwójnej przerwie w linii sukcesji. Poprosił o Eregnor, więc mu go oddałem.

— Rozumiem — mruknąłem. — Wszystko z wyjątkiem tego, jaki to ma związek ze mną.

— Koronacja miała się odbyć dzisiaj. Właściwie zaraz miałem się przebrać i przeautować na uroczystość...

— Użyłeś czasu przeszłego — zauważyłem, by wypełnić jakoś ciszę.

— W samej rzeczy... w samej rzeczy... — wymruczał. Przeszedł kilka kroków, oparł stopę o rozbite posągi, zawrócił. — Dobry diuk jest teraz albo martwy, albo w więzieniu.

— I koronacji nie będzie? — odgadłem.

— *Au contraire* — odparł Random, wpatrując się we mnie z uwagą.

— Poddaję się. Powiedz, o co chodzi.

— Dzisiaj o świcie nastąpił przewrót.

— Pałacowy?

— Może też. Ale wsparty zewnętrzną siłą militarną.

— A co robił w tym czasie Benedykt?

— Wczoraj, tuż przed powrotem do domu, nakazałem mu wycofać żołnierzy. Sytuacja wydawała się ustabilizowana. A jednostki Amberu, stacjonujące w mieście podczas koronacji, nie robiłyby najlepszego wrażenia.

— To prawda — przyznałem. — A więc ktoś wszedł do miasta niemal w tej samej chwili, kiedy Benedykt się wycofał. Załatwił przyszłego króla, a miejscowe siły porządkowe nawet nie pomyślały, że to nieładnie?

Random wolno pokiwał głową.

— Mniej więcej tak. A teraz pomyśl, dlaczego było to możliwe?

— Może nie byli całkiem niezadowoleni z takiego rozwoju sytuacji?

Random uśmiechnął się i pstryknął palcami.

— Brawo — pochwalił. — Można by pomyśleć, że wiedziałeś, co ma się zdarzyć.

— I można by się przy tym pomylić — odparłem.

— Dzisiaj twój były szkolny kolega, Lukas Raynard, zostanie Rinaldem I, królem Kashfy.

— Niech mnie licho! Nie miałem pojęcia, że zależy mu na tym stanowisku. I co masz zamiar zrobić?

— Chyba daruję sobie udział w koronacji.

— Chodziło mi o bardziej długoterminowe plany.

Random westchnął i odwrócił się, kopiając gruz.

— Chcesz wiedzieć, czy wyślę tam Benedykta, żeby odebrał mu władzę?

— Krótko mówiąc: tak.

— To by fatalnie wpłynęło na naszą opinię. To, czego dokonał Luke, nie odbiega zbyt od tej romantycznej wizji polityki, jaką uprawia się w tym regionie. Wkroczyliśmy, żeby pomóc w

rozwiązaniu problemu, który bardzo szybko prowadził do całkowitego chaosu. Moglibyśmy wrócić i spróbować jeszcze raz, gdyby chodziło o pucz jakiegoś zwariowanego generała albo arystokraty z iluzją własnej wielkości. Ale Luke ma prawa do tronu, o wiele silniejsze niż Shadburne. Jest też popularny, młody i umie się pokazać. W przeciwieństwie do poprzedniej interwencji, tym razem nie mamy pretekstu. Mimo to byłem już skłonny zaryzykować opinię agresora, żeby nie dopuścić do władzy syna tej krwiożerczej dziwki. A wtedy mój człowiek w Kashfie donosi, że Vialle wzięła go pod opiekę. Spytałem ją. Twierdzi, że to prawda i że ty przy tym byłeś. Wytłumaczy mi, jak tylko zakończy się operacja. Dworkin może potrzebować jej empatycznych uzdolnień. Ale ja nie mogę czekać. Powiedz, jak do tego doszło.

— Ale najpierw ty mi coś powiedz.

— To znaczy?

— Jaka armia wyniosła Luke'a do władzy?

— Najemnicy.

— Delta?

— Tak.

— W porządku. Luke odwołał wendetę przeciwko rodowi Amber — oznajmiłem. — Zrobił to z własnej woli, po rozmowie z Vialle. Wczoraj w nocy. Wtedy dała mu pierścień. Uznałem, że próbuje go uchronić przez Julianem, jako że wybieraliśmy się właśnie do Ardeny.

— W związku z tak zwanym ultimatum Delta, dotyczącym Luke'a i Jasry?

— Zgadza się. Nie przyszło mi do głowy, że to podstęp, żeby Luke i Dalt mogli się spotkać i dokonać przewrotu. To by znaczyło, że nawet pojedynek był udawany... Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, to rzeczywiście, Luke i Dalt mieli okazję porozmawiać przed walką.

Random uniósł dłoń.

— Zaczekaj — rzucił. — Wróć i opowiedz mi wszystko od początku.

— Dobrze.

I tak zrobiłem. Zanim skończyłem, obaj niezliczoną ilość razy okrążyliśmy pracownię.

— Wiesz... — mruknął. — Cała ta sprawa wygląda, jakby Jasra wszystko zaplanowała... Zanim jeszcze rozpoczęła karierę w roli mebla.

— Przyszło mi to do głowy — zgodziłem się w nadziei, że nie będzie wypytywał o jej obecne położenie. A im dłużej myślałem o jej reakcji na wiadomości o Luke'u, zaraz po naszym ataku na Twierdzę, tym bardziej nabierałem przekonania, że nie tylko wiedziała, co się dzieje, ale też kontaktowała się z Lukiem później niż ja.

— Ładnie to załatwili — przyznał Random. — Dalt musiał wykonywać wcześniejsze rozkazy. Nie wiedział, jak ściągnąć Luke'a ani jak odszukać Jasrę, by otrzymać nowe polecenia. Zaryzykował ten szturm na Amber. Benedykt mógł przecież znowu go rozbić, równie skutecznie albo nawet lepiej niż poprzednio.

— Fakt. Trzeba przyznać, że nie brakuje mu tupetu. To również oznacza, że Luke musiał szybko myśleć i podczas krótkiej rozmowy w Ardenie zaplanował tę sfingowaną walkę. To on wydawał rozkazy, a my uwierzyliśmy, że jest więźniem. Dzięki temu nie podejrzewaliśmy nawet, że zagrozi Kashfie... Chociaż taki właśnie miał zamiar. Można tak tłumaczyć wypadki.

— A można je tłumaczyć inaczej?

— Sam powiedziałaś, że nie bez podstaw żąda tronu. Co zamierzasz?

Random rozmasował skronie.

— Wyjazd tam i przeszkodzenie w koronacji byłoby posunięciem wyjątkowo niepopularnym — uznał. — Przede wszystkim jednak jestem ciekawy. Mówiłaś, że ten chłopak jest wielkim kanciarzem. Czy oszustwem skłonił Vialle, by wzięła go pod opiekę?

— Nie, na pewno nie — zapewniłem. — Jej gest zaskoczył go równie mocno jak mnie. Odwołał wendetę, ponieważ uznał, że pomścił honor ojca, że był wykorzystywany przez matkę, a także z przyjaźni dla mnie. Zrobił to bez żadnych dodatkowych warunków. Sądzę, że dała mu pierścień, aby wendeta skończyła się naprawdę i nikt z nas nie zaczął na niego polować.

— To do niej podobne — przyznał Random. — Gdybym był przekonany, że jakoś ją wykorzystał, załatwiłbym go osobiście. Ale nieumyślnie postawił mnie w niezręcznej sytuacji, więc jakoś to przeżyję. Wystawiam Arkansa na tron, a w ostatniej chwili obala go ktoś, kogo wzięła w opiekę moja żona... To wygląda niemal, jakby trwały jakieś spory tutaj, w centrum wszystkich rzeczy. Nie chciałbym sprawiać takiego wrażenia.

— Mam przecucie, że Luke będzie nam przychylny. Znam go dobrze i wiem, że rozumie takie niuanse. Sądzę, że Amberowi łatwo będzie nawiązać z nim stosunki na wszystkich poziomach.

— Jestem pewien. Dlaczego by nie?

— Nie ma żadnych powodów — przyznałem. — A co się stanie z tym traktatem?

Random uśmiechnął się.

— Nic mnie już nie wiąże. Te eregnorskie przywileje i tak mi się nie podobały. Teraz, kiedy nie ma żadnego traktatu, możemy zacząć *ab initio*. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle warto coś podpisywać. Do diabła z traktatami.

— Założę się, że Arkans żyje — oświadczyłem.

— Myślisz, że Luke trzyma go jako zakładnika? Gdybym nie chciał im przyznać statusu Złotego Kręgu?

Wzruszyłem ramionami.

— Jak bardzo zależy ci na Arkansie?

— No cóż, to ja go wystawiłem i chyba jestem mu coś winien. Ale nie aż tak wiele.

— To zrozumiałe.

— Amber straciłby twarz, gdybym w takim okresie szukał porozumienia z drugorzędnym mocarstwem typu Kashfy.

— Istotnie — przyznałem. — A poza tym Luke nie jest jeszcze oficjalnie głową państwa.

— Jednak gdyby nie ja, Arkans nadal cieszyłby się życiem w swojej posiadłości. A Luke chyba rzeczywiście jest twoim przyjacielem... niezbyt szczerym, ale przyjacielem.

— I chciałbyś, żebym o tym wspomniał przy najbliższej dyskusji o atomowej rzeźbie Tony'ego Price'a?

Skinął głową.

— Sądzę, że jak najszybciej powinniście się spotkać i pomówić o sztuce. Właściwie nawet nie byłoby całkiem nie na miejscu, gdybyś wziął udział w koronacji przyjaciela... jako osoba prywatna. Twoje podwójne dziedzictwo bardzo się przyda, a on poczuje się uhonorowany.

— Mimo to z pewnością będzie chciał traktatu.

— Nawet jeśli się zgodzimy, na pewno nie udzielimy gwarancji w sprawie Eregnoru.

— Rozumiem.

— Nie jesteś upoważniony do składania żadnych obietnic.

— To także rozumiem.

— Więc może trochę się umyjesz i porozmawiasz z nim? Twój pokój jest zaraz za przepaścią. Możesz wyjść przez dziurę w ścianie i zjechać po tej belce. Zauważyłem, że jest cała.

— Zgoda, tak zrobię. — Ruszyłem w tamtą stronę. — Ale mam jeszcze jedno pytanie, zupełnie nie na temat.

— Tak?

— Czy ojciec pojawiał się ostatnio?

— Nic o tym nie wiem. — Wolno pokręcił głową. — Oczywiście, jeśli chcemy, wszyscy potrafimy maskować nasze przybycia i odejścia. Ale sądzę, że dałby mi znać, gdyby znalazł się w okolicy.

— Chyba tak — przyznałem. Odwróciłem się i wyszedłem przez ścianę, omijając przepaść.

ROZDZIAŁ 11

Nie.

Zawisłem na belce, rozhuštałem się i puściłem. Wylądowałem niemal z wdziękiem pośrodku korytarza, w miejscu, które znajdowałyby się mniej więcej pośrodku między parą moich drzwi. Tyle że pierwsze zniknęły, a wraz z nimi fragment ściany, w której otwierały wejście (albo wyjście, zależnie od tego, po której stronie akurat znalazł się człowiek). Nie wspominam nawet o moim ulubionym fotelu i gablotce, gdzie trzymałem muszle zebrane na plażach całego świata. Szkoda.

Przetarłem oczy i odwróciłem się, gdyż w tej chwili nawet widok zrujnowanego mieszkania nie był aż taki ważny. Do licha, miewałem już zrujnowane mieszkania. Zwykle w okolicach trzydziestego kwietnia...

Jak w Niagarze, odwróciłem się powoli...

Nie.

Tak.

Po drugiej stronie, naprzeciw moich pokojów, gdzie wcześniej widziałem tylko ślepą ścianę, był teraz korytarz biegnący na północ. Dostrzegłem jego lśnienie, kiedy spadałem z mojej belki. Zdumiewające. Bogowie znowu zmienili tempo i rytm. Byłem już kiedyś w tym korytarzu, w jednej z jego najczęściej spotykanych lokalizacji — na trzecim piętrze, w linii wschód–zachód pomiędzy dwoma magazynami. Jedna z najciekawszych anomalii Zamku Amber, Galeria Luster, nie tylko wydawała się dłuższa w jednym kierunku niż w przeciwnym, ale też mieściła w sobie niezliczone lustra. Dosłownie niezliczone. Ktokolwiek próbował je liczyć, nigdy dwa razy nie otrzymał tego samego wyniku. Świece płoną tam wysoko, a stojące lichterze rzucają nieskończone cienie. Są tam wielkie lustra, małe lusterka, wąskie lustra, szerokie lustra, kolorowe lustra, krzywe lustra, lustra w ozdobnych ramach — odlewanych albo rzeźbionych, proste lustra w zwyczajnych ramach i lustra bez żadnych ram. Są lustra we wszelkich kanciastych kształtach geometrii, lustra bezkształtne i lustra zaokrąglone.

Kilka razy przechodziłem przez Galerię Luster, wdychając aromaty perfumowanych świec, czasem pośród obrazów wyczuwając podświadomie obecność rzeczy, które znikają, gdy zwracam na nie uwagę. Odbierałem mieszane czary tego miejsca, ale jakoś nigdy nie zbudziłem śpiącego w nim ducha. Tym lepiej. Nigdy nie wiadomo, czego można oczekiwać w tym korytarzu... tak przynajmniej powiedział mi kiedyś Bleys. Nie był pewien, czy zwierciadła przerzucają widza w jakieś nieznane obszary Cienia, hipnotyzują go i wywołują przedziwne stany senne, przenoszą w regiony czysto symboliczne i zastawione meblami psyche, rozgrywają groźne albo nieszkodliwe zabawy z umysłem patrzącego, żadne z powyższych, wszystkie powyższe, niektóre z powyższych. W każdym razie nie było to całkiem bezpieczne, jako że czasem znajdowano na tym migotliwym szlaku martwych złodziei, służących albo gości, często z bardzo dziwnym wyrazem na twarzy. I zwykle w okolicy przesilenia i zrównania dnia z nocą — choć mogło to nastąpić w dowolnej porze — Galeria przenosiła się w inne miejsce, a niekiedy po prostu znikła na jakiś czas. Na ogół traktowano ją podejrzliwie i unikano, choć równie często potrafiła nagrodzić jak zranić, ukazać pożyteczną wróżbę czy omen tak samo łatwo, jak dostarczyć nieprzyjemnych wrażeń. To właśnie ta niepewność wzbudzała lęki.

A czasem... tak słyszałem... zachowywała się, jakby szukała konkretnej osoby, by przekazać jej swe dwuznaczne dary. W takich wypadkach podobno bardziej niebezpiecznie było jej odmówić niż przyjąć zaproszenie.

— Daj spokój — mruknąłem. — Teraz?

Cienie tańczyły na całej jej długości; pochwyciłem uderzający do głowy aromat świec. Podszedłem bliżej. Wsunąłem lewą rękę za róg i poklepałem ścianę. Frakir nie drgnęła.

— To ja, Merlin — powiedziałem. — I w tej chwili jestem trochę zajęty. Czy na pewno nie chcesz odbijać kogoś innego?

Najbliższy płomień na moment stał się ognistą ręką, która skinęła na mnie.

— Cholera — szepnąłem i ruszyłem przed siebie.

Kiedy wkroczyłem, nie dostrzegłem żadnej przemiany. Długi chodnik w czerwony deseń zakrywał podłogę, drobinki kurzu fruwały w blasku świec. W najrozmaitszych wersjach istniałem obok siebie, migoczące płomyki arlekinizowały mój strój i przekształcały twarz wśród tańca cieni.

Błysk.

Przez sekundę zdawało mi się, że z niewielkiego, wąskiego owalu w metalowej ramie spojrzę surowe oblicze Oberona... Złudzenie optyczne albo cień jego poległej królewskiej wysokości.

Błysk.

Przysiągłbym, że zezwierzęcony wizerunek mojej twarzy z wywieszonym jęczorem wyjrzał na mnie z rzęciowego prostokąta w oprawie z ceramicznych kwiatów. Uczłowieczyła się, gdy spojrziałem... szybko, by ze mnie zadrwić.

Dalej. Stłumione kroki. Trochę ciężki oddech. Zastanawiałem się, czy nie przywołać logrusowego wzroku, a może nawet sprawdzić Wzorzec. Wołałem tego nie robić, gdyż zbyt świeże były jeszcze wspomnienia mniej przyjemnych aspektów obu Mocy. Nie miałem wątpliwości, że coś mi się przydarzy.

Przystanąłem i spojrziałem w lustro, które uznałem za przeznaczone dla mnie — oprawne w czarny metal, inkrustowany srebrnymi znakami sztuk magicznych. Szkło było mętne, jakby tuż za zasięgiem wzroku duchy pływały w jego głębi. Moja twarz wyglądała na szczuplejszą, z głębiej wyrytymi zmarszczkami, a wokół głowy w lustrze migotała jakby najdelikatniejsza fioletowa aureola. Był w tym wizerunku jakiś chłód, może groźba... Ale nic się nie stało, choć patrzyłem długo. Żadnych wiadomości, objawień, przemian. Co więcej, im dłużej się przyglądałem, tym bardziej obcość rysów wydawała się tylko złudzeniem.

Ruszyłem dalej, obok obrazów nieziemskich pejzaży, przedziwnych stworzeń, scen historycznych i pojedynczych ujęć zmarłych przyjaciół i krewnych. Coś wyciągnęło ku mnie szpony z głębin. Pomachałem w odpowiedzi. Niedawno przeżyłem wędrowkę po krainie między cieniami, więc te manifestacje niesamowitości i możliwych zagrożeń nie budziły we mnie lęku, choć w innych okolicznościach byłbym pewnie mocno przestraszony. Pochwyciłem chyba wizję człowieka na szubienicy; ze związanymi z tyłu rękami kołysał się na wietrze pod niebem El Greca.

— Mam za sobą kilka ciężkich dni — powiedziałem głośno. — I nie sądzę, żeby już się skończyły. Trochę mi się spieszy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Coś uderzyło mnie w prawą nerkę. Odwróciłem się, ale z tyłu nie było nikogo. Potem ręka opadła mi na ramię i szarpnęła. Nie stawiałem oporu. Nadal nikogo.

— Przepraszam — rzuciłem. — Skoro prawda tego wymaga.

Niewidzialne ręce popychały mnie i ciągnęły, przesuwając obok kilku atrakcyjnych zwierciadeł. Trafiłem w końcu przed tanię z wyglądu lustro w ciemnych drewnianych ramach. Mogłoby pochodzić ze sklepu ze starzyzną. W okolicy mojego lewego oka zauważyłem drobną skazę na szkle. Siły, które doprowadziły mnie tutaj, teraz się wycofały. Pomyślałem, że może nie szarpały mną złośliwie, ale na moją własną prośbę chciały przyspieszyć bieg spraw.

— Dziękuję! — zawołałem na wszelki wypadek i patrzyłem.

Przesunąłem głowę do tyłu, do przodu i na boki, uzyskując fałowanie odbicia. Powtórzyłem zabieg, czekając, co z tego wyniknie.

Moje odbicie nie uległo zmianie, ale po trzeciej czy czwartej fali zmieniło się tło. Za mną nie było już ściany słabo oświetlonych lusterek. Odplynęła i nie powróciła z kolejnym nawrotem. W jej miejscu wyrosła kępa ciemnych krzewów pod wieczornym niebem. Jeszcze kilka razy poruszyłem głowę, ale zmarszczki na lustrze zniknęły. Krzewy sprawiały wrażenie rzeczywistych, choć kątem oka widziałem, że korytarz ciągnie się nadal po obu stronach i nic nie zasłania prawej ściany.

Przyglądałem się pozornemu odbiciu, szukając wróżb, omenów, znaków czy choćby jakiegoś ruchu. Nie dostrzegłem żadnej z tych rzeczy, choć obraz miał rzeczywistą głębię. Czułem niemal na karku powiew chłodnego wiatru. Przez kilka minut musiałem się tak wpatrywać i czekać, czy lustro pokaże coś nowego. Ale nie pokazało. Jeśli to wszystko, co może mi zaproponować, pomyślałem, to pora ruszać dalej.

Coś drgnęło w krzakach za plecami i zareagowałem odruchowo: odwróciłem się natychmiast, unosząc ręce.

Zobaczyłem, że to tylko wiatr poruszył gałęziami. I wtedy zrozumiałem, że nie jestem już w Galerii. Odwróciłem się znowu. Lustro zniknęło, wraz z całą ścianą. Stałem przed niskim wzniesieniem z linią wyszczerbionego muru na szczycie. Za nim migotało jakieś światło. Ciekawy i wreszcie świadomy celu, powoli zacząłem się wspinać. Byłem ostrożny.

Tymczasem pociemniało niebo. Było bezchmurne, a roje gwiazd płonęły w nieznajomych konstelacjach. Skradałem się przez kamienie, trawy, krzaki i gruzy. Zza porośniętego winoroślą muru słyszałem dźwięk głosów. Chociaż nie rozróżniałem słów, byłem pewien, że to rozmowa, a raczej rozgardiasz — jakby kilka osób różnej płci i wieku równocześnie wygłaszało monologi.

Wyciągałem przed siebie ręce, zbliżając się do szczytu. Wreszcie dotknęły szorstkiej powierzchni. Postanowiłem nie obchodzić muru dla sprawdzenia, co dzieje się po drugiej stronie. Stałbym się może widoczny dla nie wiadomo czego. Prościej będzie sięgnąć jak najwyżej, chwycić krawędź najbliższej wyrwy i podciągnąć się. Tak też zrobiłem. Przed szczytem znalazłem nawet oparcie dla nóg, dzięki czemu ręce nie męczyły się tak szybko.

Ostrożnie podciągnąłem się ostatnie kilka centymetrów i ponad splekanymi kamieniami spojrzałem w dół, do wnętrza zrujnowanej budowli. Przypominała kościół. Strop runął, ale ściana naprzeciw stała jeszcze, choć w stanie podobnym do tej, na której wisiałem. Ołtarz rozpadał się na podwyższeniu po prawej stronie. Cokolwiek się tu zdarzyło, musiało nastąpić dawno temu, ponieważ krzewy i winorośle rosły wewnątrz tak samo jak na zewnątrz, zmiękczając linie rozbitych ław, zwałonych kolumn i szczątków dachu.

Pode mną, na wygładzonym gruncie, ktoś wyrysował wielki pentagram. Na wierzchołkach gwiazdy stały postacie zwrócone plecami do środka. W punktach przecięcia linii płonęły wbite w ziemię pochodnie. Uznałem to za dość dziwną odmianę znajomych mi rytuałów. Zastanowiłem się, kogo próbują wezwać, dlaczego cała piątka nie jest lepiej chroniona i czemu nie działają wspólnie. Każde z nich najwyraźniej ignorowało pozostałych i samodzielnie próbowało przywołania. Trójka, którą widziałem wyraźnie, stała do mnie plecami. Dwójka zwrócona przodem ledwie mieściła się w polu widzenia, a cienie okrywały im twarze. Niektóre głosy były męskie, inne żeńskie. Jeden śpiewał, dwa intonowały, pozostałe dwa tylko mówiły, choć scenicznym, nienaturalnym tonem.

Podciągnąłem się wyżej, by zobaczyć twarze bliższej pary. Przede wszystkim dlatego, że coś w tym zgromadzeniu wydało mi się znajome. Czułem, że jeśli rozpoznam jedną osobę, zdołam może odgadnąć tożsamość pozostałych.

Następne pytanie z listy brzmiało: co przywołują? Jeśli pojawi się coś groźnego, czy będę bezpieczny za murem, tak blisko całej operacji? Nie byłem pewien, czy ci na dole ustawili konieczne bariery. Wspiąłem się jeszcze wyżej. Czułem, jak przesuwa się mój środek ciężkości. Widok uległ dalszej poprawie... I nagle zauważyłem, że bez żadnego wysiłku posuwam się przed

siebie. Natychmiast zrozumiałem, że mur pada, niosąc mnie w przód i w dół, w sam środek tego pentagramu. Spróbowałem odepchnąć się od ściany w nadziei, że wyląduję z przewrotem i rzucę się do ucieczki. Ale było już za późno. Nerwowa pompka wyniosła mnie w powietrze, ale nie wyhamowała pędu.

Nikt w dole nawet nie drgnął, choć wokół padały kamienie. Spadając pochwyciłem w końcu pierwsze zrozumiałe słowa.

— ...wzywam cię, Merlinie, byś znalazł się teraz w mojej mocy — śpiewała jedna z kobiet.

Bardzo skuteczny rytuał, uznałem, lądując w centrum pentagramu na plecach, z rękami rozrzuconymi na boki i nogami w rozkroku. Zdażyłem się schylić, chroniąc głowę, a uderzenie ramion wyhamowało upadek. Dzięki temu wstrząs nie był zbyt silny. Przez kilka sekund wokół mnie tańczyło pięć ognistych drzew, zaraz jednak przygasły do spokojnego blasku. Pięć postaci nadal stało twarzami na zewnątrz. Spróbowałem wstać i przekonałem się, że nie mogę. Jak gdyby ktoś mnie zakuł w tej pozycji. Frakir ostrzegła mnie zbyt późno, gdy już spadałem. Teraz nie byłem pewien, jak ją wykorzystać. Mógłbym posłać ją do którejkolwiek z tych figur, by przedostała się wyżej i zaczęła dusić. Ale na razie nie miałem pojęcia, która z nich, jeśli w ogóle któraś, zasługuje na takie traktowanie.

— Przepraszam, że wpadłem bez uprzedzenia — powiedziałem. — Widzę, że to prywatne przyjęcie. Jeśli ktoś zechciałby mnie uwolnić, wyniosę się natychmiast...

Postać stojąca w okolicy mojej lewej stopy wykonała w tył zwrot i spojrzała na mnie z góry. Nosila błękitną szatę, ale nie kryła pod maską zaczerwienionej od ognia twarzy. Nosila na niej jedynie lekki uśmiezek, który znikł, gdy oblizła wargi. To była Julia, a w prawej dłoni trzymała nóż.

— Mądrała jak zawsze — rzekła. — W każdej sytuacji ma gotową bezczelną odpowiedź. To przykrywką dla twojej niechęci, by poświęcić się cemukolwiek i komukolwiek. Nawet tym, którzy cię kochają.

— A może to poczucie humoru — zasugerowałem. — Zaczynam sobie uświadamiać, że zawsze ci go brakowało.

Wolno pokręciła głową.

— Trzymasz wszystkich na odległość ramienia. Nie ma w tobie ufności.

— Cecha rodzinna. Ale ostrożność nie wyklucza sympatii.

Zaczęła wznosić ostrze, ale zawahała się przez moment.

— Chcesz powiedzieć, że wciąż ci na mnie zależy? — spytała.

— Nigdy nie przestało — zapewniłem. — Po prostu żądałaś zbyt wiele i zbyt szybko. Więcej, niż chciałem wtedy ofiarować.

— Kłamiesz — stwierdziła. — Ponieważ twoje życie jest w moim ręku.

— Znam gorsze powody kłamstwa — odparłem. — Ale tak się nieszczęśliwie składa, że mówię prawdę.

Wtedy zabrzmiał inny znajomy głos, z prawej strony.

— Za wcześniej, byśmy mówili o takich sprawach — powiedziała. — Ale zazdroścę jej twojego uczucia.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na postać, teraz stojącą przodem. To była Coral, z przepaską na prawym oku. Ona także trzymała nóż w prawej ręce. I wtedy zobaczyłem lewą dłoń... Zerknąłem na Julię. Obie prócz noży miały widelce.

— *Et tu* — mruknąłem.

— Mówiłam ci już, że nie znam angielskiego — przypomniała Coral.

— Właśnie tu — rzekła Julia, unosząc sztucę. — Kto powiedział, że nie mam poczucia humoru?

Próbowały opluć się nawzajem nade mną, i nie cała ślina pokonała tę odległość.

Pomyślałem, że Luke doprowadziłby pewnie do zgody, oświadczając się z miejsca im obu. Ale miałem przecucie, że mnie by się to nie udało. Dlatego nawet nie próbowałem.

— To obiektywizacja neurozy małżeńskiej — oświadczyłem. — Iluzja projektywna. Realistyczny sen. To...

Julia przyklękła na jedno kolano i z rozmachem opuściła rękę. Poczułem, że ostrze wbija mi się w lewe udo.

Mój wrzask urwał się nagle, kiedy Coral wbiła widelec w moje prawe ramię.

— To idiotyczne! — krzyknąłem, gdy błysnęły pozostałe sztucce i poczułem nowe ukłucia bólu.

Wtedy postać na ramieniu gwiazdy przy mojej prawej nodze odwróciła się wolno i z gracją. Okrywał ją ciemnobrązowy płaszcz z żółtym obszyciem; skrzyżowała przed sobą ramiona, osłaniając się nim aż po oczy.

— Przestańcie, suki! — rozkazała. Rozsuwając płaszcz, najbardziej przypominała motyla żałobnika. Była to naturalnie Dara, moja matka.

Julia i Coral podniosły już widelec do ust i coś przeżuwały. Na wardze Julii pojawiła się kropelka krwi. Płaszcz spływał z palców mamy jakby był żywy, jakby był częścią niej. Te skrzydła zupełnie zasłoniły Julię i Coral. Mama coraz szerzej rozkładała ramiona, a płaszcz opadł na nie obie i odepchnął do tyłu. Stały się tylko wzgórkami rozmiaru człowieka, a potem małały, małały, i w końcu okrycie znowu spłynęło naturalnie, a ich już nie było na ramionach gwiazdy.

Z lewej strony usłyszałem ciche klaskanie, a zaraz potem chrapliwy śmiech.

— Znakomicie wykonane. — Głos był boleśnie znajomy. — Ale w końcu zawsze jego najbardziej lubiłaś.

— Bardziej — poprawiła.

— Czy biedny Despil nie ma żadnych szans?

— Jesteś niesprawiedliwy.

— Tego szalonego księcia Amberu kochałaś mocniej niż kiedykolwiek naszego ojca, porządnego człowieka — oskarżył ją. — Dlatego Merlin zawsze był twoim pieszczołkiem.

— Sam wiesz, Jurt, że to nieprawda — odparła.

Roześmiał się znowu.

— Przywołałiśmy go wszyscy, bo wszyscy chcemy go dostać — stwierdził. — Chociaż z różnych powodów. Ale w końcu nasze pragnienia prowadzą do tego samego, prawda?

Usłyszałem warczenie i odwracając głowę zdążyłem zobaczyć, jak jego twarz po krzywej wznoszącej przemieszcza się w stronę wilka. Wydłużył się pysk i błysnęły kły, gdy opadł na cztery łapy i ugryzł mnie w ramię, zyskując krwisty posmak mojej osoby.

— Przestań! — krzyknęła. — Ty mały potworze!

Uniósł łeb i zawył. Przypominało to wycie kojota, rodzaj obłąkanego chichotu.

Czarny but kopnął go w bark, przewrócił na grzbiet i posłał na zderzenie z całym jeszcze fragmentem muru, który posłusznie zawalił się właśnie teraz. Wilk zaskowyczał tylko, nim całkowicie przysypały go gruzy.

— Coś podobnego... — usłyszałem głos Dary. Zauważyłem, że również trzyma nóż i widelec. — Co robi w tym miejscu taki sukinsyn jak ty?

— Ochrania przed ostatnim z drapieźców — odparł głos, który kiedyś opowiadał mi bardzo długą historię, zawierającą liczne wersje wypadku drogowego i serię genealogicznych gaf.

Skoczyła na mnie, ale on pochylił się, złapał mnie pod ramiona i odciągnął na bok. A potem jego szeroki czarny płaszcz zawirował jak muleta matadora, okrywając Darę. I jak wcześniej Coral i Julia, tak teraz ona jakby wtopiła się w grunt. Postawił mnie na nogach, podniósł i strzepnął

płaszcz. Kiedy zapinał klamrę ze srebrną różą, przyglądałem się uważnie, szukając klów, a przynajmniej sztućców.

— Czworo z pięciorga — stwierdziłem, otrzepując ubranie. — Nieważne, jak rzeczywista wydaje się ta scena... Jestem przekonany, że służy tylko dla analogii, a może analizy. Jak to się stało, że nie masz w tym miejscu ludożerczych skłonności?

— Musisz pamiętać — odrzekł, naciągając srebrną rękawicę — że nigdy nie byłem dla ciebie prawdziwym ojcem. To trochę trudne, kiedy się nie wie o istnieniu dzieciaka. Dlatego nic właściwie od ciebie nie chcę.

— Ten miecz u twojego boku wygląda na Grayswandira — zauważyłem.

Kiwnął głową.

— Zdaje się, że dobrze ci służył — odpowiedział.

— Powiniennem ci chyba podziękować. Pewnie nie ciebie należy pytać, czy przeniosłeś mnie z jaskini do krainy pomiędzy cieniami.

— Tak, to byłem ja.

— Wiedziałem, że to powiesz.

— Czemu miałbym mówić, gdyby to nie była prawda? Uważaj! Ściana!

Obejrzałem się szybko. Kolejny fragment muru padał w naszą stronę.

Pchnął mnie, a ja znów rozciągnąłem się na pentagramie. Usłyszałem padające kamienie, uniosłem się i rzuciłem dalej do przodu.

Coś uderzyło mnie w skroń.

* * *

Obudziłem się w Galerii Luster. Leżałem twarzą ku ziemi, z głową opartą na przedramieniu, w dłoni ścisnąłem prostokątną kamienną płytkę, a wokół unosił się zapach świec. Spróbowałem się podnieść i natychmiast poczułem ból w ramionach i lewym udzie. Wprawdzie nic więcej nie świadczyło o realności ostatniej przygody, ale nawet takich dowodów nie mogłem lekceważyć.

Wstałem i pokuśtykałem w stronę moich pokojów.

— Gdzie się podziałeś?! — zawołał z góry Random.

— Co? Nie rozumiem.

— Zawróciłeś korytarzem, ale tam przecież niczego nie ma.

— Długo mnie nie było?

— Może z pół minuty.

Pomachałem do niego kamieniem.

— Zauważyłem to na podłodze. Chciałem zobaczyć, co to jest — wyjaśniłem.

— Pewnie spadł tam, kiedy spotkały się Moce — stwierdził. — Ze ściany. Było tu sporo łuków wykładanych takimi właśnie kamieniami. Na twoim piętrze prawie wszystkie są już otynkowane.

— Aha — mruknąłem. — Wpadnę jeszcze do ciebie, zanim wyruszę.

— Koniecznie.

Odwróciłem się i przez jedną z licznych rozbitych tego dnia ścian znalazłem drogę do swojego pokoju.

Druga ściana także runęła i powstał duży otwór prowadzący do zakurzonych komnat Branda. Przystanąłem i obejrzałem go dokładnie. Synchronizacja... Wyglądało na to, że łukowe przejście łączyło kiedyś tamte pokoje z moimi. Podeszedłem bliżej i zbadłem odsłoniętą lewą krawędź. Tak, zbudowano ją z kamieni podobnych do tego, który trzymałem w ręku. Właściwie...

Odgarnąłem pył i przyłożyłem płytkę do pęknięcia. Pasowała idealnie. I nie chciała wypaść, kiedy ją lekko szarpnąłem. Czy naprawdę przyniosłem ją z miejsca tego rytuału

ojca–matki–brata–kochanek, z miejsca za lustrem? Czy wracając podniosłem nieświadomie stamtąd, gdzie spadła po niedawnych zakłóceniach architektonicznych?

Cofnąłem się, zdjąłem płaszcz, ściągnąłem koszulę. Tak. Na prawym ramieniu znalazłem przebicia, jakby ślady widelca, a na lewym znak ugryzienia. Była też zaschnięta krew na lewej nogawce, wokół rozdarcia, gdzie bolało mnie udo. Umyłem się, wyszorowałem zęby, przyczesalem włosy i założyłem opatrunki na nodze i lewym ramieniu. Rodzinny metabolizm wygoi te rany w jeden dzień, nie chciałbym jednak, by pękły przy jakimś wysiłku i zakrwawiły mi świeżą odzież. A skoro już o tym mowa...

Garderoba była nienaruszona, pomyślałem więc, że włożę moje barwy... Niech Luke ma co wspominać po koronacji. Złocista koszula i niebieskie spodnie niemal idealnie odpowiadały barwom Berkeley; na to skórzana kamizelka ufarbowana pod kolor spodni i odpowiedni płaszcz ze złotą lamówką. Wsunęte za czarny pas czarne rękawice przypomniały, że potrzebuję miecza. Zresztą sztyletu także. Zastanawiałem się właśnie nad kapeluszem, gdy moją uwagę zwróciły jakieś dziwne dźwięki. Obejrzałem się.

Przez świeżą zasłonę pyłu zyskałem symetryczny widok na pokoje Branda. W miejscu nierównej wyrwy w ścianie otwierało się doskonale gładkie, nienaruszone łukowe przejście. Po obu stronach i od góry ściany były całe. A ściana od korytarza wydawała się mniej zniszczona niż przed chwilą.

Podszedłem i przesunąłem dłonią po linii kamieni. Poszukałem pęknięć na otynkowanych powierzchniach... nic. No dobrze. Moja płytką była zaczarowana. W jakim celu?

Przekroczyłem łuk i rozejrzałem się. Pokój był ciemny i odruchowo przywołałem logrusowy wzrok. Przybył i służył mi jak zawsze. Może Logrus postanowił nie żywić urazy.

Na tym poziomie percepcji dostrzegałem resztki wielu magicznych eksperymentów i kilka stałych zaklęć. Większość czarodziejów pozostawia po sobie pewną ilość niewidocznego dla zwykłych oczu magicznego śmiecia, jednak Brand był wyjątkowo niechlujny. Oczywiście, mogło mu się trochę spieszyć pod koniec, kiedy próbował zapanować nad wszechświatem. Nie jest to przedsięwzięcie, w którym staranność liczy się równie mocno jak w innych zajęciach. Ruszyłem dalej, kontynuując zwiedzanie. Były tu tajemnice, nie dokończone skrawki prac, wskazówki, że dalej posunął się po pewnych magicznych trasach, niż ja kiedykolwiek miałem ochotę dotrzeć. Mimo to nie dostrzegłem chyba niczego, z czym nie mógłbym sobie poradzić i co stanowiłoby poważne i doraźne zagrożenie. Możliwe — kiedy już wszystko tu zbadam — że pozostawię sklepione przejście i dołączę pokoje Branda do swoich.

Wracając postanowiłem jeszcze sprawdzić garderobę Branda. Może trafię na odpowiedni do mojego kostiumu kapelusz. Rzeczywiście, znalazłem jeden trójgraniasty, ze złotym piórem. Pasował idealnie. Miał trochę nieodpowiedni odcień, ale szybko przypomniałem sobie zaklęcie, które naprawiło ten brak. Chciałem się już odwrócić, kiedy w mojej logrusowej wizji coś błysnęło w głębi górnej półki, gdzie leżały kapelusze. Sięgnąłem tam.

Była to piękna, inkrustowana złotem ciemnozielona pochwa, a wystająca z niej rękojeść, chyba złożoną, zdobił ogromny szmaragd. Chwyciłem ją i wysunąłem klingę. Spodziewałem się niemal, że zacznie wyć jak demon, na którego ktoś zrzucił balon ze święconą wodą. Zamiast tego zgrzytnęła tylko i trochę zadymiała. W metalu ostrza wykuto jasny rysunek... prawie rozpoznawalny. Tak, to fragment Wzorca, tyle że części końcowej, podczas gdy linie na Grayswandirze pochodziły z początku.

Wsunąłem miecz do pochwy i powodowany jakimś impulsem zawiesiłem u pasa. Broń tatusia będzie znakomitym prezentem na koronację Luke'a. Zabiorę ją dla niego.

Po chwili wyszedłem na boczny korytarz i przez zwaloną ścianę kwatery Gerarda, obok drzwi Fiony, przedostałem się do pokojów ojca. Miecz przypomni mi, że chciałem coś sprawdzić.

Sięgnąłem do kieszeni po klucz, przełożony ze starych, pokrwawionych spodni. Potem uznałem, że lepiej będzie zapukać. A jeśli...

Zastukałem i czekałem, znowu zastukałem i znowu czekałem. Ponieważ odpowiedziała mi tylko cisza, przekręciłem klucz w zamku i wszedłem — nie dalej niż na krok. Chciałem tylko spojrzeć na wieszak.

Grayswandir zniknął z kołka, gdzie go powiesiłem.

Cofnąłem się, zamknąłem drzwi. Fakt, że rząd haków był pusty, dawał mi informację, jaką chciałem uzyskać... za to nie dawał pewności, czego właściwie dowodzi. Ale chciałem się o tym przekonać i teraz miałem uczucie, że ostateczna wiedza jest bliżej niż przed chwilą...

Wróciłem obok pokojów Fiony i przez lekko uchylone drzwi znowu do Branda. Po krótkim poszukiwaniu znalazłem klucz w popielniczce. Zamknąłem drzwi, a klucz schowałem do kieszeni. To właściwie bez sensu, skoro i tak każdy mógł się tu dostać z mojego pokoju, a w moim pokoju brakowało ściany. Mimo to...

Zawahałem się przed powrotem do swojego saloniku, gdzie leżał tabriz zaplamiony śliną *ty'igi* i częściowo przysypany gruzem. W lokalu Branda panował jakiś spokój, jakby wytchnienie, którego wcześniej nie zauważyłem. Pospacerowałem trochę, otwierając szuflady, zaglądając do magicznych szkatulek i studiując teczkę z rysunkami niezwykłego gospodarza. Logrusowy wzrok ukazał mi coś małego, czarodziejского i potężnego, ukrytego w filarze łóżka; na wszystkie strony promieniowało liniami mocy. Odkręciłem gałkę i znalazłem skrytkę. Zawierała małą aksamitną sakiewkę, a w niej pierścień. Miał szeroką obrączkę, chyba z platyny, a zamiast kamienia jakby koło z czerwonego metalu, z niezliczonymi maleńkimi szprychami. Niektóre były cienkie jak włos. Od każdej ze szprych ciągnęła się linia mocy, prowadząca nie wiadomo dokąd... Możliwe, że do Cienia, gdzie znajdowało się jakieś źródło energii albo rezerwuar zaklęć.

A może Luke wolałby pierścień zamiast miecza? Wsunąłem go na palec i miałem wrażenie, że zapuszcza korzenie do samego jądra mego ciała. Wzdłuż nich wyczuwałem drogę do pierścienia i dalej, po tych liniach. Zdumiała mnie rozmaitość energii, do jakich sięgał i jakimi kierował — od prostych sił chthonicznych po złożone konstrukty Wielkiej Magii, od żywiołów po obiekty, które sprawiały wrażenie bóstw po lobotomii. Nie rozumiałem, dlaczego nie nosił tej drobnostki podczas bitwy Skazy Wzorca. Byłby wtedy naprawdę niezwyciężony. Może wszyscy mieszkaliśmy teraz w Brandenbergu, w Zamku Brand. Nie pojmowałem też, w jaki sposób mieszkająca obok Fiona nie wykryła obecności pierścienia i nie zaczęła go szukać. Chociaż na przykład ja nie wykryłem. Czymkolwiek był, nie rejestrował się dalej niż jeden, dwa metry. Zdumiewające skarby ukryto w tym pomieszczeniu. Czy to nie w którymś z tych pokoi można podobno uzyskać efekt osobistego wszechświata? Połączony z tyloma źródłami pierścień stanowił piękną alternatywę wobec Mocy Wzorca i Mocy Logrusu. Z pewnością całe stulecie trwało nadanie mu takiej potęgi. Nie wiem, do czego był Brandowi potrzebny, ale z pewnością nie mieścił się w krótkoterminowych planach. Uznałem, że nie mogę oddać go nikomu, kto posiadał znajomość Sztuki. I nie pomyślałem nawet, że mógłbym powierzyć go nie—czarodziejowi. A także nie miałem ochoty chować go znowu w gałce łóżka. Co mnie tak uwiera w nadgarstku? A tak, Frakir. Nie zauważyłem, że trwa to już dobrą chwilę.

— Przykro mi, że straciłaś głos, staruszko. — Pogłaskałem ją, jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu zagrożeń psychicznej i fizycznej natury. — Nie widzę tu ani jednej rzeczy, na którą powinienem uważać.

Natychmiast zsunęła się z nadgarstka i spróbowała zerwać mi z palca pierścień.

— Przestań! — rozkazałem. — Wiem, że ta zabawka może być niebezpieczna. Ale tylko wtedy, gdy niewłaściwie jej użyję. Jestem czarodziejem, pamiętasz? Fachowcem w takich sprawach. Naprawdę nie mam się czego obawiać.

Frakir nie posłuchała rozkazu i nadal atakowała pierścień. Mogłem to przypisać jedynie jakiejś formie zazdrości obiektów magicznych. Zawiązałem ją w ciasny węzeł wokół filaru łóżka i zostawiłem, żeby nauczyć posłuszeństwa.

Zacząłem dokładniej przeszukiwać pomieszczenie. Jeśli mam zatrzymać miecz i pierścień, dobrze byłoby znaleźć jakąś inną pamiątkę po Brandzie, żeby podarować ją Luke'owi...

— Merlinie! Merlinie! — usłyszałem krzyk gdzieś spoza moich pokojów.

Zaprzestałem ostukiwania podłogi i dolnych części ścian, gdzie szukałem pustych miejsc. Pod łukiem przejścia wróciłem do saloniku i znieruchomiałem, mimo kolejnego wezwania i mimo że teraz rozpoznałem głos Randoma. Ściana od strony korytarza została w połowie odbudowana... Jak gdyby niewidzialna brygada murarzy i tynkarzy pracowała tutaj od chwili, kiedy kamień ze snu umieściłem w łuku bramy do królestwa Branda. Zdumiewające. Stałem tak i patrzyłem w nadziei, że znajdę jakieś ślady na uszkodzonym murze.

— Chyba już wyszedł — usłyszałem mruczenie Randoma.

— Słucham? O co chodzi?! — zawołałem.

— Chodź tutaj szybko. Potrzebuję twojej rady.

Wyszedłem na korytarz przez otwór, jaki pozostał jeszcze w ścianie. Podniosłem głowę. I natychmiast po czułem, jakie możliwości ma mój pierścień, jak reaguje na moje najważniejsze w tej chwili życzenie. Przystałem na sugestię, zaktywizowała się odpowiednia linia, a ja wyjąłem zza pasa rękawice i wciągnąłem je, lewitując w stronę wyrwy w suficie. To dlatego, że Random mógłby rozpoznać w pierścieniu własność Branda, co doprowadziłoby może do dyskusji, na którą w tej chwili nie miałem ochoty.

Wlatując przez wyrwę do pracowni, przytrzymałem płaszcz, żeby miecz także ukryć w jego fałdach.

— Robi wrażenie — ocenił Random. — Dobrze, że ćwiczysz swoje czary. Dlatego właśnie cię wezwałem.

Skłoniłem się nisko. Oficjalny strój sprawił, że nabrałem dworskich manier.

— Czym mogę służyć waszej wysokości?

— Przestań żartować i chodź — odparł. Chwycił mnie za łokieć i pociągnął do połówki sypialni. Vialle stała przy drzwiach.

— Merlin? — spytała, kiedy przechodziliśmy.

— Tak?

— Nie byłem pewna.

— Czego? — zdziwiłem się.

— Że to naprawdę ty.

— Ja, z całą pewnością.

— To w istocie mój brat — oświadczył Mandor, wstając z fotela. Rękę miał w łupkach i na temblaku, i wyraźnie się odprężył. — Jeśli wydaje się nieco dziwny — mówił dalej — to pewnie dlatego, że doznał kilku wstrząsów, odkąd nas opuścił.

— Czy to prawda? — zwrócił się do mnie Random.

— Tak — przyznałem. — Nie sądziłem, że to aż tak widoczne.

— Nic ci się nie stało?

— Jestem cały.

— Świetnie. Szczegóły odłożymy na kiedy indziej. Jak sam widzisz, Coral zniknęła, i Dworkin także. Nie widziałem, jak stąd odchodzą. Kiedy to się stało, byłem w pracowni.

— Kiedy co się stało? — Nie zrozumiałem.

— Dworkin zakończył operację — wyjaśnił Mandor. — Wziął damę za rękę, postawił na nogi i gdzieś przetransportował. Bardzo elegancko to załatwił. W jednej chwili stali oboje przy łożu, w następnej ich powidoki przebiegły pełne widmo i zgasły.

— Powiedziałeś, że on ją przetransportował. Skąd wiesz, że nie porwał ich Ghostwheel albo jedna z Mocy? — spytałem.

— Ponieważ obserwowałem jego twarz. Nie było na niej śladu zaskoczenia, jedynie lekki uśmiezek.

— Pewnie masz rację — przyznałem. — W takim razie kto nastawił ci rękę, skoro Random był w pracowni, a Dworkin zajęty?

— To ja — wtrąciła Vialle. — Uczyłam się tego.

— Czyli jesteś jedynym naocznym świadkiem ich zniknięcia? — zwróciłem się do Mandora. Przytaknął.

— Czego od ciebie oczekuję — odezwał się Random — to jakiegoś pomysłu, gdzie mogli się przenieść. Mandor twierdzi, że nie mógł tego odgadnąć. Popatrz!

Wręczył mi łańcuch, z którego zwisała metalowa oprawa.

— Co to jest? — zdziwiłem się.

— To był najważniejszy z Klejnotów Koronnych — odparł. — Klejnot Wszechmocy. Tyle mi z niego zostawili. A zabrali kamień.

— Hm... — mruknąłem. — Pod opieką Dworkina nic mu nie grozi. Wspominał, że umieści go w bezpiecznym miejscu, a zna się na tym jak nikt inny...

— Ale mógł znowu stracić rozum — przypomniał Random. — Zresztą, nie interesuje mnie dyskusja o zaletach Dworkina jako strażnika Klejnotu. Chcę wiedzieć, gdzie, do diabła, zniknął razem z nim.

— Nie zostawił chyba żadnych śladów — zauważył Mandor.

— W którym miejscu stali? — spytałem.

— Tam. — Wskazał zdrową ręką. — Po prawej stronie łoża.

Przeszedłem we wskazany punkt, wyszukując przy tym najbardziej odpowiednią z mocy, którymi władałem.

— Trochę bliżej stóp.

Skinałem głową. Czuję, że w granicach mojej osobistej przestrzeni nietrudno będzie zajrzeć w czasie odrobinę wstecz.

Poczułem pęd tęczy i zobaczyłem ich sylwetki. Stop.

Linia mocy sięgnęła od pierścienia, zaczęła się, zmieniała w tęczę wraz z nimi i przeniknęła przez portal, który zamknął się w łagodnej implozji. Podnosząc do czoła grzbiet dłoni, mogłem spojrzeć wzdłuż toru...

...na wielki hol, gdzie po lewej stronie wisiało sześć tarcz, a po prawej masa sztandarów i proporców. Przedemną, na ogromnym palenisku, huczał ogień...

— Widzę, gdzie się przenieśli — oznajmiłem. — Ale nie poznaję tego miejsca.

— Czy możesz jakoś dzielić z nami tę wizję? — zapytał Random.

— Może — odparłem i w tej samej chwili uświadomiłem sobie, że istnieje sposób. — Patrzcie w zwierciadło.

Random odwrócił się i podszedł do lustra, przez które wprowadził mnie tu Dworkin... jak dawno temu?

— Na krew bestii z bieguna i skorupę pękniętą w środku świata — powiedziałem czując, że należy się zwrócić do dwóch spośród mocy, jakimi kierowałem. — Niech pojawi się obraz.

Lustro zaszło mgłą, a gdy się oczyściło, ukazywało moją wizję holu.

— Niech mnie licho! — zawołał Random. — Zabrał ją do Kashfy!

— Pewnego dnia, bracie, musisz nauczyć mnie tej sztuczki — stwierdził Mandor.

— Wybieram się właśnie do Kashfy — przypomniałem. — Czy mam tam wykonać coś szczególnego?

— Wykonać? — powtórzył Random. — Zobacz, co się dzieje, i daj mi znać. Zgoda?

— Oczywiście. Wyjąłem Atuty.

Podeszła Vialle i — jakby na pożegnanie — wzięła mnie za rękę.

— Rękawice — zauważyła.

— Chciałem wyglądać bardziej oficjalnie — wyjaśniłem.

— W Kashfie jest chyba coś, czego Coral się obawia — szepnęła. — Mówiła o tym przez sen.

— Dzięki — rzuciłem. — Teraz jestem gotów na wszystko.

— Możesz tak mówić dla dodania sobie odwagi — ostrzegła. — Ale nigdy w to nie wierz.

Roześmiałem się, podnosząc Atut. Udałem, że wpatruję się w niego, lecz naprawdę rozciągałem energię mojej istoty wzdłuż posłanej do Kashfy linii mocy. Otworzyłem drogę, z której korzystał Dworkin, i przeszedłem.

ROZDZIAŁ 12

Kashfa.

Stałem w szarym kamiennym holu. Na ścianach wisiały tarcze i proporce, trociny pokrywały podłogę, stały prymitywne meble, ogień w palenisku nie całkiem radził sobie z wilgocią, a w powietrzu unosiły się kuchenne zapachy. Byłem tu jedyną osobą, choć ze wszystkich stron słyszałem gwar rozmów, a także odgłosy kapeli strojącej instrumenty i ćwiczącej melodie. Znalazłem się zatem prawie w sercu przygotowań. Wadą wybranej metody podróży, w porównaniu do Atutu, było to, że nikt na mnie nie czekał, żeby wytłumaczyć, co się dzieje. Była to również zaleta — jeśli chciałem się dyskretnie rozejrzeć, teraz miałem okazję. Pierścień, prawdziwa encyklopedia magii, znalazł mi zakłęcie niewidzialności, którym natychmiast się okryłem.

Następną godzinę poświęciłem na zwiedzanie. Cztery duże budynki i kilka mniejszych znajdowało się w obrębie głównych murów. Był jeszcze zewnętrzny, otoczony murem obszar, a potem jeszcze jeden: trzy mniej więcej koncentryczne, porośnięte bluszczem bariery. Nie zauważyłem zniszczeń, z czego wywnioskowałem, że ludzie Delta nie napotkali poważniejszego oporu. Żadnych śladów rabunku czy pożarów... Ale w końcu wynajęto ich, żeby odbili rodzinny majątek. Jasra z pewnością postawiła warunek, by oddali go w dobrym stanie. Żołnierze stacjonowali we wszystkich trzech pierścieniach. Posłuchałem trochę i dowiedziałem się, że wyjadą stąd dopiero po koronacji. Sporo ich zauważyłem na wielkim placu w strefie centralnej; nabijali się z miejscowej gwardii, która w wymyślnych liberiach oczekiwała na uroczystą procesję. Żarty nie były złośliwe, pewnie dlatego, że Luke cieszył się popularnością w obu grupach. Ponadto po obu stronach ludzie najwyraźniej dobrze się znali.

Pierwszy Kashfański Kościół Jednorożca, jak można by przetłumaczyć jego nazwę, znajdował się na rynku, naprzeciw pałacu. Budynek, w którym wylądowałem, był przybudówką ogólnego zastosowania. W tej chwili służył jako kwatera dla licznych, pospiesznie zaproszonych gości, służących, dworzan i zwykłych pieczeniarzy.

Nie miałem pojęcia, na kiedy zaplanowano koronację, ale powinienem skontaktować się z Lukiem jak najszybciej. Potem, w nawale spraw, nie będzie miał dla mnie czasu. A może wie nawet, gdzie przebywa Coral i dlaczego tu trafiła.

Znalazłem wnękę z neutralnym, ślepym murem w tle. Nie widząc otoczenia, nawet ktoś tutejszy nie rozpoznałby pewnie tego miejsca. Zrzuciłem czar niewidzialności, wyszukałem kartę Luke'a i wezwałem go. Nie chciałem, by się domyślił, że jestem już w mieście. Lepiej, żeby nie wiedział o mojej zdolności przemieszczania się w taki sposób. To w ramach teorii, że nikomu nie należy mówić wszystkiego.

— Merlinie! — zawołał, kiedy mnie poznał. — Czyżby szydło wyszło z worka?

— Razem z dratwą — potwierdziłem. — Najlepsze życzenia z okazji koronacji.

— Zaraz! Nosisz kolory szkoły!

— A co? Dlaczego nie? Przecież wygrałeś, prawda?

— Słuchaj, to wcale nie takie święto. Szczerze mówiąc, miałem się z tobą skontaktować. Potrzebuję rady, zanim ta historia posunie się za daleko. Możesz mnie przeciągnąć?

— Nie jestem w Amberze, Luke.

— A gdzie?

— No... na dole — przyznałem. — Na bocznej uliczce między twoim pałacem a budynkiem, który w tej chwili służy za hotel.

— To na nic — stwierdził. — Jeśli mnie tam przerzucisz, od razu mnie zauważą. Przejdź do Świątyni Jednorożca. Jeżeli okaże się w miarę pusta i znajdziesz jakiś ciemny zakamarek, żebyśmy mogli pogadać, odezwij się i ściągnij mnie. Jeśli nie znajdziesz, poszukaj czegoś innego.

— Zgoda.

— A właściwie jak się tu dostałeś?

— Jako wysunięty zwiad przed inwazją — odparłem. — Jeszcze jeden przewrót byłby chyba puczopuczem, prawda?

— Przewrócić to się można od twoich żartów — burknął. — Czekam na kontakt.

Koniec łączności.

Przeszedłem przez plac, podążając drogą zaznaczoną chyba jako szlak procesji. Bałem się, że mogę mieć jakieś kłopoty w Domu Jednorożca i potrzebować zaklęcia, żeby się dostać do środka. Jednak nikt nie stanął mi na drodze.

Wszedłem. Ogromną świątynię udekorowano już do ceremonii: na ścianach wisiały wielobarwne proporce, wszędzie stały kwiaty. Oprócz mnie była tu tylko jedna osoba, zakapturzona kobieta, która wyglądała, jakby przyszła się modlić. Usiadłem po lewej stronie, gdzie było trochę ciemniej.

— Luke — zwróciłem się do Atutu. — Teren czysty. Słyszysz mnie?

Wyczułem jego obecność, zanim dotarł obraz.

— Dobra — rzucił. — Przeciagnij mnie.

Uścisnęliśmy sobie ręce i stanął obok.

— Niech ci się przyjrzę — powiedział. — Ciekawe, co się stało z moim uniwersyteckim swetrem.

— Chyba podarowałeś go Gail.

— Pewnie masz rację.

— Mam dla ciebie prezent. — Odrzuciłem połę płaszcza i sięgnąłem do pasa. — Trzymaj. Znalazłem miecz twojego ojca.

— Chyba żartujesz.

Wziął go i z obu stron obejrzał pochwę. Potem wyciągnął klingę. Syknęła znowu, iskry zatańczyły na wzorze uniósł się lekki dym.

— Rzeczywiście! — zawołał. — Werewindle, Miecz Dnia... brat Klingi Nocy, Grayswandira!

— Naprawdę? — zdziwiłem się. — Nie wiedziałem że jest między nimi jakiś związek.

— Musiałbym długo myśleć, żeby przypomnieć sobie całą tę historię... Ale pochodzą z bardzo dawnych czasów. Dziękuję ci.

Odwrócił się i przeszedł kilka kroków, uderzając mieczem o łydkę. Przystanął nagle.

— Oszukali mnie — oznajmił. — Ona znów mnie wrobiła. Jestem wściekły i nie wiem, jak z tego wybrnąć.

— Z czego? O czym ty mówisz?

— Moja matka — wyjaśnił. — Znowu zaczyna. Już myślałem, że przejąłem ster i żegluję własnym kursem, a tu ona zjawia się i miesza mi w życiorysie.

— W jaki sposób?

— Wynajęła Dalta i jego chłopaków, żeby opanowali miasto.

— Tak, tego się domyśliłem. A przy okazji, co z Arkanssem?

— Nic mu się nie stało. Aresztowałem go, naturalnie, ale mieszka wygodnie i niczego mu nie brakuje. Nie zrobiłbym mu krzywdy. Zawsze go lubiłem.

— Więc w czym problem? Wygrałeś. Masz teraz własne królestwo.

— Do diabła — warknął i spojrzął niepewnie w stronę ołtarza. — Uważam, że mnie wykiwali, chociaż nie jestem tego całkiem pewny. Rozumiesz, nie chciałem tej roboty. Dalt powiedział, że

przygotowujemy teren dla mamy. Miałem wejść razem z nimi, żeby wprowadzić porządek, przygotować powrót rodziny do władzy, a potem powitać ją z całą pompą i paradą. Pomyślałem, że kiedy odzyska tron, wreszcie się ode mnie odczepi. Wyjechałbym stąd w jakieś przyjemne miejsce, a ona zostałaby z całym królestwem do pilnowania. Nie było mowy, że mnie wpakują tę fuchę.

Pokręciłem głową.

— Nic z tego nie rozumiem — przyznałem. — Zdobyłeś kraj dla niej. Więc oddaj jej wszystko i dalej rób, co chcesz.

Zaśmiał się ponuro.

— Arkansa lubili — stwierdził. — Mnie lubią. Ale za mamą już nie przepadają. Nikt nie przejawia entuzjazmu na myśl o jej powrocie. Więcej nawet, sugeruje się, że gdyby spróbowała, nastąpi prawdziwy pucz w pucz.

— No to możesz ustąpić i oddać tron Arkansowi.

Luke uderzył pięścią o ścianę.

— Nie wiem, czy byłaby bardziej wściekła na mnie czy na siebie, że tyle zapłaciła Daltowi za wyrzucenie Arkansa. Ale na pewno powie, że to mój obowiązek. Sam nie wiem... Może tak. Jak myślisz, Merle?

— To trudne pytanie, Luke. A twoim zdaniem, kto byłby lepszym władcą, ty czy Arkans?

— Naprawdę nie wiem. On ma doświadczenie w rządach, ale ja się tu wychowałem. Potrafię utrzymać wszystko w ruchu i umiem załatwiać sprawy. Jedno jest pewne: każdy z nas będzie lepszy od mamy.

Skrzyżowałem ręce na piersi i zamyśliłem się.

— Nie mogę za ciebie decydować — stwierdziłem. — Ale powiedz, co byś chciał robić najbardziej?

Parsknął śmiechem.

— Wiesz, że zawsze byłem handlowcem. Gdybym miał tu zostać i robić coś dla Kashfy, wolałbym raczej prezentować za granicą jej produkcję. Niezbyt to pasuje do godności władcy. Ale chyba w tym byłbym najlepszy. Sam nie wiem.

— To poważny problem, Luke. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za twoje decyzje.

— Gdybym wiedział, że do tego dojdzie, w Ardenie rozniósłbym Dalta na strzępy.

— Naprawdę sądzisz, że byś go pokonał?

— Możesz mi wierzyć.

— Ale to nie rozwiązuje twoich problemów.

— Fakt. Mam przecucie, że będę się musiał z tym pogodzić.

Kobieta przed ołtarzem kilka razy obejrzała się na nas. Pewnie jak na kościół rozmawialiśmy trochę za głośno.

— Szkoda, że nie ma innych rozsądnych kandydatów — stwierdziłem, zniżając głos.

— To mały kraj dla kogoś, kto pochodzi z Amberu.

— Do licha, to przecież twój dom. Nic dziwnego, że traktujesz go poważnie. Przykro mi, że nie potrafię ci pomóc.

— Tak... Wszystkie kłopoty zaczynają się w domu. Czasami mam ochotę wyjechać stąd i więcej nie wracać.

— Co by się wtedy stało?

— Albo mama wróci na tron z poparciem Dalta, co będzie wymagać egzekucji masy ludzi, o których wiem, że się temu sprzeciwią. Albo uzna, że gra nie warta świeczki i zadowolili się Twierdzą. Gdyby postanowiła w Twierdzy cieszyć się emeryturą, koalicja wspierająca Arkansa znowu wysunie go do władzy i zacznie wszystko od nowa.

— A jaki rozwój wydarzeń uważasz za bardziej prawdopodobny? — spytałem.

— Spróbuje wrócić i wybuchnie wojna domowa. Ktokolwiek wygra, zniszczy to kraj i z pewnością po raz kolejny zablokuje nam dostęp do Złotego Kręgu. A skoro już o nim mowa...

— Nie wiem — oświadczyłem pospiesznie. — Nie jestem upoważniony do prowadzenia rozmów o traktacie.

— Domyślałem się tego. — Westchnął. — I nie o to chciałem zapytać. Byłem po prostu ciekaw, czy ktoś tam w Amberze powiedział może „Mają przerąbane” albo „Może trochę później damy im jeszcze szansę” czy też „Rozmawiać można, ale niech zapomną o gwarancjach co do Eregnoru”.

Uśmiechnął się nienaturalnie, a ja odpowiedziałem mu tym samym.

— Możecie zapomnieć o Eregnorze — stwierdziłem.

— To było do przewidzenia. A co z resztą?

— Odniosłem wrażenie, że to „Poczekamy i zobaczymy, co z tego wyniknie”.

— Tego też można się było domyślić. Daj mi dobre świadectwo, nawet gdyby nikt o to nie prosił, zgoda? Przy okazji, formalnie rzecz biorąc, twoja wizyta nie jest oficjalna?

— Prywatna — wyjaśniłem. — Z punktu widzenia dyplomacji.

Kobieta przed ołtarzem wstała. Luke westchnął.

— Szkoda, że nie umiem znaleźć drogi do restauracji u Alicji. Może Kapelusznik znalazłby jakieś wyjście. — I nagle krzyknął: — Chwileczkę! Skąd on się tutaj wziął? Wygląda jak ty, ale...

Spoglądał nad moim ramieniem, a ja czułem już zakłócenia. Nie próbowałem nawet wzywać Logrusu, gdyż byłem gotów na wszystko.

Odwrociłem się z uśmiechem.

— Jesteś gotów na śmierć, bracie? — spytał Jurt.

Albo zdołał jakoś zregenerować oko, albo nosił sztuczne. Miał długie włosy i nie widziałem, co z uchem. Mały palec już częściowo odrósł.

— Nie, ale jestem gotów zabijać — odparłem. — To miło, że mam cię pod ręką.

Skłonił się drwiąco. Jego ciało jarzyło się lekko i wyczuwałem energię, płynącą przez nie i wokół niego.

— Wróciłeś do Twierdzy na końcowy zabieg? — zapytałem.

— Nie sądzę, by był konieczny — stwierdził. — Panuję nad tymi mocami i to aż nadto wystarczy, by wypełnić każde zadanie, jakie sobie postawię.

— To jest Jurt? — zainteresował się Luke.

— Tak — potwierdziłem. — To jest Jurt.

Jurt zerknął na niego szybko. Czułem, że miecz przyciąga jego uwagę.

— Co to za obiekt mocy trzymasz w dłoni? — zapytał. — Daj obejrzeć!

Wyciągnął rękę, miecz szarpnął się w uchwycie Luke'a, ale się nie wyrwał.

— Raczej nie — odparł Luke.

Jurt zniknął. I po chwili zjawił się za Lukiem, chwycił go za szyję i przydusił. Luke złapał go jedną ręką, pochylił się, obrócił i rzucił Jurtą przez ramię.

Jurt wylądował na plecach, ale Luke nie kontynuował natarcia.

— Wyciągnij ten miecz — warknął Jurt. — I daj mi go obejrzeć. — Otrząsnął się jak pies i powstał. — No więc?

— Nie potrzebuję broni, by walczyć z tobie podobnymi.

Jurt wznosił obie ręce nad głowę i zacisnął pięści. Złożył je na chwilę, a kiedy rozsunął, prawa dłoń wyciągnęła z lewej miecz.

— Powinieneś iść z tym do cyrku — ocenił Luke. — Natychmiast.

— Wyciągaj! — rozkazał Jurt.

— Nie podoba mi się pomysł walki w kościele. Może wyjdziemy na zewnątrz?

— Bardzo śmieszne. Wiem, że masz tam armię. Nic z tego. A zachlapanie krwią kaplicy Jednorożca sprawi mi nawet pewną przyjemność.

— Spróbuj porozmawiać z Daltem — zaproponował Luke. — Jego też podniecają dziwne rzeczy. Może sprowadzę ci konia... czy lepiej kurczaka? Albo białe myszki i folię aluminiową?

Jurt zaatakował. Luke odsunął się i wyrwał klingę swego ojca. Syknęła, zatrzeszczała i zadymiała, gdy sparował lekko i pchnął. W oczach Jurta błysnął lęk; odskoczył, odbił atak, potknął się. Kiedy padał, Luke kopnął go w brzuch, i miecz Jurta wyleciał w powietrze.

— To Werewindle! — wysapał Jurt. — Jak zdobyłeś miecz Branda?

— Brand był moim ojcem — rzekł Luke.

Przez moment na twarzy Jurta pojawił się wyraz szacunku.

— Nie wiedziałem... — szepnął i zniknął.

Czekałem. Wysunąłem wokół magiczne czujniki. Ale byliśmy tylko Luke, ja i ta kobieta, która zatrzymała się w pewnej odległości i obserwowała nas, jakby bała się zbliżyć w drodze do wyjścia.

Nagle Luke upadł. Jurt stał za nim i właśnie trafił go łokciem w kark. Schylił się, jakby chciał wyrwać miecz.

— Musi być mój! — zawołał.

Sięgnąłem przez pierścień i uderzyłem pociskiem czystej energii. Sądziłem, że zmiażdży organy wewnętrzne i zmieni go w masę zakrwawionej galarety. Tylko przez moment rozważyłem użycie mniej niż śmiertelnej mocy. Wiedziałem, że wcześniej czy później jeden z nas zabije drugiego. Wolałem to załatwić, zanim on będzie miał szczęście.

Ale on już miał szczęście. Kąpiel w Fontannie wzmocniła go bardziej, niż sądziłem. Zakręcił się trzy razy, jak potrącony przez ciężarówkę, i uderzył o ścianę. Osunął się. Padł na ziemię. Krew pociekła mu z ust. Wyglądał, jakby miał zemdleć. A potem oczy spojrzały przytomniej i wyciągnął rękę.

Moc podobna do tej, którą zaatakowałem, trafiła teraz we mnie. Zdumiała mnie jego zdolność do zebrania sił i uderzenia odwetowego na takim poziomie i tak szybko. Mniej się zdziwiłem, że zdołałem odbić cios. Zrobiłem krok naprzód i spróbowałem podpalić go pięknym zaklęciem, jakie zasugerował mi pierścień. Jurt wstał i osłonił się przed nim w ciągu sekundy, gdy tylko ubranie zaczęło na nim dymić. Zbliżyłem się nadal. Wytworzył próżnię wokół mnie. Przebiłem ją i oddychałem. Rzuciłem czar tarana; był jeszcze silniejszy od pierwszego ciosu, a podpowiedział mi go pierścień.

Jurt zniknął, zanim atak doszedł do celu, a w ścianie za jego plecami pojawiło się metrowe pęknięcie. Posłałem dookoła wici czujników i wykryłem go kilka sekund później, przykucniętego na wysokim gzymsie. Skoczył na mnie, kiedy podniosłem głowę.

Nie wiedziałem, czy złamię sobie rękę, czy nie, ale i tak warto było spróbować. Wzniosłem się w powietrze. Planowałem minąć go mniej więcej w połowie drogi i trafić z lewej, co powinno złamać mu szczękę, a przy okazji kark. Niestety, przełamało też moje zaklęcie lewitacji i obok niego runąłem na ziemię.

Kobieta krzyknęła głośno i ruszyła do nas biegiem. Przez chwilę leżeliśmy oszołomieni. Potem Jurt przewrócił się na brzuch, wyciągnął rękę, uniósł się, upadł, wyciągnął znowu...

Jego dłoń opadła na rękojęść Werewindle'a. Musiał wyczuć mój wzrok, kiedy zaciskał palce, bo zerknął na mnie i uśmiechnął się. Luke wymruczał jakieś przekleństwo. Rzuciłem w Jurta czarem zamrażania, ale wyatutował się, zanim uderzył w niego zimny front.

Kobieta krzyknęła ponownie. Zanim jeszcze się odwróciłem, poznałem jej głos — to była Coral.

Jurt pojawił się znowu, zderzył się z nią od tyłu, odnalazł jej krtań ostrzem tej jasnej, dymiącej klingi.

— Nie ruszać się... — wysapał. — Bo wytnę jej... — dodatkowy uśmiech.

Nerwowo szukałem jakiegoś szybkiego zakłęcia, które wykończy go, nie narażając Coral.

— Nawet nie próbuj, Merle — zagroził. — Wyczuję... że się zbliża. Zostaw mnie... w spokoju... na pół minuty... a pożyczysz... trochę dłużej. Nie wiem... skąd znasz te sztuczki... ale nie uratują cię...

Dyszał ciężko i spływał potem. Krew wciąż ciekła mu z ust.

— Puść moją żonę — rozkazał Luke. Wstał. — Inaczej nigdzie już nie zdołasz się ukryć przede mną.

— Nie chcę, żebyś był mi wrogiem, synu Branda — odpowiedział Jurt.

— Więc rób, co mówię, mały. Załatwiałem już lepszych od ciebie.

I nagle Jurt wrzasnął, jakby jego dusza stanęła w ogniu, a Werewindle odsunął się od gardła Coral. Jurt odskoczył i zaczął się rzucać jak marionetka o unieruchomionych stawach, którą ktoś nadal szarpie za sznurki. Coral odwróciła się do niego, a plecami do Luke'a i do mnie. Uniosła dłoń do twarzy. Po chwili Jurt upadł i zwinął się do pozycji embrionalnej. Zdawało mi się, że pada na niego czerwony blask. Dygotał cały i słyszałem, jak szczeka zębami. I wtedy zniknął, ciągnąc za sobą tęczę. Zostawił krew i ślinę, a zabrał Werewindle'a. Cisnąłem pożegnalny pocisk, ale wiedziałem, że nie trafił. Na drugim końcu widma czułem obecność Julii i mimo wszystko ucieszyłem się, że jej nie zabiłem. Ale Jurt... Zrozumiałem, jak bardzo jest teraz groźny. Pierwszy raz na polu walki nie pozostawił fragmentu swej osoby, a nawet coś ze sobą zabrał. Coś śmiertelniegroźnego. Uczył się, a to źle mi wróżyło.

Obejrzałem się i zanim Coral zsunęła na oko przepaskę, dostrzegłem czerwony błysk. Pojąłem, co się stało z Klejnotem Wszechnocy, choć oczywiście nie wiedziałem, dlaczego.

— Żona? — spytałem.

— Tak jakby... Tak — przyznała.

— Tak się złożyło — wtrącił Luke. — Czy wy się znacie?